

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Pokolenie Z: zagonieni, zbuntowani, zdeterminowani
- Dziejowa misja profesora Nowaka • Lekarze przeciw aborcji
- Generalissimus Prigożyn
- Dlaczego dzieci nie chcą żyć



WYSOKIE OBCASY
Angela. Pomóżcie mi zmienić płeć. Bo państwo nie pomoże

GAZETA **wyborcza** wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Hanna Machińska
**Funkcjonariuszu,
nie zasłaniaj się rozkazami**

FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

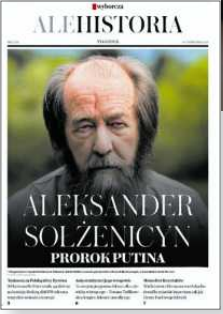
wydaje Agora SA, nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

02>

9 770860 908167

Aleksander Solżenicyn
Precz z głupim i bezbożnym Zachodem



Lektura Terlikowskiego
Misje wśród Żydów nie mają sensu

Menedżer Najświętszej Maryi Panny
Jak Krzyżacy zmienili się w korporację

Cztery lata temu zginął Paweł Adamowicz

Śmierć, która niczego nas nie nauczyła

Jakże szybko zapomnieliśmy o ostatnich słowach Pawła Adamowicza

Grzegorz Kubicki

Proces Stefana W., oskarżonego o zabójstwo prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, zbliża się do końca. W tym tygodniu odbyła się kolejna rozprawa – zeznania składała m.in. była szefowa gdańskiego centrum wolontariatu, która była bezpośrednim świadkiem ataku na Adamowicza. Sąd przesłuchał także lekarza, który przeprowadzał operację prezydenta, patomorfologów z Zakładu Medycyny Sądowej oraz policjanta, który po zatrzymaniu W. wioził go do komisariatu. W sprawie zostali już przesłuchani wszyscy najważniejsi świadkowie. Na koniec ostatniej rozprawy sędzia poinformowała, że „zostały wykonane już wszystkie czynności zaplanowane przez sąd”. I wyznaczyła termin mów końcowych na 13 marca.

Dziś przypada czwarta rocznica śmierci Adamowicza.

Choć od tragicznych wydarzeń, które w trakcie finału WOŚP rozegrały się na Targu Węglowym w Gdańsku, minęły już cztery lata, zabójca Adamowicza wciąż nie został osądzony (choć zatrzymano go bezpośrednio po morderstwie, a śledczy zabezpieczyli dowody). Wynika to z przedłużającego się śledztwa prokuratury (bo sam proces przebiega sprawnie) i tego, że długo rozstrzygano kwestię, czy W. można w ogóle sądzić. W aktach sprawy znajdują się trzy opinie biegłych, a za ostatecznie obowiązującą prokuratura uznała tę diagnozującą W. jako osobę o ograniczonej poczytalności.

Ale brak rozstrzygnięć w sprawie W. to nie tylko niepewność, niepokój, żal czy ból, które zostały po zamachu na prezyden-



FOT. JAN RUSEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

W mediach, nie tylko społecznościowych, padają słowa gorsze niż kiedykolwiek. Jeszcze bardziej niż kiedyś nie lubimy obcych, innych. Ze względu na pochodzenie, płeć, orientację seksualną, wiek, niepełnosprawność, światopogląd

ta. To także język nienawiści, przemocy i pogardy, który towarzyszy nam każdego dnia. Niestety, dziś, cztery lata po śmierci Adamowicza, możemy ze smutkiem oświadczyć, że ta tragedia niewiele nas nauczyła. A nawet wcale. Żałoba i opamiętanie trwały tylko chwilę. Później znów rozpoczęła się nagonka.

Prezydent Gdańska Aleksandra Dulciewicz nadal otrzymuje pogróżki (jak wielu innych polityków) i wciąż musi korzystać z osobistej ochrony. Tuż przed świętami zapadła decyzja o ochronie SOP dla Donalda Tuska, który – jak sam podkreśla – każdego tygodnia znajduje wyroki śmierci, za-

powiedzi zamachu i groźby pod adresem swoim i swoich bliskich.

W mediach (nie tylko społecznościowych) padają słowa gorsze niż kiedykolwiek wcześniej. Jeszcze bardziej niż kiedyś nie lubimy obcych, innych. Mało jest wokół nas tolerancji, za to wiele dyskryminacji – ze względu na pochodzenie, płeć, orientację seksualną, wiek, niepełnosprawność, światopogląd etc.

Jakże szybko zapomnieliśmy o ostatnich słowach Adamowicza, który ze sceny WOŚP, tuż przed atakiem nożownika, dziękował nam za solidarność i dzielenie się dobrem. ●

Liczba

230

ŚWIADKÓW zeznaje w sprawie zabójstwa prezydenta Gdańska. Akta sprawy liczą 50 tomów

Więcej o procesie w sprawozdaniach
► Trójmiasto.wyborcza.pl

Cytat

Nigdy nie przestanę go kochać. To jest przecież moje chore, dorosłe dziecko

MATKA STEFANA W.
zabójcy Pawła Adamowicza

wyborcza.pl

Z czego wyrósł. O czym marzył
Wszystko o Pawle Adamowiczu

• Kiedy angażowałem się jako nastolatek w walkę z komuną, to czułem się spadkobiercą swoich rówieśników z powstania styczniowego czy bohaterów „Kamieni na szaniec”.

• Wściekłość przychodziła w czasie demonstracji, kiedy czułem na plecach pałkę zomowca. Myślałem, by się odwinąć, ale miałem w sobie imperatyw po-

wstrzymywania się od przemocy.

• Jarosław Kaczyński zmusił nas, wbrew naszemu lenistwu i samozadowoleniu, do większej aktywności, niż ją demonstrowaliśmy przez ostatnie 26 lat.

• Nie wiem, ilu absolwentów gdańskich szkół ponadgimnazjalnych, którzy od

1990 opuścili szkolne mury, chodzi na wybory. I nie wiem, czy nauczyciele lub dyrektorzy szkół takie pytania sobie zadają. Czy ich to w ogóle przejmie? Dziś takie pytania musi sobie zadać każdy wójt, burmistrz i prezydent.

Rozmowa Doroty Wodeckiej
► [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

ŁATWO POWIEDZIEĆ: „MŁODZI HISTERYZUJĄ”



Kto był najbardziej ignorowaną grupą społeczną w pandemii? Kto ma najwięcej kłopotów ze zdrowiem psychicznym i żadnego wsparcia? Jeśli na co dzień nie traktuje się nas poważnie, a potem oczekuje, że pójdziemy głosować, to nie jest podmiotowe traktowanie

Z DOMINIKĄ LASOTĄ*,
JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ ZNANYCH DZIAŁACZEK
KLIMATYCZNYCH MŁODEGO
POKOŁENIA,
ROZMAWIA ALICJA GARDULSKA

Mówi się, że kryzys ekologiczny to kryzys wyobraźni. Wyobrażasz sobie, co się wydarzy, jeśli nic nie zrobimy. Albo zrobimy za mało?
– Odsuwam od siebie te czarne scenariusze. Trzymam się kurczowo wizji świata, w którym nam się udaje.

Ale czytam raporty, rozmawiam z naukowcami czy koleżankami i kolegami z tych części świata, gdzie katastrofa klimatyczna od dekad jest rzeczywistością. Tu nie ma wielkiego pola do wyobraźni. Jeśli pozwolimy politykom nadal ignorować kwestie paliw kopalnych i naszej zależności od nich, nie przeprowadzimy sprawiedliwej transformacji ener-

getycznej, to krok po kroku będziemy tracić kolejne elementy bezpieczeństwa.

Żywność będzie coraz droższa i trudniej dostępna. Raczej nie będziemy świętować tego, że w Polsce urosną pomarańcze. Czeką nas ogromna susza. Nie wykluczone, że wybuchną kolejne wojny, sponsorowane – jak ta w Ukrainie – przez przemysł paliw kopalnych. A marzenie naszego prezydenta o tym, żeby w górach był śnieg, raczej się nie spełni. Będziemy tracić kolejne gatunki i będzie się robiło coraz smutniej.

A gdzie widzisz siebie w przyszłości?

– Nie umiem odpowiedzieć. Nie planuję dalej niż do 2030 roku. To jest decydująca dekada.

A może to nadmierny katastrofizm, który tylko zatruwa duszę i wpędza w depresję?

– Łatwiej jest podważać nasze emocje, przeżycia i doświadczenia, niż dopuścić do świadomości to, jak jest źle. Łatwiej powiedzieć: „Młodzi histeryzują”, i odsunąć od siebie problem. Jasne, że ten strach o przyszłość może rodzić depresję. Kiedy człowiek zda sobie sprawę ze skali kryzysu, to jest przytłaczające. Wiele rzeczy traci sens.

Może z wiekiem człowiek częściej sięga po mechanizm wyparcia, by sobie poradzić z rzeczywistością.

– A może pokolenie moich rodziców, ciotek, wujków też było kiedyś strofowane za okazywanie emocji i teraz to przelewają na nas? Ale to trochę jak z przemocowym członkiem rodziny, który cię atakuje, każe się ogarnąć i przestać płakać. Przecież nawet jeśli zdusisz emocje, problem nie zniknie. Dalej tkwisz w dysfunkcyjnej rodzinie. Chodzi o to, że

nie skupiamy się na źródłach kryzysu, tylko na reakcjach ludzi na tę rzeczywistość.

Jeszcze rok temu miałaś sprecyzowany plan na siebie.

– Całe życie byłam kujonem. Uwielbiałam się uczyć. Miałam skończyć liceum z doskonałymi wynikami, dostać się na studia za granicą, pójść na staż do jednej z międzynarodowych organizacji, a potem do pracy w ONZ, być tam do emerytury i umrzeć z przeświadczeniem, że zbawiłam świat.

Zaczęłaś ten plan realizować. Zdobyłaś stypendium w prestiżowym liceum w Wielkiej Brytanii, gdzie uczył się m.in. Arthur Conan Doyle.

– Myślałam, że dostałam złoty bilet do raju. Tata, który sam dorastał w czasach komuny, wpoił mi, że Zachód to gwarant bezpieczeństwa dla spełnienia moich marzeń. Po wielu rozmowach z rodzicami sama już byłam przekonana, że trawa jest tam bardziej zielona i że jeśli tylko uda mi się zdobyć stypendium, wszystko będzie super. Kosztowało mnie to miesiące pracy, ale się udało.

Pamiętam chwilę, kiedy jechałam angielską takówką do nowej szkoły. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej tak mi serce biło jak wtedy. Zrozumiałam, że w wieku 16 lat wyniosłam się od rodziców, wyjechałam z kraju i jestem sama na głębokiej angielskiej wsi, gdzie jest więcej owiec niż ludzi.

Wprowadziłaś się do wiekowego, ceglatego gmazyska.

– Szkoła wygląda jak Hogwart, ale nie jest w niej tak bajkowo. To była alternatywna rzeczywistość. Siedziałam w stołówce z dziećmi z niewyobrażalnie bogatych rodzin. Na porządku dziennym były histo-



• **Wiktoria Jędruszkowiak i Dominika Lasota na szczycie G7 w Schloss Elmau nieopodal Garmisch-Partenkirchen, czerwiec 2022**

FOT. KONRAD SKOTNICKI

rie o tym, jak to jedna koleżanka z arystokratycznej rodziny leci na weekend do Niemiec na bal na jej cześć. Albo kolega spędzi przerwę wielkanocną w południowej Afryce, żeby tam z ojcem polatać na safari. Dla dziewczyny spod Bydgoszczy – kosmos. Cały ten system prestiżu wydał mi się fałszywy. Bogaci ludzie, którzy najczęściej odziedziczyli majątek, kupują złoty bilet swoim dzieciom. Tu dostają porządną edukację, po której bez trudu aplikują na te wszystkie Oksfordy i idą dalej, np. do dzielnicy bankowej w Londynie, żeby zarabiać olbrzymie pieniądze, albo do polityki i potem rządzą Anglią. To fajne, sympatyczne osoby, ale najczęściej zupełnie oderwane od rzeczywistości.

Trudno ci tam było?
– Żyłam w tej swojej bajce. Uczyłam się, spełniałam ambicje, ale czułam, że to wcale nie jest najważniejsze. W Polsce wybuchały wtedy kolejne protesty, np. nauczycieli. Tata często dzwonił i opowiadał, jaki jest zły na to wszystko. Też byłam zła, ale nic nie mogłam zrobić, czułam się odcięta. Tam nie było szans na żaden protest, nawet klimatyczny; powieszenie plakatu czy wyjazd do pobliskiego miasta na strajk Fridays for Future nie wchodziły w grę. Wszystkim się wydawało, że jestem tam szczęśliwa. Jak miałam im powiedzieć, że jest mi bardzo ciężko? Bardzo podupadłam na zdrowiu psychicznym. Bycie odseparowanym od domu, miasteczka, rodziny, przyjaciół i kraju nie robi dobrze człowiekowi.

Można powiedzieć, że pandemia wyszła ci na zdrowie?
– Bardzo. Wróciłam do Polski, szkołę skończyłam zdalnie, poszłam na studia na Uniwersytecie War-

szawskim. Dołączyłam do Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. Ale przede wszystkim zdałam sobie sprawę, jak bardzo chciałam wrócić. Myślę, że to historia na odwrót: ludzie wyjeżdżają po szansę na lepsze życie, ja te szansę znalazłam tu, na miejscu. I rozumiałam, że nie chcę już więcej niczego osiągać sama. Generacja Z, moje pokolenie, żyje w toksycznej kulturze osiągnięcia, ambicji. Musimy bez ustanku pracować, najlepiej po osiemnaście godzin, pisać kolejne prace, zaliczać niezliczone konkursy, żeby potem wpisać je w esej, który wysłamy na uczelnię, albo żeby zapunktować u nauczycieli, rodziców, rówieśników. Te oczekiwania wrzucają nas w schemat, który mało komu wychodzi na zdrowie. Musiałam wyjechać, żeby zrozumieć, że taki świat, w którym ciągle muszę coś udowadniać i osiągać, nie ma sensu.

Prawdziwy punkt zwrotny przyszedł w lutym 2022 r.
– Wojna w Ukrainie zmieniła wszystko. W czwartek, 24 lutego obudziłam się o ósmej rano. Miałam kilka nieodebranych połączeń i wiadomość od kolegi, 25-latką z Ukrainy: „Zaczęło się”. I kolejną, że próbuje się ewakuować z Charkowa. I następną, że jedzie do Kijowa, tam postara się znaleźć jakiś schron. Odezwie się wkrótce. Zmroziło mnie, bo jak się widzi takie „wkrótce”, to nie wiadomo, czy to wkrótce w ogóle nadejdzie. Poszłam na zajęcia z socjologii. Wszyscy mieliśmy poczucie nierealności. Trochę pomogło to, że cały czas pisaliśmy do znajomych stamtąd, ogarnialiśmy, jak im pomóc.

A kiedy połączyłaś fakty i rozumiałaś, że wojna w Ukrainie i kryzys klimatyczny są ze sobą związane?
– Właściwie od razu dotarło do mnie, że nie jestem zdziwiona. I to była przerażająca myśl. Przecież ta wojna jest finansowana z konkretnych pieniędzy. Rosja jest państwem kopalnianym. Z tej

Generacja Z, moje pokolenie, żyje w toksycznej kulturze ambicji. Musimy bez ustanku pracować, najlepiej po osiemnaście godzin, pisać kolejne prace, zaliczać niezliczone konkursy, żeby potem wpisać je w esej, który wysłamy na uczelnię

żyły złota Putin sfinansował bomby, rakiety, czołgi, które teraz niszczą życie naszych znajomych. A to wszystko jest rezultatem decyzji politycznych podejmowanych w całej Unii Europejskiej, która była i nadal jest największym sponsorem rosyjskiej agresji, bo jest najbardziej uzależniona od rosyjskich paliw. Rozmawiałam o tym z przyjaciółką Weroniką Jędruszkowiak i doszłyśmy do wniosku, że skoro wojna jest wynikiem politycznych decyzji, trzeba na nią politycznej odpowiedzi. Zdecydowałyśmy, że zamiast pójść na Dworzec Centralny i pomóc w robieniu kanapek dla uchodźców, poszukamy takiej odpowiedzi.

I zorganizowałyście strajk.
– Rozmawialiśmy w ruchu, że trzeba koniecznie coś zrobić. Mówię: ogłosimy strajk na całym świecie, będziemy domagać się embarga na rosyjskie paliwa kopalne. Odcięcia tego strumienia pieniędzy, które finansują wojnę. Tydzień od wybuchu wojny. Napisałyśmy do wszystkich znajomych z ruchu klimatycznego na świecie. Na początku niedowierzanie, ale już po paru godzinach sprawy nabrały tempa. Zastrajkowaliśmy w Warszawie i w sześćdziesięciu innych miejscach na świecie.

Dziś o tobie i Wiktorii Jędruszkowiak mówi się jako o liderkach nowego nurtu w aktywizmie pochodzącego głównie z Europy Wschodniej. „New York Times” napisał o was: „Uważają, że wojna w Ukrainie jest brutalną manifestacją uzależnienia świata od paliw kopalnych. Połączyły dwie sprawy – aktywizm antywojenny i zmiany klimatu – aby w pełni wykorzystać ten moment, w którym uwaga świata skupia się na Ukrainie”.
– Te sprawy są nierozrwalne. Z biegiem tygodni widać było, jak poszczególne państwa, mniej lub

bardziej uzależnione od rosyjskich dostaw, wspierają Ukrainę. Weźmy Niemcy. To w końcu najbardziej uzależnione, szczególnie od rosyjskiego gazu, państwo w Europie. I ta ich solidarność z Ukrainą jest trochę taka, jak im wygodnie. Na zasadzie: wysłamy trochę pomocy militarnej, ale dalej będziemy przelewać miliardy euro Putinowi, bo potrzebujemy gazu, by przemysł mógł działać. W ciągu pierwszych miesięcy wojny udało nam się pojechać do Niemiec, Francji i Belgii, apelując o pełne embargo. Te podróże wybiły nam z głowy postrzeganie Europy jako gwaranta pokoju i demokracji.

A jeszcze w marcu 2022 pojawiały się analizy, że wojna w Ukrainie przyspieszy transformację energetyczną w Polsce i całej UE. Pisali tak np. naukowcy z PAN.
– W pierwszych tygodniach czołowa ukraińska klimatolożka dr Switłana Krakowska w schronie podpisywała raport IPCC [Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu ONZ]. Jako pierwsza naukowczyni mówiła, że kryzys klimatyczny i wojna w Ukrainie mają to samo źródło. Za tym poszli inni i mieliśmy wysyp raportów o tym, jak wielka jest skala finansowania tej wojny, jak surowce nadal płyną przez Estonię, Litwę do całej Europy, jak wiele pociągów z węglem wjeżdża dalej do Polski.

A na dodatek, zamiast odchodzić od paliw kopalnych, jedynie zmieniamy dostawców.
– W trakcie mundialu prezes Orłenu Daniel Obajtek chwalił się, że Polska podpisała rekordową liczbę nowych kontraktów z Katarą, który będzie największym dostawcą gazu do Polski. Teraz naszym dilerem jest dyktatura, która skorumpowała FIF-ę na 200 miliardów dolarów, w której w czasie przygotowań do mistrzostw zginęło co najmniej 6 tys. migrantów. Dyktatura, która może w każdej chwili podwyższyć ceny. To o jakiej suwerenności i bezpieczeństwie energetycznym mówimy?

Postanowiliście mówić to politykom prosto w oczy. W maju podeszłyście w Parlamencie Europejskim do Macrona i pytałyście go o krytykowaną inwestycję francuskiej firmy w rurociąg w Afryce. Poczulaś po tym, że masz moc?
– To nie tak. Nie traktuję go jak kogoś wyjątkowego. Nie czuję, żeby politycy byli ikonami. Nie są netykalni. To zwykli ludzie zatrudnieni przez nas do pełnienia służby. Możemy pociągać ich do odpowiedzialności, kiedy tej służby nie wykonują dobrze. Prezydent Francji jest jednym z unijnych liderów, więc mam prawo jako Europejka rozliczać go z tego, co robi.

Zobaczyłam człowieka, który próbuje przekonać nas o swojej świętości, a za zamkniętymi drzwiami robi bardzo brudne rzeczy. Wspiera i przyjaźni się z szefem TotalEnergies, największej spółki energetycznej we Francji, która nie dość, że finansuje rosyjskie wojsko w Ukrainie, to jeszcze buduje w Ugandzie największy na świecie rurociąg, wysiedlając ludzi, niszcząc Jezioro Wiktorii i tamtejsze parki narodowe. To jest teatr. Oni wszyscy: i Macron, i premier Morawiecki, i Tusk, zajmują się tworzeniem przed nami pewnego teatru. Każdy oczywiście w inny sposób. Kiedy spojrzymy na nich jak na aktorów, a nie ikony, znika dystans i przekonanie, że jestem słabsza w konfrontacji z nimi.

Historia z Macronem ma ciąg dalszy. Ciebie przekonywał, że nie może się mieszać w sprawę rurociagu w Afryce, bo to prywatna, a nie publiczna inwestycja. A jednak dziś odpytują go w tej sprawie wszystkie francuskie media.
– W tym momencie kwestia rurociagu w Ugandzie to jeden z głównych tematów politycznych we Francji. Na początku grudnia TotalEnergies musiało tłumaczyć się z inwestycji w paryskim sądzie [energetycznego giganta pozwala francuskie i ugandyjskie organizacje ekologiczne]. Nawet Parlament Europejski przyjął rezolucję przeciwko łamaniu praw człowieka przy tej inwestycji w Afryce.

Ale to nie jest zasługa jednej osoby, to zasługa całego ruchu, który walczy w tej sprawie od lat. Na początku roku byliśmy we Francji z aktywistkami i aktywistami z Ugandy i Tanzanii i to od nich po raz pierwszy media usłyszały o tym, co wyczynia tam francuska firma. Lawina ruszyła. Co chwilę organizowane są kolejne akcje, m.in. w Londynie i Nowym Jorku, bo okazuje się, że w sprawę zaangażowały się też międzynarodowe banki i firmy ubezpieczeniowe. Teraz po kolei udaje się każdy element rozebrać i poka-

eprasa.pl 4815a92854

Czym nam grozi pogoń za tożsamością

WSZYSCY JESTEŚMY SSAKAMI

Zostawcie sobie trochę miejsca na piłkę nożną, czekoladę, język aramejski, Tolstoja i miłość

Yuval Noah Harari

Ladujemy sobie pytanie, kim jesteśmy, skąd jesteśmy i czym jesteśmy. Poszukiwanie tożsamości jest ważne, wręcz fascynujące, ale bywa też groźne. Bywa bowiem tak, że precyzując własną tożsamość, zamykamy się na świat – dochodzimy do wniosku, że naszą tożsamość wyznacza przynależność do jakiejś grupy, i skupiamy się na tym w nas, co nas z nią łączy, ignorując skwapliwie całą resztę.

A tak naprawdę jesteśmy niewiarygodnie skomplikowani. Skupiając się na cząstce tożsamości w poczuciu, że tylko ona się liczy, nie rozumiemy, kim naprawdę jesteśmy. Dla mnie, Żyda, jest oczywiste, że historia i kultura żydowska są ważnym składnikiem mojej tożsamości. Ale to o wiele za mało, żeby zrozumieć, kim jestem. Składam się z wielu elementów rodem z całego świata.

Kocham futbol, mam go od Brytyjczyków. To oni go wymyślili. Wkopując piłkę do bramki, jestem jakby Brytyjczykiem. Rano wypijam kawę, dziękując Etiopczykom, którzy ją odkryli, oraz Arabom i Turkom, którzy rozpowszechnili ją na świecie. Lubię posłodzić ją lyżeczką cukru, więc jestem wdzięczny Papuasom, którzy udomowili trzcinę cukrową na Nowej Gwinei co najmniej osiem tysięcy lat temu. Czasami wzbogacam ją kostką czekolady, która przybyła do mnie z tropikalnych lasów Ameryki Środkowej i Amazonii, gdzie od jakichś pięciu tysięcy lat rdzenni Amerykanie przyrządzali kakaowe przysmaki.

Niektórzy Żydzi nie lubią futbolu, nie piją kawy, unikają cukru i czekolady, mimo to wiele zawdzięczają obcokrajowcom. Święty język judaizmu, hebrajski, pobrał wiele słów, idiomów i podstawowych struktur z innych języków, m.in. z fenickiego, akadyjskiego, greckiego, arabskiego, a przede wszystkim z aramejskiego. Spore fragmenty Starego Testamentu spisano po aramejsku, a nie po hebrajsku, podobnie jak dużą część Miszny, Talmudu i innych ważnych żydowskich tekstów. Starożytni Aramejczycy czcili Hadada, a nie Jehowę i zabili paru żydowskich królów, ale trudno sobie wyobrazić język hebrajski i hebrajską kulturę bez aramejskiego wkładu. Ortodoksyjni Żydzi wychodzą, sły-

sząc aramejskie brzmienie kadiszu. Jakies dwa i pół tysiąca lat temu Żydzi porzucili nawet własne hebrajskie pismo i po dziś dzień piszą Torę, Talmud i codzienne gazety aramejskim pismem.

A co do idei pisma, jest ona zasługą nie Aramejczyków, tylko starożytnych Sumerów. Tysiące lat przed pierwszym Żydem paru sumeryjskich geeków założyło start-up – pisali patykiem po kaluży błota, a potem wynaleźli kod dla tych znaków i technologię pisma, która ostatecznie dała nam książki, gazety i strony internetowe.

Nie tylko język i pismo, także podstawowe wątki religijne trafiły do judaizmu z zewnątrz. Nigdzie w Torze nie ma np. mowy o nieśmiertelnej duszy, która byłaby kara lub nagradzana w życiu pozagrobowym, co znaczy, że nie był to kluczowy element biblijnego judaizmu. Bóg Starego Testamentu nigdy nie obiecywał wiecznej szczęśliwości w niebie tym, którzy będą przestrzegać jego przykazań, ani nie groził grzesznikom wiekuistymi płomieniami w piekle.

Napisałem: „Nie tylko język i pismo, ale także podstawowe wątki religijne trafiły do judaizmu z zewnątrz”; powinienem napisać: „Nie tylko język i pismo, ale także podstawowe religijne przekonania trafiły do judaizmu z zewnątrz”. Wiara w życie pozagrobowe przeniknęła doń z innych religii, z greckiej filozofii Platona i perskiego zoroastryzmu. Persowie przekazali też Żydom idee diabła – i mesjasza.

Od kuchni po filozofię i od medycyny po sztukę – większości tego, co utrzymuje nas przy życiu, i tego, co sprawia, że ma ono sens, nie wynaleźli moi pobratymcy, tylko narody całego świata. To samo można powiedzieć o wszystkich innych narodach. Ktoś chciał swego czasu umniejszyć kultury afrykańskie i spytał szydler: „Kto był Tolstojem Zulusów?”. Wierzył, jak się zdaje, że kultura żadnego afrykańskiego ludu – ani Zulusów, ani innych – nie wydała dzieł porównywalnych z „Wojną i pokojem” czy „Anną Kareniną”. Afroamerykański dziennikarz Ralph Wiley odpowiedział mu z zapierającą dech prostotą. Zamiast wyliczać zuluskich pisarzy – takich jak Benedict Wallet Vilakazi, Mazisi Kunene czy John Langalibalele Dube – lub upierać się, że Afrykańczycy – dajmy na to Chinua Achebe, Chimamanda Ngozi Adichie czy Ngũgĩ wa Thiong’o – do-

równują zachodnim autorom, ominął szerokim łukiem tę pułapkę, stwierdzając w swojej książce „Dark Witness”, że „Tolstojem Zulusów jest Tolstoj – chyba że wolimy oddać uniwersalne zdobycze ludzkości w wyłączne plemienne posiadanie”.

Wbrew pomysłom fanatycznych rasistów i tych, którzy doprowadzają potępienie „kulturowego zawłaszczania” do skrajności, Tolstoj nie jest własnością Rosjan. Należy do nas wszystkich. Oddziałali nań głęboko cudzoziemcy – Francuz Wiktor Hugo i Niemiec Artur Schopenhauer, nie wspominając o Jezusie i Buddzie. Tolstoj pisał o uczuciach, problemach i sprawach nie mniej istotnych dla mieszkańców Durbanu i Johannesburga niż Moskwy i Petersburga.

Dwa tysiące lat temu tę samą ważką myśl wyraził wyzwolony niewolnik, afrozyski komediopisarz Terencjusz: „Człowiekiem jestem; nic, co ludzkie, nie jest mi obce”. Każdy człowiek dziedziczy wszystko, co stworzyła ludzkość. Ci, którzy w pogoni za tożsamością zawężają swój świat do dziejów jednego narodu, odwracają się od własnego człowieczeństwa. Dewaluują to, co dzielą z innymi.

I dewaluują coś o wiele głębszego. Wszystkie wynalazki i idee, któreśmy powzięli przez parę tysięcy lat, to ledwie wierzchnia warstewka tego, czym jesteśmy. Pod nią, w głębinie naszych ciał i umysłów, kryje się coś, co ewoluowało miliony lat, długo przed pojawieniem się pierwszych ludzi. Ta głęboka tajemnica przejawia się we wszystkim, co czuję i myślę. Chcąc pojąć, czym jesteśmy, musimy otworzyć się na tę tajemnicę i zgłębić ją, a nie zadowalać się opowieścią o przynależności do plemienia, które żyło przez parę tysięcy lat na jakichś wzgórzach, nad jakąś rzeką.

Weźmy nasze rytuały zalotów. Co czujemy, widząc kogoś wedle nas atrakcyjnego, kiedy pierwszy raz trzymamy się za ręce, kiedy wymieniamy pierwszy pocałunek? Pomyślmy o burzy uczuć, o nadziejach i lękach, o „motylkach w brzuchu”, o uderzeniach gorąca i przyspieszonym oddechu. Czym jest to wszystko, czym nieprzerwanie fascynują się pisarze i o czym śpiewają bardowie?

Nie wymyślili tego Żydzi, Aramejczycy, Rosjanie ani Zulusi, nie wymyślił żaden człowiek. Ewolucja kształtowała to przez miliony lat, które dzielimy nie tylko z wszystkimi

ludźmi, ale także z szympanсами, delfinami, niedźwiedziami i innymi zwierzętami. Rytuały religijne, jak żydowska bar micwa czy chrześcijańska eucharystia, liczą ledwie dwa tysiąclecia, łącząc obecne pokolenie z jakąś setką poprzednich. Dla porównania – miłosne rytuały ssaków sięgają dziesiątków milionów lat, łącząc nas z milionami ssących pokoleń, a nawet ich poprzedników.

Chcąc zawęzić moją tożsamość do przynależności do jednej konkretnej ludzkiej grupy, ignoruję hurtem to wszystko. W mojej tożsamości mało zostaje miejsca na piłkę nożną i czekoladę, na aramejski i Tolstoj, ba, na miłość. Zostaje mi wąska historia plemienna, która sprawdza się jako broń zaczepna w bitwach o tożsamość, ale ma swoją wysoką cenę. Trzymając się jej, nie poznaję prawdy o sobie. ●

Tekst ukazał się w magazynie „Time”. Tytuł i lead od redakcji. Copyright Yuval Noah Harari 2023.

Yuval Noah Harari

• Ur. w 1976 r., izraelski historyk, profesor na Hebrew University w Jerozolimie. Jeden z najbardziej wpływowych makrohistoryków i myślicieli współczesnych, autor międzynarodowych bestsellerów: „Sapiens. Od zwierząt do bogów” (21 milionów sprzedanych egzemplarzy), „Homo deus”, „21 lekcji na XXI wiek” czy czterotomowej serii „Sapiens. Opowieść graficzna”. Książki Harariego w Polsce publikuje Wydawnictwo Literackie.

• Nowa książka Harariego – napisana z myślą o młodych czytelnikach – „Niepowstrzymani. Jak przejęliśmy władzę nad światem” – już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl. Wciąż dostępna jest też słynna książka „Sapiens. Od zwierząt do bogów”.



FOT. MICHAŁ OLSZEWSKI GAZETA WYBORCZA/PMM



KAŻDA KROPLA JAK ZŁOTO

Dla niego nawet emigranci z Egiptu, którzy jeżdżą śmieciarkami po jordańskich miastach, są królami życia

Michał Olszewski

AMMAN

Przyszłość? Przyszłość jest stracona – to Mohammad, 22-latek, pracownik rolny bez pozwolenia na legalną pracę. Siedzimy w jego kontenerze, w metalowym pudle trzy na pięć metrów, w którym jest fioletowy dywan, butla gazowa do kuchenki, saturator z wodą, poduszki dla gości oraz dwie walizki do wszystkich ubrań. Do kontenera przyklejony jest namiot, a w namiocie talerze, kilka słoików z oliwkami, placki w foliowej torebce. Jest jeszcze toaleta – wykopana w kamienistej ziemi dziura.

Obóz nie ma nazwy, wyrasta z piachu i kamieni przy bocznej drodze niedaleko granicy Jordanii z Syrią. W rejestrach organizacji pomocowych nosi numer 068, takich miejsc są w kraju setki. Dekadę po exodusie Syryjczyków w Jordanii mieszka 660 tys. uchodźców, z czego 134 tys. w legalnych obozach. Część koczuje w namiotach na pustyni, wśród gruzowisk, pod wiaduktami, w pobliżu gajów oliwnych, luksusowych osiedli i zubożałych miasteczek. Czasami to konstrukcje z plandek, na ziemi niczyjej, czasami miasteczka z dostępem do elektryczności i wody, z zagrodami dla owiec i wielbłądów, wybudowane na prywatnym terenie, a wtedy koczownicy muszą płacić za dzierżawę.

Latę w obozie jest gorąco jak w piekle, zimą przychodzą śnieg, ujemne temperatury i huraganowy wiatr. Mieszka tu ok. 300 osób, z czego 60 to dzieci w wieku szkolnym. Część chodzi piechotą 10 km do szkoły. Kiedy kończy się praca przy brzoskwinach, ziemniakach, pomidorach i truskawkach, wszyscy siedzą i czekają. Mohammad śpi, poprawia linki w namiocie, żeby porywisty wiatr go nie zwał, a potrafi wiać – obóz stoi w marsjańskim krajo-

brazie, na zboczu łagodnego wzniesienia, z którego widać wielką, zmęczoną i pustą równinę z czarnym masywem skalnym na horyzoncie. Pośród kamieni i plastikowych szmat blakają się zdziczałe psy, z rzadka przez horyzont przejeżdża samochód. Czas można też wykorzystać na wyjście do wiejskiego sklepu albo wizytę u sąsiadów z kontenera obok.

Największym wydarzeniem jest przyjazd kliniki mobilnej – internista, pielęgniarka i ginekolożka przyjmują tłum dzieci i kobiet w największym, przedzielonym kotarą na pół namiocie. Każda kropla wody jest tu na wagę złota – Jordania wysycha.

Muhammad, od 10 lat tułacz, chciałby mieć dom jak Jordańczycy – z łazien-

ką, salonem i kawałkiem ogródka – pracować w mieście i zarabiać, ale przekonuje sam siebie, że to niemożliwe. Z jego perspektywy nawet emigranci z Egiptu, którzy jeżdżą śmieciarkami po jordańskich miastach, są królami życia. Na razie ma kontener, namiot, co oznacza niemało, i jest synem shawisha, czyli lidera obozowej społeczności. Elita.

NIE MA JUŻ MORZA NAMIOTÓW

Obóz 068 nie jest otoczony drutami i daje wolność wyboru. Mohammad może przeprowadzić się do legalnego obozu w Zaatari. To jedno z największych na świecie

skupisk uchodźców. Odda kawałek wolności, ale zyska opiekę socjalną. Może zdobyć chociaż namiastkę wykształcenia. Od 2013 roku, kiedy przeszedł ze swoim kłanem przez granicę, uganiał się po gospodarstwach za każdym dinarem. Będzie mu trudniej z zatrudnieniem – legalne promisy są ściśle reglamentowane, a za nielegalną pracę można z obozu karnie wylecieć – ale zostanie prąd, wodę i voucher na jedzenie.

Zaatari jest rozległym, sprawnie funkcjonującym miastem na pustyni. W porównaniu z 2013 rokiem, kiedy na powierzchni 6 km kw. mieszkało 150 tys. uciekinierów, zrobiło się przestronniej: mieszkańców jest dwa razy mniej (połowa to dzieci), pozostali rozjechali się po świecie, a dziennikarze, którzy ustawiali się w kolejce po przepustkę, przyjeżdżają rzadziej. Z obrazów, które wówczas obiegły świat, pozostało niewiele: nie ma już morza namiotów brązowych od piasku – zastąpiły je kontenery.

Ci, którzy pozostali w Zaatari, mają do dyspozycji meczety, kawiarnie, szpitale, szkoły i restauracyjki, place zabaw, szewców, krawców, fryzjerów, cukierników, sklepy AGD, sklepy z telewizorami i sklepy mięsne, naprawę telefonów komórkowych, sprzedawców sziszy, a nawet rzemieślnika, który za niemałą sumę zmieni zwykły rower w napędzane elektrycznym silnikiem cacko. Łącznie działa tu ponad 1800 małych biznesów. Po głównej alei, nazwanej przez mieszkańców na pamiątkę utraconej ojczyzny Champs-Élysées (ash-Sham to syryjska nazwa Damaszku), przecinającej obóz na połowę, od świtu do zmroku chodzą tysiące ludzi, głównie młodych. Gra muzyka, sprzedawcy krzyczą, osiołki ciągną wózki wypełnione warzywami, niesie się pianie kogutów, na czystym niebie widać stada gołębi. Zamiast namiotów kontenery, bieżąca woda, elektryczność. Otoczono-

ne drutem kolczastym i wysoką siatką Zaatari jest w tej chwili II. pod względem liczebności miastem w Jordanii. Mieszkańcy mają wiele, nie mają swobody. Żeby legalnie opuścić obóz, do pracy czy na zakupy, konieczne jest pozwolenie policji. Jego brak oznacza wydalenie.

Mohammad powrotu do obozu sobie nie wyobraża. – Spędziłem z rodziną pięć lat w obozie Azraq i więcej tam nie wrócę. Dostawaliśmy 23 dinary miesięcznie na głowę i nie dawalo się za to żyć. Teraz zarabiam w ciągu miesiąca ponad 100 dinarów. Za mało, żeby cokolwiek planować, ale z głodu nie umrę.

RODZENIE I WYCHOWANIE

48-letni Ismail Abu Adel, którego spotykam w Zaatari, mógłby być ojcem Mohammada. Mógłby też być lustrem, w którym odbija się jedna z możliwych dróg młodego mężczyzny, gdyby wybrał powrót do obozu. Bezrobotny, ale żyje na wyższym poziomie niż inni mieszkańcy. Kontenery są większe, skleione w całość, nie niszczy ich błotna powódź, nie poniesie wiatr. Abu Adel ma nawet podwórko, po którym biega stado kur. W Zaatari mieszka z rodziną już 10 lat, bez nadziei na powrót do Syrii. Ojciec szóstki dzieci, z których troje nie zna innego świata niż obóz i jego najbliższe otoczenie. Od ponad 10 lat Abu Adel właściwie nie wychodzi poza ogrodzenie, nie ma powodu. Nie zabiega o pozwolenie na pracę poza obozem ani o pozwolenie na wyjazd rekreacyjny. Dzieci jeszcze nie widziały Ammanu. Raz żona Ismaila dojechała ze starszymi dziećmi na obrzeża stolicy, żeby wziąć udział w ślubie kuzynki: słynnej cytadeli czy amfiteatru nie obejrzeli nawet z daleka.

Cztery córki Ismaila Abu Adela mają jedno marzenie: każda chce zostać panią doktor, najlepiej taką jak te, które pracują w jednej z klinik wewnątrz obozu. Przyjmują porody albo zaglądają dzieciom do gardel. Na razie nie ma na to szans – wśród 126 zawodów, którymi legalnie mogą zajmować uchodźcy z Syrii, są betoniarz-zbrojarz, górnik, rybak, mechanik, hotelowy boy czy kucharz. Nie ma lepiej płatnych profesji, bo dostępu do nich strzegą Jordańczycy, wśród nich lekarze. Nawet jeśli córkom Ismaila Abu Adela uda się skończyć szkołę średnią, uderzą głową w szklany sufit. I to podwójny: mimo że liczba pracujących kobiet w Jordanii stale rośnie, nadal wynosi ok. 10 proc. Głównym zadaniem Syryjek wciąż jest rodzenie i wychowywanie dzieci.

Ismail Abu Adel: – W Syrii stres i smutek rozładowywałem na polowaniach. Tutaj mogę chodzić po Champs-Élysées i rozmawiać z kolegami. Założyłem kurnik i to mnie trochę uspokaja. Mój dzień? Chodzę po obozie, biorę leki, bo zacząłem chorować. Patrzę na kury, jak rosną, rzucam im ziarno, jajka zbieram. Przyszłość? Raczej już stąd nie wyjadę, o powrocie do Syrii nawet nie myślę. Ale chciałbym, żeby dzieciom się udało.

Według ostatnich badań UNHCR 42 proc. dorosłych mieszkańców Zaatari skarży się na ustawiczną depresję. Zaledwie 4 proc. dorosłych ma zezwolenie na legalną pracę, dwie trzecie rodzin tonie w długach.

ŻYCIE ZAMKNIĘTE

Mohammad może wyprowadzić się do miasta tak jak starszy o trzy lata Abdul Rahman Hariri, w Syrii od 2013 roku. Z nadgranicznego miasta Dara uciekł do Zaatari, a stamtąd trafił do Irbidu, trzeciego pod względem wielkości miasta w Jordanii. Pracuje legalnie w restauracji, ma stałą pensję, wynajmuje mieszkanie. Zbudowali z żoną kruchą stabilizację. Mieszkanie jest kolorowe, pełno w nim sztucznych kwiatów, różowych poduszek, fioletowych zasłon i jaskrawych zabawek dla trójki małych dzieci.

Rahman należy do grupy ponad 230 tys. uchodźców syryjskich, którzy otrzymali zezwolenie na pracę. Pozwolenie to szansa na ubezpieczenie, urlop, płatne zwolnienie chorobowe i pewność, że nalot inspektorów nie zakończy się mandatem ani deportacją do Syrii. Rynek jordański otwiera się przed nowymi pracownikami stopniowo, nadal niezależnie od kwalifikacji. Tylko 15 proc. pracowników syryjskich ma stałe zatrudnienie. Prawie 40 proc. pracujących legalnie Syryjczyków zarabia mniej niż 200 dinarów miesięcznie. Dla porównania – podobnie niskie zarobki otrzymuje tylko 18 proc. Egipcjan.

Rahman: – Zarabiam 250 dinarów, 120 placę za wynajem mieszkania, do tego prąd i woda. Nie dostajemy od organizacji dodatkowych kuponów na jedzenie. Wychodzimy co miesiąc na zero, ale tak jest lepiej, niż siedzieć w obozie i czekać na zmianę losu.

Bushra: – Nie marzę o przyszłości, koncentruję się na dzieciach. Proszę Allaha, żeby były zdrowe.

Miasto daje większe szanse niż obóz, ale nie oferuje żadnych gwarancji udanego życia. Kilka przecznic od małżeństwa Hariri, na czwartym piętrze podupadłego bloku, w ciemnym mieszkaniu o wytłuszczonych i brudnych ścianach mieszka S. z rodziną. Nie zgadza się na zdjęcia, w oczach ma rozpacz. Znika, gdy popatruje na miesięczne dziecko, które leży na łóżku pomiędzy wyczytany egemplarzem Koranu i zabawkami. Granicę przekraczał w 2015 roku z żoną i trójką dzieci jako prawnik z delikatnymi dłońmi, nawykłymi raczej do komputera niż trzymania miotły. W ciągu minionych siedmiu lat spłodził kolejną czwórkę potomstwa, ale w Irbidzie się nie odnalazł. Najpierw biedował, potem znalazł pracę w jednej z zagranicznych organizacji charytatywnych, ale odkąd przepędził go stamtąd COVID, wisi na zapomogach. Przekroczył czterdziestkę, jest zbyt stary na programy aktywizacji zawodowej. – Nikt nie potrzebuje moich usług. Znam się na prawie i bankowości, ale to dziedziny dla Syryjczyków zamknięte. Przysięgam, gdyby tylko to było możliwe, spakowałbym się i wrócił do siebie, ale mój dom nie istnieje. Zniknął po bombardowaniach.

Rahman i Bushra nie narzekają. Żona siedzi z dziećmi w domu, odpadają koszty przedszkola. Dostają od organizacji pomocowych pieniądze na dzieci, Polska Misja Medyczna zapewniła kobiecie sfinansowanie kosztów ostatniego porodu, lekarstwa i środki higieniczne.

Rahman: – Przyszłość? Patrzę najdalej miesiąc do przodu, żeby wystarczyło na czynsz i jedzenie. Mam ciotkę, która z Libanu wyjechała do Australii, i jeśli wyobrażam sobie jakąś inną przyszłość, to tam widzę nasze dzieci, w Australii albo w Europie. Mojej Syrii już nie ma, dom rodzinny zburzony.

S.: – Bezmiar czasu wolnego poświęcam głównie dzieciom. Mam dużo czasu na myślenie, oglądam telewizję, wiem, co się dzieje teraz na świecie. Wiadomości z Ukrainy otrzymujemy mało, ale jestem przekonany, że właśnie powtarza się historia. Jedynym narodem na świecie, który może zrozumieć Ukraińców, są Syryjczycy. Spadały na nas bomby tej samej produkcji, które teraz spadają na nich.

Mohammad do miasta się nie wybiera, choć przynajmniej, że byłaby to dla niego szansa. Policzył i wyszło, że łatwiej będzie utrzymać się na piachu i kamieniach, w kontenerze i z toaletą zasłoniętą kocami, niż inwestować w wynajem mieszkania.

2300 CIAŻ

Dzieci w obozie to skarb, nie traci na wartości, im bardziej go przybywa. W godzinach lekcyjnych obóz 068 wygląda, jakby zarządzały nim małeolnetni – najmłodsze bawią się starą oponą, starsze rozmawiają w drzwiach kontenerów, zaglądają do pu-

delka Mohammada. To największe marzenie lokalnej społeczności – mieć tyle pieniędzy, żeby dowozić młodsze dzieci do położonej daleko szkoły.

Dzieci są darem od Boga, naocznym dowodem prawidłowego funkcjonowania rodziny, dzieci zajmują czas, którego jest aż nadto, dzieci z ich rejdachem, płaczem i śmiechem zapełniają pustkę. Również Zaatari to obóz dzieci – wszędobylskich, wesołych, wiecznie zaaferowanych. W całej Jordanii dzietność maleje, ale nie tu. Od 2012 roku przyszło w obozie na świat 20 tys., a według wyliczeń UNFPA w największym jordańskim obozie w tym sa-

Tylko my możemy zrozumieć Ukraińców. Spadały na nas bomby tej samej produkcji, które teraz spadają na nich

mym czasie w ciąży jest 2300 kobiet. W rekordowym roku 2016 wskaźnik dzietności wyniósł 4,2. Dla porównania – w tym czasie w Polsce był on ponadtrzykrotnie niższy. Gdyby Zaatari było państwem, znalazłoby się w pierwszej dziesiątce krajów o najwyższym współczynniku urodzeń na świecie.

Pewnie dlatego obozy tętnią życiem. W miejscach bez przyszłości od świtu słychać głośny, radosny śmiech. Żeby pomóc w utrzymaniu rodzin, dzieci wcześniej odchodzą ze szkół, znajdując pracę poza obozami, głównie w rolnictwie, za minimalną stawkę i w ekstremalnych temperaturach. Wbrew rządowym zakazom dzieci żenią się i rozwodzą. W samym Zaatari ok. 600 dzieci w wieku poniżej 17. roku życia jest w małżeństwie lub już po rozwodzie, choć dzięki wysiłkom organizacji pozarządowych i dyskusji wewnątrz społeczności syryjskich procent dziecięcych małżeństw systematycznie maleje, a Saudyjczycy, którzy przyjeżdżali do obozów w poszukiwaniu kilkunastoletnich żon, pojawiają się tu znacznie rzadziej.

– Dlaczego rodzą? Nie zadajemy takich pytań, tylko próbujemy pomagać. Jeśli przychodzi na świat kolejne dziecko, wspieramy rodziców, żeby nie zostało bez opieki. Jeśli rodzice decydują, że więcej dzieci mieć nie chcą, oferujemy antykoncepcję – dodaje ginekolożka, która od kilku lat pracuje w Zaatari. Zaznacza jednak, że ta druga opcja wybierana jest rzadko, głównie w sytuacjach, kiedy kobieta jest chora.

– Bez dzieci nasza kultura nie istnieje – dodaje Ahmed Saleh El-Wahban, shawish, czyli wójt obozu 068, przytulając 10-letniego syna. Ahmed jest również ojcem Mohammada.

Kobiet nikt w 068 o zdanie nie pyta. W jordańskich obozach antykoncepcja traktowana jest z wielką nieufnością, szczególnie przez mężczyzn. Podejście islamu do antykoncepcji w teorii wygląda na bardziej liberalne niż w polskim katolicyzmie – jest dozwolona, jeśli ma charakter odwracalny i stosowana jest za zgodą obojga małżonków. Teoria jedno, a praktyka drugie: mimo że pigułki, wkładki domaciczne i prezerwatywy dostępne są na wyciągnięcie ręki, popytu nie ma, podobnie bowiem jak w obozach libańskich czy irackich sensem życia małżeństw są duże rodziny. Powody są prozaiczne: mężczyźni uważają, że seks to jedna z nielicznych przyjemności, jakie w życiu mają, nie zamierzają więc tej przyjemności umniejszać, na przykład poprzez używanie prezerwatyw. Do licznego potomstwa namawiają starszyny rodowe i duchowni, któ-

rzy uważają, że młodość wzmacnia islam. – Rozmawiałam z kobietą, która bardzo chciała mieć wkładkę domaciczną – opowiada jedna z polskich lekarek, które pomagają uchodźcom w Jordanii. – Nie mogła jej założyć, bo nie zgodzili się mąż i teściowa.

Ale jest jeszcze inna przyczyna, systemowa. Na każde dziecko uchodźcy otrzymują zapomogę w wysokości ok. 20 dinarów miesięcznie. To niewiele, ale już coś.

Barbara Chmielowska, koordynatorka projektów Polskiej Misji Medycznej w Jordanii: – Jako organizacja humanitarna odpowiadamy na najpilniejsze po-

trzeby. Nie jest naszą rolą mówić osobom znajdującym się w skrajnie trudnej sytuacji, jak mają układać sobie życie prywatne czy rodzinne. W Jordanii mieszkają setki tysięcy uchodźców, z których większość nadal potrzebuje wsparcia. Dlatego dzięki polskim funduszom rządowym uruchomiliśmy programy pomocowe. Po pierwsze, pokrywamy koszty opieki ginekologicznej i okoloporodowej dla kobiet w ciąży, a w szczególnych przypadkach również operacji. Nie ma znaczenia, czy mieszkają w legalnym obozie, w mieście albo na pustyni. Nie są ubezpieczone, co oznacza, że zazwyczaj nie stać ich na wizytę w szpitalu, a bezpłatna jest tutaj tylko podstawowa opieka medyczna. Po drugie, rozdajemy matkom pakiety higieniczne. Wielu rodzin tutaj nie stać na zakup pieluch, mydła, szamponu czy proszku do prania. Po trzecie, finansujemy kliniki mobilne, które docierają w najbardziej odległe miejsca, takie jak obóz 068.



Za plecami Mohammada, który uważa, że przyszłość jest stracona, że nie kupi domu i nie znajdzie innej pracy poza zrywaniem brzoskwiń, siedzi jak milczący i uśmiechnięty cień Amal Sami Shehadeh, 15-latka. Poznali się jeszcze w obozie Azraq i była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Jeśli dobrze liczę, ona miała wówczas lat nieco ponad pięć lat, on był 12-latką. Amal jest w pierwszej ciąży. Mohammad w maju zostanie ojcem i ten fakt napelnia go spokojną, cichą dumą.

– Jak wyobrażasz sobie przyszłość? – naiwnie pytam Amal. Dziewczyna w odpowiedzi wzrusza tylko ramionami i uśmiecha się, wyraźnie zawstydzona. Wcześniej pracowała w polu, odkąd zaszła w ciążę, chodzi do sąsiadów i krewnych. Dlaczego tak wcześniej decydują się na potomstwo? Insallah, wola Boga. ●

Projekty Polskiej Misji Medycznej w Jordanii są współfinansowane w ramach polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP oraz funduszy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów RP.

Wspieraj pomoc Polskiej Misji Medycznej w Jordanii: ustaw płatność cykliczną w twoim banku na działania PMM. Przekaż darowiznę na numer konta Polskiej Misji Medycznej:

62 1240 2294 1111 0000 3718 5444

EFEKTYWNY WOJENNY MENEDŻER

Słabszych zastrasza,
silniejszym służy,
wiernych częstuje koniakiem.
I czeka

Wiktorija Bielaszyn



RYŚ KRZYSZTOF PIETRASIK

Wplywowy biznesmen”, „były recydywista”, „następca Putina”, „aspirujący polityk”, „profesjonalny zabójca” – to tylko kilka z licznych określeń, którymi opisywany jest dzisiaj Jewgienij Prigożyn. Właściciela prywatnej rosyjskiej firmy najemniczej zwanej Grupą Wagnera, opowiadającego się za eskalacją wojny w Ukrainie, świat znał wcześniej przede wszystkim jako restauratora i „kucharza Putina”, a nie „człowieka, któremu Putin dał licencję na zabijanie”, jak opisuje go opozycjonistka Lubow Sobol.

Wraz z rozwojem pełnowymiarowej wojny i zupełnie jawnym funkcjonowaniem istotnych dla Kremla graczy poza jakimikolwiek normami prawa Prigożyn zaczął otwarcie przyznawać, że oferuje Kremłowi znacznie więcej niż dania kuchni rosyjskiej. „Jest niebezpieczny, bo uosabia kryminalną część natury Putina. Jest także jedyną osobą, która daje mu dzisiaj nieuzasadnioną nadzieję na szybkie zwycięstwo i zakończenie wojny”, mówiła w ubiegłym tygodniu dziennikarce Tatianie Felgenhauer Irina Borogan, badaczka rosyjskich służb.

Prigożyna bardzo długo kojarzono głównie ze zdjęć zrobionych w czasie wystawnych kolacji prezydenta Rosji z przywódcami innych państw. Na opublikowanych w sieci ka-

drach widzimy go najczęściej pochylonego nad suto zastawionym stołem, kiedy, lysawy i krzepki, podsuwa wyraźnie grymaszącemu Putinowi kolejne półmiski. Drwienie z jego nadskakującej postawy świadczy o krótkowzroczności, bo seria tego rodzaju zdarzeń zaważyła na życiu Prigożyna.

Dzięki umiejętności oblaskawiania zarówno jawnych bandytów, jak i zwyczajnie wpływowych osób stał się jedną z najbardziej znaczących i niepokojących postaci na rosyjskiej scenie. Gdyby nie to, ten chłopak, handlujący w latach 90. hot dogami na petersburskich ulicach, który niemalże całą pierwszą dekadę pełnoletności spędził w więzieniu za rozboje, napaści na kobiety i grabieże, nie miałby na to szans.

Z relacji byłych i obecnych najemników walczących dla Grupy Wagnera, a także

dziennikarzy, którzy przeprowadzili wiele śledztw, wynika, że Prigożyn jest w stanie odnaleźć się w niemalże każdym towarzystwie, budząc przy tym skrajnie różne emocje. Tych, którzy mu podlegają, traktuje z góry, nierzadko z premedytacją budząc w nich strach. Jedną z dziennikarek, od lat zajmująca się „kucharzem Putina”, zwraca uwagę na jego potrzebę poniżania ludzi, zwłaszcza tych, którzy znajdują się znacznie niżej w hierarchii.

Jednocześnie dla wąskiej grupy tych podwładnych, których ceni za lojalność, szczerość i prostolinijność, jest w stanie zrobić wiele. Marat Gabidullin, były dowódca z Grupy Wagnera, wspomina: „Jewgienij Prigożyn w dużym stopniu wpłynął na moje życie. To zdecydowany, brutalny i bezwzględny człowiek – lek-

ką ręką jest w stanie wysłać swoich ludzi na ubój, ale jeśli tylko może im pomóc, robi to, nie bacząc na koszty”.

Kryminalna przeszłość i znajomość więziennych realiów sprawiają, że Prigożyn świetnie odnajduje się w towarzystwie najemników i więźniów, budząc przy tym i strach, i szacunek. Jego ludzie z jednej strony są świadomi, że jeśli naruszą jakąkolwiek zasadę, Jewgienij bez mrugnięcia okiem skaze ich na śmierć, z drugiej widzą w nim kogoś ulepionego z ich gliny. „Zwerbowani do wagnerowców więźniowie z zachwytem informują, że Prigożyn to „taki oligarcha, ale swój”. Ma przychodzić do nich z drogim koniakiem, którego ci ludzie wcześniej na oczy nie widzieli, pić, żartować” – opowiada Olga Romanowa, działaczka niezależnej organizacji Rosja za Kratkami.

Inną, bo zdecydowanie mniej wyniosłą, twarz Prigożyn pokazuje rzecz jasna tym, od których zależy jego byt.

W 2001 r. Prigożyn, znany już wtedy w petersburskich kręgach nie jako sprdawca hot dogów, ale ambitny restaurator, co więcej, „poukładany”, a nawet zaprzyjaźniony z lokalnymi władzami, poznał Putina. Prezydent Rosji zaprosił ówczesnego prezydenta Francji Jacques’a Chiraca do jego restauracji New Island, funkcjonującej na statku, szalenie modnej i ekskluzywnej w tamtych czasach. Prigożyn i jego wspólnik oraz personel dwóili się i troili, by spełnić oczekiwania gości. „Władimir Putin zobaczył wtedy, że z pełnym odaniem sam nakrywam stół dla koronowanych głów, przecież przyszli do mnie w gości” – wspominał po latach w jednym z licznych wywiadów.

Usłużność, ekskluzywność oraz europejski, bo inspirowany Francją, sznyt jego restauracji poskutkowały kolejnymi predenckimi kolacjami, m.in. przy okazji wizyty w Rosji George’a W. Busha czy też urodzin Putina.

Ale na obecną pozycję Prigożyn pracował ponad dwadzieścia lat, nie tylko karmiąc, obsługując i goszcząc Putina oraz osoby z jego najbliższego otoczenia, choć zwykle uważa się, że od tego się zaczęło. „Forbes”, powołując się na informatorów z kręgów władzy, charakteryzował Prigożyną z pierwszej dekady lat dwutysięcznych jako „wesolego, czarującego gawędziarza”, który „objął posadę nadwornego błazna”, wkradłszy się w łaski osób zbliżonych do prezydenta. Robił to stopniowo, najpierw zdobywając zaufanie prywatnego kierowcy prezydenta Rosji, później Wiktora Zołotowa, ówczesnego szefa ochrony, a dopiero po długim czasie samego Putina.

Dzisiaj wielu analityków dostrzega, że w przypadku tego ostatniego na korzyść Prigożyną przemówiły nie tylko pracowitość, lojalność i deklarowana skłonność do poświęceń, ale też stosunkowo mętna i mroczna petersburska przeszłość, która nie jest też obca prezydentowi Rosji. „Mówią podobnym językiem, mają zbliżoną mentalność, co w ostatnich miesiącach tylko się uwidatniło” – tłumaczy dziennikarz śledczy i analityk polityczny Andriej Piercew.

Zanim jednak podobieństwa między Prigożyną a Putinem zostały dostrzeżone, komiczne kadry rozpowszechniane przez prasę, przedstawiające Prigożyną w roli usłużnego kelnera, w połączeniu z prześmiewczymi komentarzami sprawiły, że w oczach wielu mógł się jawić jako postać stosunkowo nieszkodliwa. A już na pewno „odległa od polityki”, jak w 2014 r. opisywał go niezależny portal Fontanka. Nic bardziej mylnego.

O tym, że petersburski biznesmen od lat nie ogranicza się do prowadzenia restauracji i świadczenia usług cateringowych, przebąkiwano od dawna. Już w 2013 r. „Forbes” zwracał uwagę, że w ciągu pierwszych jedenastu lat znajomości z prezydentem Rosji Prigożyn „przebył drogę od organi-

zatora wystawnych obiadów Putina do największego podwykonawcy ministerstwa obrony”, monopolizując równolegle rynek żywieniowy niektórych segmentów władzy. Należąca do niego firma Konkord stała się głównym dostawcą posiłków m.in. do części rosyjskich szkół, rosyjskiej armii, ale też firmą odpowiedzialną za organizację i obsługę kremlofskich bankietów.

„Wszystko dzięki Putinowi”, zarzucali mu zgorzkniali, wygryzieni z biznesu z dnia na dzień konkurenci, na co Prigożyn, z udawaną bezradnością, inkasując miliardy rubli z budżetu państwa, miał odpowiadać: „Nie mam z tym nic wspólnego, taka wola kierownika”.

Z czasem, udowadniał współpracownicy Aleksieja Nawalnego, apetyt Prigożyną rósł. Na początku drugiej dekady XXI w. powiązane z nim struktury w przedbiegach wygrywały większość państwowych przetargów. Jako jedna z pierwszych zaczęła mówić o tym Lubow Sobol. „To ja wyprowadziłam go z cienia. Przed moimi śledztwami jego przestępstwa były szarą strefą, mało kto o nich w ogóle wiedział. Aż sprawiłam, że dowiedział się o nim świat: o jego kryminalnej przeszłości, o powiązaniach z Kremlą, o przetargach na grube miliardy. Wiem, że dzięki moim śledztwom nie może wyjechać z Rosji, że oficjalnie jest poszukiwany przez FBI” – mówiła mi w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”, dodając, że Prigożyn „jest bardziej niebezpieczny od włoskiej mafii, słynie z mściwości i łatwo się obraża”.

Osoby, które miały z nim styczność w pracy, najczęściej w jakiś sposób w przeszłości mu podlegające, z nieskrywanym szacunkiem i podziwem opowiadają dzisiaj dziennikarzom o jego „złycie do interesów”, „zdolności szybkiego uczenia się” i „talentach przedsiębiorczych” przejawiających się m.in. w skłonności do podejmowania ryzyka. Zachwyty studzą jednak dziennikarze śledczy. „Nie wiemy, ile pieniędzy zarobił sam, a ile otrzymał na realizację swoich celów od państwa” – tłumaczy dziennikarka śledcza niezależnej redakcji Meduza Lilia Japparowa, choć podobnie jak moi pozostali rozmówcy zwraca uwagę na duże zdolności Prigożyną do szybkiego przyswajania wiedzy, wyciągania wniosków i uczenia się na błędach.

Śledzący jego poczynania analitycy twierdzą, że biznesmenowi „założy przede wszystkim na pieniądzech”, on sam zaś ma nie przejawiać „ambicji politycznych”, a co za tym idzie, nie stanowić konkurencji dla Putina. „Prigożyn następcą Putina? Nie sądzę, to bardzo hipotetyczny scenariusz. Widzimy, że jest całkowicie lojalny wobec Kremla i na razie nie przejawia aspiracji politycznych” – mówi Andriej Piercew.

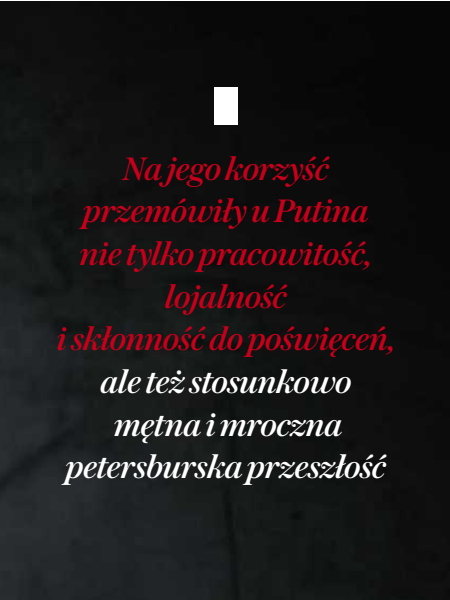
Wtórą mu opozycyjny polityk Gienadij Gudkow, twierdząc, że biznesmen to w gruncie rzeczy „lustró Putina”, służące m.in. do ukazywania tych radykalnych opinii i poglądów, których prezydent Rosji nie chce wypowiadać publicznie. Inny niezależny komentator, który prosi o anonimowość, zwraca uwagę, że Prigożyn jest przez Putina po prostu wykorzystywany – choćby do motywowania ministerstwa obrony – a jego gwiazda może zgasać równie nie spodziewanie, jak rozbłysła.

Tylko czy na pewno? Nie brakuje obserwatorów, którzy mają wątpliwości.

Obrończyni praw człowieka Olga Romanowa jest przekonana, że Prigożyn „rwie się do władzy”. „On ma szansę na przeżycie, a już na pewno na pozostanie na wolności, tylko jeśli zostanie prezydentem lub będzie tuż obok niego” – mówiła w listopadzie w „Current Time”. Z podobną prognozą wystąpił w tym tygodniu naczelny Wąжных Istorii Roman Anin, zwracając uwagę, że mający nie tylko własną armię, ale i własne media Prigożyn, którego autorytet ze względu na sukcesy Grupy Wagnera wzrósł w oczach prezydenta Rosji, nie może być traktowany jako bezwolny gracz. „Wojna stała się dla niego oknem możliwo-

ści i pokazuje, jacy ludzie mogą się znaleźć w Rosji u władzy”.

Zdaniem dziennikarza Prigożyn, skonfliktowany z wieloma wpływowymi osobami w Rosji, a także strukturami władzy, m.in. szefem administracji prezydenta, ministerstwem obrony i strukturami siłowymi, nie dopuści bez walki do tego, by następcą Putina został ktoś zdolny do odsunięcia go od koryta. A właśnie tego życzyłoby sobie rosyjskie elity polityczne. Nie wykluczone, że one również rozpoczęły już proces żmudnej i trudnej, bo wymagającej białych rękawiczek, próby degradacji i osłabienia jego wizerunku. Świadczą może o tym nagranie opublikowane kilka tygodni temu. Mężczyzna przedstawiający się jako były więzień opowiada, że Prigożyn, odsiadując wyrok, miał należeć do grupy więźniów świadczących usługi seksualne, a więc znajdujących się najniżej w hierarchii. Eksperci zwracają uwagę, że to może być prawda, ale niewykluczone, że ktoś z licznej grupy wrogów Prigożyną chce mu zaszkodzić. „Elity się go boją. Wiedzą, że skoro pokusił się o konflikt z gubernatorem Petersburga, to i z nimi może za-



czyć walczyć” – wyjaśnia Piercew.

Śmiałość, z jaką Prigożyn krytykuje niektórych przedstawicieli władz albo i całe struktury, jest postrzegana jako dowód, że ma przyzwolenie Putina na wypowiedzi, z którymi zgadza się głowa państwa. Ale nie brakuje opinii, że Prigożyn stał się w istocie czwartą władzą. I że bardzo mu ta rola odpowiada. „Uwolnić was stąd mogą tylko Bóg i Allah. Tylko że oni zabierają was w drewnianych pudłach, a ja mogę was zabrać żywych. Ale nie zawsze żywych was zwrócę” – grzmiał władczo na dzielnicy jednej z kolonii karnych, zwracając się do więźniów z propozycją wcielenia do Grupy Wagnera.

Prigożyn, choć nieznany masom przez dwie dekady rządów Putina i dopiero dziś rozpoznawalny jako „efektywny wojenny menedżer”, miał się wielu różnych zająć. „Zawsze chętnie brał się do wykonywania brudnej roboty, oferował Kremlowi usługi, władze zaś przystawały na te, które uznawały za przydatne” – tłumaczy Piercew. Początkowo głównie na skalę krajową.

Niezależna redakcja „The Insider” opisywała, że jedną z takich usług były próby dyskredytacji większości mediów w oczach Rosjan. Powołane przez Prigożyną platformy nieustannie przedstawiały mieszkańcom Federacji Rosyjskiej „dowody” na „sprzedajność” prasy i telewizji, podkopując i tak wątłe, ze względu na radziecką przeszłość, zaufanie Rosjan do mediów. Petersburgski biznesmen podejmował też próby inwigilacji TV Dożd’, „Nowej Gazety”, a nawet platformy Google, czyli mediów, które nie podporządkowały się Kremlowi.

„Kucharz Putina” od wielu lat nęka też niezależne rosyjskie media. Kiedy działa delikatnie, pozywa je za rzekome zniesławienie, domagając się ich zamknięcia lub wysokich odszkodowań, np. za upublicz-

nianie informacji, które po latach okazały się prawdziwe, jak doniesienia o finansowaniu Grupy Wagnera. Kiedy nie zdobywa się na subtelność, posuwa się, zdaniem niektórych ekspertów, do bardziej ostreżnych rozwiązań, o czym mieli się przekonać trzej dziennikarze śledczy Centrum Dossier Michaila Chodorkowskiego, którzy zginęli w Republice Środkowoafrykańskiej, badając działalność Grupy Wagnera. Z dotychczasowych ustaleń wynika, że Prigożyn oferuje usługi najemników nie tylko tam, gdzie bezpośrednio łączy się to z interesami Kremla, ale też w zamian za możliwość eksploatacji lokalnych zasobów naturalnych.

Prigożyn nazywany jest też założycielem oraz sponsorem fabryki trolli, czyli organizacji zajmującej się sianiem w internecie dezinformacji, kremlofskiej propagandy oraz manipulowaniem opinią publiczną. Nie tylko w kraju, ale też za granicą. Od dawna alarmowały o tym Stany Zjednoczone, wielokrotnie oskarżające Rosję i samego Prigożyną o próby ingerowania w amerykańskie wybory. W listopadzie „kucharz Putina” po raz pierwszy przyznał, że oskarżenia nie były bezpodstawne. Z charakterystyczną zuchwałością i zawołowaną groźbą przekazał redakcji Russia News: „Ingerowaliśmy, ingerujemy i będziemy ingerować, starannie, dokładnie i z chirurgiczną precyzją, bo wiemy, jak to robić. Podczas naszych »punktowych operacji« usuniemy jednocześnie obie nerki i wątrobę”. Podobną subtelnością wykazał się w listopadzie, kiedy w reakcji na przyjęcie przez Parlament Europejski rezolucji o uznaniu Rosji za państwo sponsorujące terroryzm wysłał do Parlamentu Europejskiego zakrawiony młot kowalski. Taki sam, jakimi wagnerowcy dokonują zabójstw w Syrii.

Ma ambicję czy nie – nie ulega wątpliwości, że po inwazji na Ukrainę „kucharz Putina” stał się pełnoprawnym aktorem na scenie politycznej. W dużej mierze dzięki własnej „pracy” i zaangażowaniu, a nie, jak dotychczas, układom. „Udało mu się przebić do najbliższego kręgu prezydenta, co jest niezwykle. Gdyby nie wojna, raczej by do tego nie doszło” – zwraca uwagę Lilia Japparowa.

Eksperci bardzo wyraźnie artykułują obawy związane ze wzrostem znaczenia Prigożyną, który nieustannie bada, gdzie leży granica jego wpływów. Wskazują jednak uspokajająco, że ma on w rosyjskim systemie więcej wrogów niż przyjaciół. Putin zaś widzi go jako narzędzie, nie następcę.

A Rosjanie? Prigożyn stara się niejako zjednać sobie elektorat zmarłego Władimira Żyrinowskiego i przedstawić masom jako silny „radykalny patriotą”, a przy tym prosty człowiek, który wyszedł z ludu. I w oczach wielu rzeczywiście staje się prawdziwym „silnym człowiekiem”, który może sobie pozwolić na więcej niż pogardzani czynownicy. Albo sądy – jak niedawno, kiedy Prigożyn, całkowicie pomijając nie tylko przepisy, ale i prezydenta, „ułaskawił” grupę więźniów najemników, którzy wywiązali się z umowy i wrócili z wojny.

Jekaterina Szulman, jedna z najwybitniejszych rosyjskich politolożek, prognozuje jednak: „Jest niebezpiecznym zjawiskiem, które zagraża każdemu modelowi władzy, nawet totalitarnemu. Akceptowanie takich osób świadczy o oderwaniu od rzeczywistości. Tacy ludzie często są przydatni do przeprowadzenia przewrotu i krótkoterminowego utrzymania władzy. Ale Rosjanie nie będą popierać Prigożyną, bo sami nie są zbrodniarzami i bandytami. Będzie zapotrzebowanie na policjanta, człowieka prawa, który stanie nad trupem bandyty”. ●

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI

SIĘGAJ ZA HORYZONT

Nie chcę, żeby Meta miała wgląd w moją duszę.

Z MIKKO HYPPÖNENEM*, FIŃSKIM EKSPERTEM DS. CYBERBEZPIECZEŃSTWA, ROZMAWIA JOANNA SOSNOWSKA

Ile pańskich prezentów pod choinką było smart? – Zero.

Ani jednej dla dzieciaków? – Jestem tym nudnym wujkiem, który upiera się przy kupowaniu tradycyjnych nakręcanych kolejek albo puzzli. Staram się żyć według własnych zasad. To oczywiście nie oznacza, że mój dom jest wolny od smarturządzeń, mam np. smartkamery dla bezpieczeństwa. Ale tylko dlatego, że kamery starszego typu nagrywały wszystko na taśmę, więc jeśli chciało się zobaczyć nagrania z konkretnego dnia i godziny, to trzeba było oglądać całość.

Już teraz wszystkie telewizory są smart, nie ma takich, których nie da się podłączyć do sieci. A ostatecznie do sieci podłączymy kolejne kategorie urządzeń i sprzętów, więc wszystko będzie smart. W swojej książce „If It’s Smart, It’s Vulnerable” opisuję, że właściciele pierwszych podłączanych do sieci urządzeń wiedzieli, że osiągną z tego jakąś korzyść, ale wraz z rozwojem technologii do internetu będziemy podłączać nawet najprostsze urządzenia, które nie dają nam żadnych korzyści z podłączenia do sieci. Korzyści osiągają wyłącznie producenci. A ostatecznie wszystko, co zostanie podłączone do gniazodka z prądem, będzie podłączone do sieci i nic z tym nie możemy zrobić.

Internet rzeczy jest według pana „nowym azbestem”, za 10, może 20 lat mamy zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo zblądziliśmy. Sądzi pan, że przejrzymy na oczy? – Wciąż jeszcze możemy zmienić kierunek. Spójrzmy na to z punktu widzenia cyberbezpieczeństwa. Smarturządzenia przybywają do nas głów-

nie z Chin – mają kiepsko zaprojektowaną łączność, a gdy wyjmujemy je z pudełka, są zdezaktualizowane, działają na starej wersji systemu operacyjnego, nie można zmienić do nich hasła, mają stare protokoły telekomunikacyjne. To dlatego w przyszłości internet rzeczy uznamy za jedną wielką pomyłkę. Ale wcale nie musi tak być. Wiemy, co robimy źle i co możemy poprawić pod względem bezpieczeństwa.

Tyle że smart staje się dziś coraz więcej urządzeń, w tym te medyczne. Czy powinniśmy zrezygnować z ich smartfunkcji na rzecz bezpieczeństwa? – To trudne pytanie, cieszę się, że rozmawiamy tylko hipotetycznie. W przypadku kwestii zdrowotnych rady zostawiam lekarzom i badaczom. Może im brakować wiedzy technicznej, ale mają wiedzę i doświadczenie, jak dbać o nasze zdrowie. Zamiast dorażać pacjentom czy lekarzom, wołałbym pracować z producentami tych smarturządzeń.

Co by pan im poradził? – Obecnie nie są zachęcani, żeby stosować lepsze zabezpieczenia. Użytkownicy – co zrozumiałe – skupiają się na cenie. Producenci nie dodają zatem funkcji związanych z bezpieczeństwem, bo podniosłyby cenę urządzenia. Dlatego musimy zmienić zachęty dla producentów. Gdy rynek się chwieje, wkracza rząd z regulacjami i prawodawstwem, ale rynek elektroniki konsumenckiej jest już teraz dość dobrze uregulowany, brakuje tylko regulacji bezpieczeństwa i to może się zmienić. W EU i USA, zwłaszcza w Kalifornii, już trwają dyskusje na ten temat.

Tu trzeba pamiętać, że łatwo można wpaść w pułapkę zbyt wielu regulacji i narzucania producentom metody zabezpieczeń. Producenci powinni po prostu być pociągani do odpowiedzialności za problemy stworzone przez ich niezabezpieczone urządzenia. W końcu to oni wiedzą najlepiej, jak naprawić własne niedoróbki. To byłoby też sprawiedliwe, bo odnosiliby się do wszystkich producentów, zatem wszyscy inwestowaliby w cyberbezpieczeństwo.

W 2017 roku przez Niemcy przetoczyła się głośna dyskusja o tym, czy rodzice

powinni wyrzucić z domów lalkę podłączoną do internetu, bo okazało się, że łatwo można złamać jej zabezpieczenia i podsłuchiwać dziecko albo się z nim komunikować. Czy musiałaby się powtórzyć taka sytuacja, ale na większą skalę, by wdrożyć regulacje? – Tak, będzie musiało się wydarzyć coś spektakularnego. Pamiętam ten przypadek, to oczywiście było szokujące, ale zadajmy sobie pytanie, co mógłby zrobić atakujący. Nic. Mógł prze-

W 2016 roku botnet złożony z inteligentnych kamerek niemal wyłączył usługi internetowe na wschodnim wybrzeżu USA. – Właśnie, a to dopiero początek. Takie botnety składają się ze zwykłych urządzeń domowych. Niekoniecznie telewizorów, raczej routerów. Wiele z nich bez wiedzy właścicieli jest zhakowanych, bo kto by pamiętał, żeby aktualizować i zabezpieczać router. A jednak to właśnie takie urządzenia są wykorzystywane do ataków, na których można całkiem nieźle zarobić. W przyszłości czeka nas coraz więcej ataków niewidocznych dla zwykłego użytkownika.

Jak już dziś możemy się zabezpieczyć przed przejęciem naszych inteligentnych żarówek i wag łazienkowych do niecnych celów? – Zawsze czytaj instrukcję obsługi nowego urządzenia. Dowiesz się tam, jak zmienić domyślne hasło, jak zaktualizować oprogramowanie. Dobrze jest

straszyć dzieci i rodziców, trafić na nagłówki gazet. Większość przestępców atakuje w konkretnym celu, najczęściej dla pieniędzy. I, co ciekawe, ogromna liczba ataków na internet rzeczy wykorzystuje smarturządzenia, by dostać się np. do firmowej sieci. Wykorzystują najsłabsze ogniwo, drukarkę albo skaner, a nie router czy laptop. Zabezpieczenia laptopów są już całkiem niezłe. Zabezpieczenia smarturządzeń – wręcz przeciwnie. Dlatego będą wykorzystywać luki w zabezpieczeniach do wykradania danych z sieci i ich sprzedaży albo podłączą te urządzenia do botnetu i będą je zaprzęgać do ataków typu DDoS, np. na sklepy online, i wymuszać od nich opłatę za zaprzestanie. Już dzisiaj największe botnety, czyli zbiory urządzeń zombi, które pozornie działają jak zwykłe, ale kontrolę nad nimi sprawuje ktoś inny, to botnety smarturządzeń.

Dziecko
PODSŁUCHANE PRZEZ LALKI

FOT. SHUTTERSTOCK

Czy „internet rzeczy” to nowy azbest – szkodliwa technologia, z czego zdamy sobie sprawę, gdy będzie za późno?

podzielić swoją domową sieć. Stwórz kilka sieci do osobnych zastosowań: dla komputerów, do rozrywki, czyli dla telewizji i konsoli, wyłącznie do zastosowań wewnętrznych, może w niej być np. zarządzanie oświeceniem. Część osób zdalnie uruchamia je podczas swoich wyjazdów, żeby udawać, że ktoś jest w domu. Ale jeśli nie chcesz sterować światłem spoza domu, to po co zostawiać taką możliwość. Zastanów się, które urządzenia muszą się łączyć z innymi, które urządzenia muszą się łączyć z internetem, a które mogą pozostać offline.

Ale oprócz internetu rzeczy pojawia się nowe zagrożenie. Sztuczna inteligencja AlphaCode wygrywa już konkursy dla programistów. Czy to oznacza, że otwierają się przed nami zupełnie nowe cyberzagrożenia?

– Martwię się tym od 17 lat.

W 2005 roku zaczęliśmy w F-Secure budować własny system uczenia maszynowego i od tamtej pory miałem z tyłu głowy, że jakiegokolwiek nowe narzędzia mamy do dyspozycji, to również ci źli mają do nich dostęp.

Przy budowaniu systemów samouczących się jest wysoka bariera wejścia – niewiele osób to potrafi. Dlatego więc ekspert od uczenia maszynowego czy sztucznej inteligencji miał

by przejść na ciemną stronę mocy? Po co miałby łamać prawo, żeby zarabiać pieniędze, skoro mógł je zdobyć całkowicie legalnie. Przynajmniej tak było kiedyś.

Dziś jest coraz więcej ekspertów od AI, samo budowanie systemów samouczących się jest dużo łatwiejsze. Przykład z algorytmem AlphaCode, który wygrał konkurs dla programistów, jest świetny. Ten system jeszcze nie jest publicznie dostępny, więc nie każdy może go wykorzystać, ale założę się, że szybko trafi do powszechnego użytku. ChatGPT, czyli sztuczna inteligencja, z którą można rozmawiać niemal jak z człowiekiem, może być wykorzystywana np. do ataków phishingowych i nie wymaga do obsługi absolutnie żadnego wykształcenia technicznego. A to oznacza, że coraz częściej będzie do takich ataków dochodziło. Algorytmy będą tworzyć złośliwy kod. Ataki phishingowe, social engineering, oszustwa oparte na romansie – będą to ataki przeprowadzane przez komputer, nie przez człowieka. A przede wszystkim – i to martwi mnie najbardziej – zorganizowane gangi przestępcze zaczną wykorzystywać automatyzację w swoich atakach. Ci, którzy grają w obronie, czyli m.in. firmy takie jak nasza, budowali automatyczne wykrywanie złośliwego oprogramowania od lat. Zatem my działamy z prędkością maszyny, a oni z prędkością człowieka.

Działają tak: tworzą nowy atak, np. ransomware. Mailem rozesyłają link do strony, na której ukryte jest złośliwe oprogramowanie. Nasze automatyczne rozwiązanie szybko to wychwyci, więc będą musieli zmienić adresy e-mailowe, z których rozesyłają wiadomości. Potem zorientują się, że zablokowaliśmy ich linki, ich adres IP, a w końcu, że rozpoznajemy złośliwe oprogramowanie, z którego korzystają, więc będą musieli je przepisać. Każdy z tych kroków muszą wykonać ręcznie. Każdy z kroków po naszej stronie jest zautomatyzowany. Ale to się zmieni – przypuszczam, że już w ciągu najbliższych miesięcy. Wiemy, że wciąż mamy przewagę, bo przestępcy działają zbyt wolno.

Co taka zmiana oznacza dla obrońców?

– Nie wiem. Tylko dobra AI jest w stanie zatrzymać złą AI. Obecnie nie wiemy, czy ta nasza jest wystarczająco dobra.

A zagrożenia związane z metawersum Marka Zuckerberga?

– W miarę, jak w metawersum będzie przebywać coraz więcej osób, zaczną się tam też pojawiać przestępcy, którzy będą chcieli wyłudzić dane osobowe i pieniądze. To mnie nie martwi. Martwi mnie Meta, spółka matka Facebooka, która na stworzenie metawersum wydaje miliardy dolarów rocznie. Wydali już 10 razy więcej niż Apple na zbudowanie pierwszego iPhone’a.

W samym 2022 roku wydali 36 mld dol.

– Właśnie, to obłędna suma. I zapowiadają, że będą wydawać, ile będzie trzeba, żeby swoją wizję zrealizować. Co zatem budują? Co to jest za wizja? Przecież to mądrzy ludzie, oczekują zwrotu z tej inwestycji. I to z nawiązką.

Obecnie Meta zarabia na głębokim zrozumieniu naszych emocji – tego, co kochamy, czego nienawidzimy, na co mamy nadzieję, czego się boimy. Wie, które produkty i idee zainteresują nas na tyle, że sięgnemy do portfela. Dzięki temu mogą nas profilować i zarabiać w modelu reklamowym. A teraz proszę sobie wyobrazić, że jest pani w metawersum Facebooka i widzi trzy osoby: swojego sąsiada, ojca i byłego chłopaka. Niektóre z tych postaci budzą u pani emocje, kogoś pani kocha, kogoś nienawidzi, może się boi. Podobne emocje będzie pani czuła w stosunku do produktów – niektóre panią zachwycą, inne nie wywołają żadnej reakcji albo znudzą. Wszystko to widzi pani dzięki goglom do VR Oculus produkcji

Facebooka. Meta zatem będzie wiedzieć, jak pani reaguje, kiedy rozszerzają się pani żrenice, to jedna z tych reakcji, których nie sposób udawać. Dzięki metawersum Meta będzie miała wgląd w moją duszę. Będzie wiedzieć, co dokładnie czuję – niezależnie od tego, co mówię czy robię – wobec produktów, osób, idei. Taką wiedzę można przekuć w dużo lepsze profilowanie, i samo to jest warte miliardy dolarów. To mnie martwi – do czyjego metawersum wchodzimy i co ta konkretna firma robi z informacjami wyczytanymi z naszych oczu.

Nie spodziewałam się, że bardziej zmartwi się pan budzącym kontrowersje, ale całkowicie legalnym biznesem, a nie zagrożeniami, jakie czekają w tym nowym świecie.

– Sama myśl, że Meta miałaby wgląd w moją duszę, jest dla mnie nieznośna.

Wolałby pan, żeby to np. Apple spoglądał w pana duszę?

– Apple nie buduje profili swoich użytkowników, nie zarabia na reklamach. Gdybym musiał wybierać, zdecydowanie wolałbym sprzedać duszę Apple’owi niż Mecie. Choć oczywiście w świecie idealnym wybrałbym otwarte metawersum podobne do naszego obecnego internetu.

Kto jest większym zagrożeniem dla internetu – gang cyberprzestępców czy państwo prowadzące agresywną cyberpolitykę?

– Zależy, kto pyta. Trzeba dobrze rozpoznać zagrożenia, inne stoją przed firmami z różnych branż, a inne przed państwem. Niektóre spółki powinny martwić się o swoje bazy danych albo dane płatnicze. Inne powinny obawiać się swoich konkurentów i szpiegostwa gospodarczego. Dla jeszcze innych zagrożeniem są hakywiści, którzy nie pochwalają sposobu zarabiania spółki i chcą to zakłócić w ramach protestu. I w końcu niektóre firmy powinny się obawiać zagranicznych agencji wywiadowczych. Pewne spółki mogą być celem ze względu na rolę, którą odgrywają podczas wojny. Sądzę, że moja firma byłaby takim celem ze względu na jej pozycję na scenie cyberbezpieczeństwa i IT.

Dlatego na początku trzeba odpowiedzieć na pytania: kim jesteśmy, co robimy, kto może mieć interes w tym, żeby nas skrzywdzić. I dopiero z tą wiedzą można przeznaczać skończony budżet i zasoby na bezpieczeństwo. Oczywiście może się wydawać, że przestępcy z Chin i z Rosji mają na celowniku wszystkich, ale tak nie jest. Także oni wybierają konkretne cele – specjalistów ds. obronności, parlamentarzystów, wykonawców wojskowych itd. Jeśli masz pecha i interesuje się tobą zagraniczny wywiad, to będzie bardzo trudno go uniknąć. Niezwykle trudno jest obronić się przed atakiem sponsorowanym przez państwo. Z jednej przyczyny: przestępcy się poddają. Oni nie chcą hakować konkretnej osoby, tylko chcą zarabiać pieniądze. Jeśli coś w ich procedurze nie idzie albo idzie zbyt wolno, jest za trudne, to po prostu zmieniają cel. W końcu cele są wszędzie dookoła. Rządy i agencje wywiadowcze nie zmieniają zdania. Jeśli celem jest wykradzenie informacji z konkretnej sieci, to będą próbować tak długo, aż w końcu się uda. Przeciwnik, który się nie poddaje, jest wyjątkowo groźny. I prawdopodobnie osiągnie swój cel.

Tak jak Rosja, atakując ukraińską sieć energetyczną w 2015 i 2016 roku? Teraz ponownie atakuje ukraińską infrastrukturę krytyczną, ale wykorzystuje rakietę, a nie złośliwe oprogramowanie, choć to właśnie Rosjanie po raz pierwszy udowodnili, że kilka linii kodu złośliwego kodu może unieruchomić sieć energetyczną. Dlaczego?

– Ostatnio próbowali użyć cyberataku przeciwko ukraińskiej sieci energetycznej w kwietniu 2022 roku. Bezskutecznie. Dopiero po tej próbie zaczęli atakować ich infrastrukturę tradycyjnymi sposobami, czyli po prostu ostrzałem raketowym. Cyberatak byłby dużo bardziej skuteczny – można nim celniej uderzyć, zrobić to po cichu i umyć ręce. Ale jeśli obrońca jest w stanie odbić wszystkie ataki, to pozostaje jedynie atak konwencjonalny.

Cyberataki przeprowadzane w Ukrainie są sponsorowane przez rosyjski rząd. Skupiają się przede wszystkim na Ukrainie, bo Rosjanie obawiają się eskalacji. To, co się dzieje poza Ukrainą, to robota innych grup – rosyjskich hakerów patriotów i rosyjskich cybergangów, które działają jako proxy dla rządu na Kremlu. Prawdopodobnie dostają informacje o tym, kogo zaatakować, i są do tego zachęcane, ale nie mają żadnych bezpośrednich związków z rządem. Inaczej jest z niesławną jednostką Sandworm, grupą hakerów, która działa wewnątrz GRU. To oni są odpowiedzialni za nękanie Ukrainy cyberatakami od 2015 roku. Podczas tej wojny Sandworm był aktywny przez cztery pierwsze miesiące 2022 roku, potem na chwilę zamilkł, a od mniej więcej kwartału znów działa, atakując infrastrukturę krytyczną Ukrainy. Chyba wszystkich zaskoczyło to, jak skutecznie broni się Ukraina przeciwko zarówno tradycyjnym atakom, jak i tym w cyberprzestrzeni. Stała się ekspertem w wojnie z Rosją pod każdym względem.

Zajmuje się pan cyberbezpieczeństwem od blisko 30 lat. Widział pan, jak powstają nowe zagrożenia, jak profesjonalizują się grupy hakerów, jak powstają nowe techniki oszustw. Jakim cudem nie stracił pan jeszcze nadziei?

– Z optymizmem patrzę w przyszłość. Dzisiejsze zabezpieczenia naszych urządzeń i systemów są lepsze niż kiedykolwiek w historii. Wiem, że tak się nie wydaje, ale to prawda. I to z prostej przyczyny: dobrych wiadomości się nie rozgłasza. W ciągu ostatnich 20 lat wykorzystanie technologii w naszym życiu eksplodowało. Dziś każdy ma po kilka urządzeń podłączonych do sieci i przechowuje na nich coraz cenniejsze informacje, zatem potencjał do cyberprzestępstw jest większy – obecnie oplacają się bardziej niż dekadę temu. Media szeroko informują o włamaniach, wyciekach danych i oszustwach. Ale gdy uda się zapobiec atakowi, gdy nie dojdzie do wycieku danych, gdy uda się zwabić przestępcę w pułapkę, takie informacje nie mają szans się przebić. Zwracamy uwagę na ciemność, ignorujemy światło. Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość, ale jestem optymistą. Powtarzam w książce, że internet jest najlepszą i najgorszą rzeczą, jaka wydarzyła się w czasie naszego życia. Ale internet przyniósł nam dużo więcej dobrego niż złego. ●



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Mikko Hyppönen

• Fiński ekspert ds. cyberbezpieczeństwa, pracuje jako chief research officer w firmie WithSecure (poprzednio znanej jako F-Secure for Business), członek wielu organizacji międzynarodowych, m.in. CARO (Computer Anti-Virus Researchers Organisation) i EICAR (European Institute for Computer Anti-Virus Research). W 2021 r. opublikował pierwszą książkę „If It’s Smart, It’s Vulnerable”

Jutronauci

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk kładziemy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają uczyć się wartości, skoro w posadach trzęsą się dotychczasowe ich gwaranty: kościół i rodzina? Zastanawiamy się też, jak pod wpływem migracji zmienia się nasze społeczeństwo. W tym roku ponownie spoglądamy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem Jutronautów oraz ekspertów.

Jak osiągnąć mistrzostwo bez wysiłku

Nam nie przychodziło do głowy atakować naszych rodziców i nauczycieli, że taki zgotowali nam los.

Marcin Matczak*

6 stycznia poranek w Radiu TOK FM miał być dyskusją młodych ze starszymi, ale gdy redaktor Żakowski przywołał symbolikę Trzech Króli („stare oddaje hold młodemu i nowemu”), postawił starszych (Agnieszkę Holland, Monikę Płatek i mnie) w pozycji dość trudnej. Nielatwo się bowiem dyskutuje na kolanach. I pierwsza część audycji to potwierdziła. Prowadzący wybrał strategię ostrożnej defensywy wobec wypowiedzi trojga młodych ludzi: Pauliny Janiszewskiej, Wiktorii Jędruszkowiak i Michała Tomasika. Wydaje się, że głównym założeniem było, aby ich nie urazić, choć oni sami raczej języka nie powstrzymywali: słowem kluczem tej części był „dziadocen”, termin przywołujący na myśl jednocześnie dziada, skamielinę i wyginiecie dinozaurów.

Wysłuchałem tego, co mówili. Z pewnością jest w nich wiele frustracji i poczucia, że jest im trudniej niż poprzednikom. Z pewnością mają poważne powody do obaw, jak będzie wyglądała ich przyszłość w sensie ekologicznym i ekonomicznym. Rozumiem to i rozumiem niepokój, w której przyszło im żyć. Ale zarazem pamiętam, że jako młodzi ludzie odczuwaliśmy równie poważne, katastroficzne obawy. W czasach zimnej wojny była nią całkiem realna wizja zagłady atomowej. Nie przychodziło nam jednak do głowy atakować naszych rodziców i nauczycieli, że taki zgotowali nam los. Dziś reakcją na poczucie niepewności jest agresja, kiedyś było jej w relacjach pokoleniowych mniej.

Z dwoma wyjątkami. Na jeden zwrócił uwagę redaktor Żakowski – to lewicowa rewolucja 1968 roku. Drugi to rewolucja kulturalna Mao. Łączy je skrajna agresja wobec starszych, nauczycieli, mistrzów oraz poczucie wyższości po stronie młodych. Jej symbolem był atak na Paula Ricoeura, jednego z najwybitniejszych filozofów XX wieku, którego w 1968 roku młodzi rewolucjoniści obrzucili zawartością kubła na śmieci i nazwali „starym klaunem”. A on w czasie rewolucji, która tak podle go potraktowała, bronił w postępowaniu dyscyplinarnym na Sorbonie przywódcę studentkiej rewolty Daniela Cohna-Bendita.

Idea „starych klaunów” przewijała się w pierwszej części audycji, która była jednym wielkim żądaniem abdykacji wystosowanym wobec starszego pokolenia. Żądanie to uzupełniano typowym zestawem zaklęć młodej lewicy: patriarchy, dziaderstwa, kultu zapierdolu. Jestem przeciwny dyskusji, w której argumenty rzuca się jak karty na stół, z przekonaniem, że ich siła jest z góry ustalona i nic nie może jej przemóc. To myślenie po powierzchni, z którym nie ma jak dyskutować. No bo niby jak? Przecież to są niepodważalne dogmaty.

Ale byłem także pod wrażeniem, zwłaszcza gdy jedna z uczestniczek powiedziała, że ma 21 lat i przez połowę swojego życia zajmowała się kryzysem klimatycznym oraz energetyką. Tu dostrzegam różnicę: ja w wieku 10 lat na temat energetyki wiedziałem tyle, że nie warto wtykać gwoździ w gniazdko elektryczne.

Zasadniczo jednak dyskusja oparta na rzucaniu zaklęć prowadzi nas do poważnego błędu – do zakwestionowania jednej z najcenniejszych rzeczy, jakie wypracowała nasza cywilizacja: szacunku dla doświadczenia i przekonania, że relacja czeladnik – mistrz ma głęboki sens. Dzisiaj młodzi

chcą być mistrzami natychmiast, bez praktykowania. A walka pokoleń, jak słusznie powiedziała Agnieszka Holland, zastąpiła walkę klas. Starsi, jako wróg klasowy, powinni zostać obaleni, a współpraca z nimi jest niczym zdrada. Myślenie klasą czy pokoleniem ułatwia odpowiedzialność zbiorową, ułatwia agresję grupy wobec grupy, z wszystkimi uproszczeniami, które przynosi wrzucenie różnych ludzi do tego samego worka.

Myślenie klasowe to też przekonanie, że wszystkiemu winny jest system, a nie indywidualne działanie. Nie ma w nim miejsca na pytanie, co ja osobiście zrobiłem dobrze, a co źle i co w związku z tym mogę poprawić. Jeżeli jedynym winowajcą jest system, a więc właściwie niezmienny układ sił, relacji i hierarchii, to gdzie miejsce na optymalizację własnych działań? To nie indywidualne wady, ale mityczny system tłumaczy każdą porażkę. A jednocześnie jakikolwiek standard doskonałości narzucony przez starszych staje się opresją, bo czegoś od młodego adresata wymaga. Przykładowo osiągnięcie mistrzostwa prawdziwego to kult zapierdolu. Pozostaje więc mistrzostwo bez doskonałości, które ma zmienić świat. Nie bardzo widzę, jak to ma się udać.

W dyskusji, która starą relację czeladnik – mistrz chce zastąpić relacją młody aktywista – stary klaun, pojawił się Emmanuel Macron. Jedna z uczestniczek przedstawiła go jako wzór nowoczesnego polityka, przeciwstawiając go – i słusznie – Andrzejowi Dudzie. I tu pojawia się dość zaskakująca klamra.

Przed wejściem do polityki Macron był asystentem Paula Ricoeura, tego samego starego klauna, na którego młodzi rewolucjoniści 1968 roku wyrzucili kubel śmieci. Mając dokładnie 21 lat, pomagał 86-letniemu filozofowi przy redagowaniu książki „Pamięć, historia, zapomnienie”, a więc wykonywał mało twórczą pracę czeladnika, przed którą młodzi rozmówcy redaktora Żakowskiego się wzdragają. Macron stwierdził kiedyś, że spotkanie z Ricoeurem zmieniło jego życie. Pisał: „Dziś nadal go czytam i staram się karmić moje działanie jego myślą, jego filozofią i wszystkim, czego mnie nauczył”.

Olivier Abel, dyrektor fundacji Ricoeura, uważa, że wielki filozof wpłynął na to, jak Macron mówi do ludzi, szczególnie na „celowe powtarzanie przez Macrona frazy »et en mème temps« (i jednocześnie), gdy ogłasza plany zrobienia dwóch pozornie nieprzystających do siebie rzeczy”. Nauczył go dostrzegać most tam, gdzie inni widzą przepaść.

Może zatem warto naśladować Macrona i nie wyłączać z dyskusji tych, którzy błędzą, ale ruszyli w drogę nieco wcześniej, więc mogą pomóc ją przejść. Czy dałoby się popierać młodość, innowacyjność i kreatywność I JEDNOCZEŚNIE cenić doświadczenie i życiową mądrość, która przychodzi z wiekiem? Walczyć o swoje miejsce w świecie I JEDNOCZEŚNIE nie wysyłać dziadersów pod piec? Skoro ten Macron taki fajny, weźmy od niego tę dyalektykę innowacji i tradycji, zmiany i oporu przed zmianą. Nie wydaje się to całkiem bezsensowne. ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW.

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości” – nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach



PO PRAWDZIE

Pacjent niepokorny

„Będąc młodą lekarką” dzieje się naprawdę.

Agnieszka Kublik

To nie jest felieton. To list czytelnika. Jest tu bohater negatywny i pozytywny. I jest happy end.

Miejsce akcji: metropolia, przychodnia, która działa w wielu dużych miastach.

Czas: pandemia COVID-19, grypa, zapalenie oskrzeli, zapalenie płuc.

Bohaterowie:

- chory, 89 lat, niepełnosprawny, temperatura 39,3 st. C, gwałtowne osłabienie;
- lekarka, 28 lat, internistka, zajmuje się pacjentem dla swojego świętego spokoju;
- lekarz, około 50 lat, zajmuje się człowiekiem, bo czuje, że po to został lekarzem;
- koordynatorka przychodni, która niczego nie koordynuje, jej zdaniem pracą w przychodni rządzi system, a ona na system nie zamierza wpływać, bo to nie jej kompetencja;
- liczne konsultantki, które odbierają telefony, są cierpliwe, ale nic nie mogą.

Ta historia zaczyna się banalnie – starszy pan w grudniowy poniedziałek zaczyna się źle czuć, syn mierzy temperaturę: 37,5; 37,9; 38,4; 38,9; 39,3.

Podaje leki na zbiecie gorączki. Temperatura spada do 37,5, ale ojciec jest bardzo osłabiony, podsympia, nie chce mu się rozmawiać, traci apetyt. Gołym okiem widać, że jest bardzo chory.

Rano syn dzwoni do przychodni NFZ, gdzie ojciec jest zapisany. Po ponad 30 minutach oczekiwania na połączenie dowiaduje się, że około 11 zadzwoni lekarka na telekonsultację i zdecyduje, czy jest konieczna wizyta domowa.

Dzwoni, zapowiada się do 15.

Zostawia plecak w przedpokoju i od razu pyta, gdzie jest chory.

Syn wskazuje drzwi do łazienki, proponuje mydło lub płyn do dezynfekcji.

Lekarka odmawia, mówi, że ma w plecaku własny płyn. Dlaczego więc po niego nie sięgnęła?

Wchodzi do chorego, wypytuje o temperaturę (spadła do 37,9 po lekach), kaszel (nie ma), duszności (nie ma), ból gardła (nie ma), ból głowy (nie ma), apetyt (nie ma).

Lekarka rozkłada ręce. Przepisuje lek na gorączkę. Syn pyta, czy nie osłucha ojca.

– Nie widzę potrzeby.

Zleca badanie krwi, mówi, że we wtorek zgłosi się pielęgniarka, jak będzie wynik, zdecyduje, co dalej.

W poniedziałkowy wieczór starszy pan znowu ma 39,2. Syn podaje lek. Temperatura spada do 37,4. Chory jest coraz słabszy, ma silne drgawki, nawet po 30 minut.

We wtorek nikt z przychodni się nie odzywa. Koło południa syn dzwoni, ustala, że żadnego zlecenia na pobranie krwi nie ma, czyli pielęgniarka zjawi się najwcześniej w środę, wyniki będą w piątek, w sobotę przychodnia jest zamknięta, a więc lekarka przyjdzie najwcześniej w poniedziałek. Nie, przecież powiedzieli, że lekarz z wizytami domowymi chodzi tylko we wtorki i środy, czyli najwcześniej za tydzień.

Syn idzie do przychodni wyjaśnić, co się stało, bo lekarz wyszedł od nich po 15 w poniedziałek, jest wtorkowe przedpołudnie i do tej pory lekarka nie wypisała zlecenia.

Konsultantka nie wie, proponuje rozmowę z koordynatorką przychodni. Syn słyszy, że wszystko jest w porządku, lekarz nie musi od razu wypisywać zlecenia, zwykle robi to następnego dnia. Kiedy? Na to nie ma terminu, tak działa system.

Syn pyta, co dalej, co robić z gorączkującym ojcem. Koordynatorka nie wie. Syn in-



formuje ją, że zleci pobranie krwi prywatnie, a rachunek wystawi przychodni.

Za pół godziny dzwoni pielęgniarka. Szybko pobiera krew, wyniki będą następnego dnia.

Ojciec nadal ma wysoką gorączkę, która po lekach nieco spada, ale słabnie w oczach.

Środa. Syn od rana wydzwania, by umówić wizytę lekarki, skoro będą wyniki krwi.

Dowiaduje się, że znowu najpierw zadzwoni lekarz, by sprawdzić, czy wizyta jest uzasadniona.

Jak może być nieuzasadniona, skoro lekarka sama deklarowała, że zdecyduje, co dalej, jak będą wyniki.

Zamiast lekarki dzwoni konsultantka: wizyty nie będzie, bo lekarz ma tylko jedną dziennicę. Zrozpaczony syn – ojciec nadal ma wysoką gorączkę i bardzo źle się czuje, lekarz chodzi tylko we wtorki i środy, a właściwie jest środa – informuje konsultantkę, że by powiadomiła przychodnię (bezpośrednio z przychodnią konsultantki nie mogą połączyć), że wzywa lekarza prywatnie, a rachunek prześle przychodni.

Za pół godziny zjawia się lekarka, twierdzi, że z badań krwi nic nie wynika, może coś z wątroba. Nie wpada na pomysł, by zapytać, czy są jakieś starsze wyniki ojca do porównania. Syn sam je pokazuje, lekarka stwierdza, że u ojca to norma, wątroba nie jest już podejrzana. Nie wierzy w wysoką temperaturę, przecież przy niej jest ciut powyżej 37. Syn zwraca uwagę, że to po lekach przeciwgorączkowych. Pokazuje zapisy z ostatnich dni – jak ojciec gorączkował, kiedy brał jakie leki. Lekarka mówi, że ona wie, że jak się pojawia, to temperatury nie ma...

O co chodzi? Że ta temperatura to ściema? Że syn kłamie? Ale po co? Lekarka na to, że ona niczego nie insynuuje.

Osluchuje ojca, stwierdza zapalenie oskrzeli. Wypisuje antybiotyk na 10 dni. Kontrola za tydzień. Przyznaje, że popełniła błąd, że nie osłuchiwała ojca za pierwszym razem. Przy drzwiach rzuca, że przyszła tu tylko dla swojego świętego spokoju, bo syn jest roszczeniowy.

Po tygodniu to samo – telefon do przychodni, czekanie na połączenie minimum 30 minut, znowu lekarka nie może przyjść. Może następnego dnia. Ale to czwartek, a w czwartki wizyt domowych nie ma.

Znowu seria telefonów do przychodni. W końcu przychodzi – zapalenie płuc. Przedłuża antybiotyk do 14 dni. Ma przyjść za tydzień na kontrolę.

Stan ojca się poprawia, wraca apetyt, siły, chęć do rozmowy. Ale pojawia się wysypka, z dnia na dzień coraz więcej.

Po tygodniu znowu telefon do przychodni, znowu obietnica telekonsultacji. I znowu opinia: wizyta jest bezzasadna.

Po kilku telefonach następnego dnia ktoś przychodzi. Lekarz, bo lekarka chora.

Zakłada rękawiczki, długo osłuchuje ojca, pyta o stare wyniki, wzytuje się długo. Znowu osłuchuje ojca. Nie dopatruje się zapalenia płuc, dziwi się, że antybiotyk lekarka przepisała na aż 14 dni, może stąd wysypka.

Następnego dnia dzwoni z samego rana, pyta o stan ojca, mówi, że wystawił zlecenie na prześwietlenie płuc, tak na wszelki wypadek.

Ojciec czuje się coraz lepiej, nie gorączkuje już, ma apetyt, wysypka znikła.

Moral 1: Udało się, bo syn był nie roszczeniowy, tylko niepokorny.

Moral 2: Lekarzu, słuchaj pacjentów, mogą cię uchronić przed błędem. Bo lekarz nie jestem Bogiem, nie handluje zdrowiem, pacjent to nie jego klient ani petent. A pacjent niepokorny to taki, który chce z lekarzem współpracować. Dobry lekarz potrafi to docenić. ●

Czego nas uczy sprawa Orlenu

Paliwo, które napędza bezkarność

Czy premier sugeruje, że urzędnicy mają się słuchać władzy bez względu na koszty?



Adam Bodnar

Premier Mateusz Morawiecki na początku roku odniósł się do kwestii zawyżania cen paliw przez concern paliwowy PKN Orlen. Pytania dziennikarzy i zarzuty polityków opozycji zbywał słowami: „Jeśli ceny na stacjach są stabilne, to trzeba się tylko z tego cieszyć i nie ma co szukać dziury w całym”.

Ale to rola mediów i niezależnych dziennikarzy, aby „szukać dziury w całym”. Chodzi o kilka miliardów złotych, które mogli stracić obywatele i samorządy, a słowa premiera są nie tylko zabiegiem komunikacyjnym, ale również instrukcją pod adresem administracji publicznej, by zachowywała się zgodnie z oczekiwaniami politycznymi.

Przypomnę tu historię z 2005 roku, gdy przez Warszawę miała przejść Parada Równości. Ówczesny prezydent miasta Lech Kaczyński wyraził pogląd: „Ja im nie zabraniam demonstracji, jeśli będą je robić jako obywatele, a nie jako homoseksualiści”, po czym został wydany zakaz, a jako powód wskazano niedostarczenie przez organizatorów „projektu organizacji ruchu”. Wybieg administracyjny został wykorzystany, aby uzasadnić rzeczywisty powód polityczny.

W wyroku z 2007 roku Europejski Trybunał Praw Człowieka sformułował pogląd, że politycy sprawujący najwyższe urzędy, „korzystając z wolności słowa, powinni wykazywać się powściągliwością, zważwszy na to, że ich poglądy mogą być odbierane przez urzędników służby cywil-

nej, których zatrudnienie i awanse zależą od ich zgody, jako wskazówki”.

Jakie to ma znaczenie dla zawyżania cen paliw przez Orlen? Ano takie, że premierowi podlega prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Formalnie jest niezależny, ale jego los zależy od premiera. Prezes UOKiK ma wiele uprawnień w stosunku do przedsiębiorców, w tym także spółek skarbu państwa. Może nakładać kary z tytułu nadużywania pozycji dominującej lub praktyk naruszających konkurencję. Wyraża także zgodę na dokonanie koncentracji – czytelnicy pamiętają pewnie zgodę na przejęcie Polska Press przez PKN Orlen. Prezes UOKiK i jego inspektorzy mają

**To rola mediów
i niezależnych dziennikarzy,
aby szukać dziury w całym,
bo chodzi
o kilka miliardów złotych**

także szerokie możliwości kontrolne – mogą w zasadzie dokonywać przeszukań, zajmować komputery na potrzeby dowodowe, zabezpieczać nośniki, żądać wyjaśnień.

Już z powyższego zestawienia wynika, jak istotny wpływ może ten urząd mieć na życie przeciętnego obywatela. Każdego dnia co najmniej kilkukrotnie jesteśmy konsumentami: kupujemy jedzenie, ubranie, sprzęt AGD, paliwo, korzystamy z usług zdrowotnych, kosmetycznych, pielęgnacyjnych, wykupujemy dostęp do internetu. Za każdym razem zależy nam na tym, aby nie być oszukiwanym, aby sprzedawcy towarów i usług nie zawyżali cen, nie wprowadzali nas w błąd, nie doprowadzali do decyzji, które byłyby w sposób oczywisty niekorzystne, abyśmy nie byli „jeleniami”.

Oczywiście zawsze możemy iść do sądu, ale to dla wielu pracochłonna droga. Dlatego na całym świecie istnieją wyspecjalizowane organy, które walczą z monopolami, kartelami, chronią prawa konsumenta – działają po to, abyśmy mogli czuć się bezpiecznie, abyśmy nie byli oszukiwani przez przedsiębiorców. Taką funkcję powinien pełnić w Polsce prezes UOKiK, a na szczeblu unijnym – Komisja Europejska.

Kryzys praworządności w Polsce nie tylko obejmuje sferę wymiaru sprawiedliwości, ale także jest ściśle związany z oddziaływaniem państwa na sferę gospodarki. Państwo jest właścicielem potężnych spółek, w konsekwencji sfera wykonywania władzy miesza się ze sferą własnościową. Nieraz spółki skarbu państwa wzmacniały aparat władzy (choćby poprzez sponsorowanie prawicowych periodyków), ale to działa także w drugą stronę – spółki realizujące cele polityczne oczekują wsparcia ich działalności, nie zwracania im zbędnej uwagi przez różne organy regulacyjne czy inspekcje. Co więcej, jeśli na tym samym rynku funkcjonują podmioty publiczne i prywatne, to jest ryzyko, że w sferze stanowienia prawa państwo będzie sprzyjało tym pierwszym. To z kolei zakłóca zasadę równości wobec prawa.

To działa w praktyce na Węgrzech, gdzie reguły konkurencji są zakłócone przez wszechwładzę węgierskich oligarchów związanych z Orbánem. W Polsce reguły mogą być zakłócone przez władzę wykonawczą i spółki skarbu państwa. Co ciekawe, jest to problem także stosunkowo nowy dla Unii Europejskiej. Reguły dotyczące ochrony konkurencji tworzone były dla państw przestrzegających podstawowych zasad demokratycznych, nie dla tych, które deklarują się jako nieliberalne demokracje i uznają, że mają prawo łamać wszelkie reguły.

Nie twierdzę, że prezes UOKiK we wszystkich sprawach postępuje zgodnie z oczekiwaniami politycznymi. Myślę, że większość spraw to „business as usual”, gdzie stosowane są normalne reguły postępowania. Ale właśnie

czasami mogą się pojawiać sprawy, które mówią „sprawdzam”, i wtedy zaczynamy widzieć symptomy choroby. W sprawie zawyżania cen przez Orlen podjęte zostało postępowanie wyjaśniające, ale tak naprawdę nie wiemy, kiedy i czym się zakończy. Ważne, że kryzys wizerunkowy Orlenu i rządu jest na chwilę odsunięty w czasie. Co ciekawe, na stronie UOKiK możemy przeczytać, że prezes w 2023 roku zajmował się takimi podmiotami jak Karcher, Agri Plus, deweloperami, fotowoltaiką czy T-Mobile. Znajdziemy notkę o konferencji prasowej, na której dziennikarze uzyskali informację o tym, co się w sprawie wydarzy. Mam jednak wrażenie, że zważwszy na wagę sprawy, to zbyt mało – nawet szczegóły tego zapowiadanego postępowania wyjaśniającego nie są podane na stronie internetowej. Może dlatego, żeby prezes UOKiK nie powiedział zbyt wiele i nie naraził się politykom.

Myślę, że tylko jacyś fantasty mogliby sobie wyobrazić przeprowadzenie przeszukań w siedzibie PKN Orlen, choć taką możliwość mają inspektorzy UOKiK. W normalnych czasach takiej reakcji należałoby oczekiwać, a także informacji, że utrudniana jest kontrola inspektorom NIK. Ale w Polsce raczej przyglądamy się z zatrwożeniem łamaniu standardów w biały dzień i już nawet nie marzymy, że poszczególne organy kontrolne mogą zwyczajnie i porządnie wykonywać swoje ustawowe zadania.

Niestety, nie wystarczy apelować do premiera, aby w takich sytuacjach był powściągliwy z wypowiedziami, nie wpływał na podległych mu urzędników. W przyszłości trzeba przebudować cały system tego typu niezależnych organów kontrolnych, bo w przeciwnym wypadku to spółki skarbu państwa będą traktować obywateli jak „jeleni”, których można bezkarnie oszukiwać i kantować. ●

Adam Bodnar

– dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

MUR MAMY W GŁOWIE

Z **HANNĄ MACHIŃSKĄ**,
WIELOLETNIĄ ZASTĘPCZYNIĄ
RZECZNIKA PRAW
OBYWATELSKICH, ROZMAWIA
WALDEMAR PAŚ

**Kto po pani odejściu będzie
bronil praw obywateli w Biurze
Rzecznika Praw Obywatel-
skich?**

– Myślę, że wszyscy, którzy pozostali. Z 300 osób niewiele odeszło. Odeszły z powodu innych planów zawodowych.

Ubolewam, że zrezygnowali członkowie dwóch doradczych organów – Komisji Ekspertów Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur i komisji ds. służb specjalnych.

Odeszli w proteście po odwołaniu pani ze stanowiska przez RPO prof. Marcina Wiącka. Czy ci, którzy zostali, będą jeździli nocami do komisariatów i do lasu na granicy z Białorusią, tak jak pani to robiła?

– Będą, ale nie muszą tego robić nocą. Choć wiele interwencji, zwłaszcza dotyczących pokojowych manifestacji, było w nocy i nad ranem. Również wtedy, kiedy otrzymywaliśmy informacje o osobach potrzebujących pomocy w lesie. Wtedy nieważna była godzina, jeździliśmy i mam nadzieję, że nadal tak będzie.

To, co robiłam, było wynikiem pracy zespołowej wielu osób. One nie odeszły z pracy.

Chodzi też o to, czego oczekuje rzecznik Wiącek. Publicznie wypominał pani, że nie poinformowała go o swoich interwencjach 11 listopada.

– Przyznam, że nie wiem, jak zareagować. Mam ochotę przemilczeć tę wypowiedź, nie chcę eskalować konfliktu, to wbrew mojemu charakterowi i przywiązaniu do dbania o godność urzędu Rzecznika Praw Obywatelskich.

Warto powiedzieć, jak było.

– Próbowałam się wtedy dodzwonić do rzecznika Wiącka. Nie odbierał, wysłał mi SMS, że jest chory, nie może rozmawiać, i poprosił o przygotowanie notatki.

Od lat obserwujemy poważne naruszenie standardów w ograniczeniu pokojowych zgromadzeń. 11 listopada to zawsze dla Biura RPO stan alarmowy.

Na podstawie tej notatki zastępcza rzecznika Stanisław Trociuk wystąpił z pytaniami do komendanta stołecznego policji, co też aprobował rzecznik Wiącek.

Skoro aprobował, to chyba się zgadzał, prawda? A jak wyglądała pani interwencja?

– Późnym wieczorem zostałam poproszona o pomoc przez grupę

osób, które stały z białymi różami i transparentem: „Nacjonalizm to nie jest patriotyzm”. Wśród nich były osoby zawodów zaufania publicznego, profesorowie, lekarze. Nawet policjanci przyznali, że wszyscy zachowywali się spokojnie, protestowali pokojowo.

Ale uzbrojeni po zęby policjanci otoczyli ich szczerbą kordonem, na zimnie.

Chciałam rozładować to napięcie, aby zapewnić protestującym dostęp do toalety, wody, a osobom znanym policji powrót do domu. Prosiłam, aby policjanci się przedstawili i podali podstawę ich zatrzymania. Policjantka odmówiła jednak podania nazwiska i podstawy prawnej. Po dłuższych negocjacjach udało się doprowadzić do zwolnienia kilku osób, a pozostałym towarzyszy-

łam w komendzie aż do zwolnienia ich nad ranem.

Rzecznik Wiącek powinien być zadowolony, że jego przedstawicielka tam była i wspólnie z posłem Michałem Szczerbą próbowała zapewnić bezpieczeństwo osobom zatrzymanym.

Jak rzecznik Wiącek reagował na wasze interwencje na demonstracjach?

– Interwencje mają swoją dynamikę i dzieją się ad hoc. Rzecznik i odpowiednie zespoły muszą obserwować przebieg zdarzeń. Tak jak to mówił Adam Bodnar: musimy być wszędzie tam, gdzie coś się dzieje i mogą być łamane prawa człowieka. Zawsze mogłam liczyć na poparcie Bodnara, bo w czasie interwencji korzystamy z pełnego mandatu RPO.

I przez ostatnie półtora roku dokładnie to robiliśmy. W tym czasie słyszałam od rzecznika Wiącka same pozytywne oceny.

Ale powtórzę, że to była praca zespołowa – kolejni rzecznicy, wszyscy zastępcy i ich zespoły świetnie realizowali przypisane im zadania. Pewne aktywności są bardziej widoczne, inne mniej, choć w wymiarze prawnym mają fundamentalne znaczenie dla obrony praw człowieka.

Część osób wizytuje m.in. zakłady karne, areszty śledcze, ośrodki dla cudzoziemców, ale też domy pomocy społecznej czy szpitale psychiatryczne. W Polsce jest 3 tys. takich miejsc.

Inni jeżdżą na granicę z Ukrainą i Białorusią, odwiedzają dworce i miejsca, gdzie przebywają uchodźcy.

Praca Biura RPO to też odpowiadanie na setki skarg, wnoszenie skarg nadzwyczajnych przed Sądem Najwyższym, postępowania przed sądami krajowymi, Trybunałem Konstytucyjnym czy międzynarodowymi trybunałami, np. w sprawach dotyczących praworządności.

Czy nie mówi pani głównie o tym, co jako Biuro RPO robiliście za czasów prof. Bodnara?

– Rzecznik Wiącek kontynuuje wiele działań, np. te dotyczące uchwał anty-LGBT. Przyniosły one sądowe rozstrzygnięcia uznające takie uchwały za nieważne. Obecny RPO zwrócił się do gmin i powiatów o uchylenie tych uchwał. Są też inne ważne sprawy, jak bezdomność, prawa osób z niepełnosprawnościami, gdzie działania są kontynuowane.

Wiele aktywności rzecznika Wiącka widać zwłaszcza w związku z wejściem w życie kodeksu karnego wykonawczego i spodziewanymi konsekwencjami kk.

W licznych sprawach podejmowanych przez RPO niezwykle aktywność wykazują obywatele, radcowie i adwokaci, którzy stworzyli system pomocy pro bono, np. działający w miejscach pozbawienia wolności na granicy.

Nas zadziwiło to, jak na miejscu zawstydziała pani młodszych inicjatywą i energią.

„Machina”, jak na naszych łamach nazwał panią mec. Grzegorz Kukowka.

– Proszę spojrzeć na tych młodych, fantastycznych aktywistów w lesie przy granicy z Białorusią. Mają wbudowany azymut: idziemy tam, gdzie ludzie nas potrzebują. Dramaty, które obserwują, napędzają ich do działania.

Boimy się karzącej ręki państwa za czynienie dobra.

– Obserwujemy w Polsce poważny kryzys demokracji, rządów prawa i przestrzegania praw człowieka. To niszczenie fundamentów państwa jest nie do zniesienia dla mojego pokolenia. Moje pokolenie doskonale wie, czym grozi usunięcie nas z rodziny demokratycznych krajów europejskich. Przyszłość Polski będzie wtedy marna.

Jak oceni pani to, co się dzieje na granicy z Białorusią?

– Pamiętam grupę Afgańczyków w Usnarzu Górnym. To było preludium, państwo polskie postanowiło pokazać, że nie będzie wypuszczać uchodźców, drastycznie łamiąc przy tym prawo. Na nic zdało się zabezpieczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – Polska została zobowiązana do dostarczenia niezbędnej pomocy Afgańczykom.

Zwracaliśmy się wielokrotnie, aby ich wpuścić, ale nasze apele nie zostały uwzględnione.

Obowiązki państwa wzięli na siebie aktywiści i to oni niosą pomoc w nadgranicznych lasach.

– Rozmawialiśmy z ludźmi torturowanymi przez białoruską straż graniczną, tamtejsi strażnicy graniczni liczyli sobie 100 euro za butelkę wody. Istnieją rejestry naruszeń praw człowieka na granicy. Pamiętam wizytację komisarzy praw człowieka rady Europy Dunji Mijatović w Michałowie w listopadzie 2021 r. Władze tej

gminy ostro sprzeciwiały się wywózce rodzin z dziećmi na Białoruś. Wówczas na publicznej drodze zatrzymała nas policja, mimo obecności pani komisarz. Policjanci chcieli sprawdzić, czy nie znajdujemy się na ich czarnej liście. Jaka czarna lista? To była demonstracja siły i szykan wobec nas. Przepuszczono nas po jakimś czasie. Odnaleźliśmy grupę uciekinierów z Etiopii. Dzięki naszej obecności zdołali złożyć wnioski o ochronę międzynarodową w Polsce.

Ochotników pomagających uchodźcom spotykają szykany.

– Legitymowanie bez żadnej podstawy prawnej, zatrzymywanie osób z plecakiem, badanie alkomatami. Osobom z Klubu Inteligencji Katolickiej funkcjonariusze zarekwirowali cały sprzęt, później w wyniku wyroku sądu został zwrócony. Szykany i zastraszanie, np. samochód Straży Granicznej notorycznie stojący przed domem wolontariusza. Szykany wobec aktywistów i aktywistek cały czas trwają.

Dlaczego Straż Graniczna dopuszcza się pushbacków?

– Rzecznik Wiącek wielokrotnie mówił, że to nielegalne. Jest już wiele orzeczeń, np. Sąd Rejonowy w Bielsku Podlaskim stwierdził, że wyrzucenie nocą Afgańczyków na Białoruś było nieuzasadnione i nielegalne, a rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych przyjęto niezgodnie z prawem, w tym z konstytucją. Osobom wchodzącym do Polski powinna zostać udzielona ochrona międzynarodowa na czas sprawdzenia ich wniosków o azyl. Pytałśmy Straż Graniczną, czy zna ten wyrok. A oni na to, że są związani rozkazami. „Czy znacie konstytucję?” – dopytywaliśmy. A oni, że muszą przestrzegać rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych.

Sytuacja uchodźców jest dramatyczna nie tylko po przebrnięciu przez granicę, ale też kiedy na mocy decyzji sądu kierowani są do strzeżonych ośrodków dla cudzoziemców. Byliśmy wraz z KMPT we wszystkich ośrodkach. W raporcie pokazujemy poważne naruszenia ich praw. Tam osadzane są rodziny z dziećmi, kobiety w ciąży, ofiary tortur. Ostatni strajk głodowy w Lesznowoli mężczyzny, który przebywa tam 18 miesięcy, próby samobójcze świadczą o tym, że nie potrafiliśmy zapewnić godnego pobytu uchodźcom.

Czy aktywistom i mieszkańcom, którzy narażając się na odpowiedzialność karną, niosą pomoc, w przyszłości należeć się będzie rekompensata od państwa?

– Na pewno medale za odwagę i pomoc. A pokrzywdzonym przez działanie państwa odszkodowanie. Pamiętajmy, że wiele osób dostało mandaty za udzielanie pomocy, tylko niektóre zostały umorzone.

A jaka odpowiedzialność czeka Straż Graniczną, sprawców pushbacków?

– W tej chwili iluzoryczna. Ale coraz częściej słyszymy, że funkcjonariusze zaczynają się liczyć z odpowiedzialnością karną. Funkcjonariusz powinien powiedzieć przełożonym, że nie wykona rozkazów sprzecznych z prawem, co wykazał m.in. prof. Miłkołaj Malecki z UJ: obrona suwerenności terytorialnej nie jest wartością absolutną, trzeba wyważyć obie wartości – ochronę granicy z ochroną praw człowieka.

Zachowanie Straży Granicznej czasem nosi znamiona nieludzkiego traktowania, a nawet tortur, np. gdy rodzinę z małymi dziećmi wypycha się z Polski 30 razy. To jest naruszenie polskiej konstytucji, europejskiej konwencji, konwencji genewskiej, ale też wielu przepisów polskiego kodeksu karnego, np. art. 160 – narażenie na utratę życia lub zdrowia, art. 162 – nieudzielenie pomocy, art. 189 – odpowiedzialność z powodu pozbawienia wolności, art. 172 – przeszkadzanie w akcji ratunkowej niesionej przez aktywistów, art. 210 – brak troski o osobę nieporadną, art. 231 – przekroczenie uprawnień przez funkcjonariusza, art. 241 – znęcanie się.

Funkcjonariusze nie będą mogli zasłaniać się wydanymi im rozkazami.

Czy główni decydenci, czyli politycy, też poniosą odpowiedzialność?

– Pociągnięcie ich do odpowiedzialności będzie trudne. Różne działania nie zostały zakwestionowane przez Komisję Europejską mimo orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Mam wrażenie, że politycy czują brak presji ze strony Unii. Z drugiej strony wiemy, że żaden mur nie powstrzyma ludzi przed ucieczką w bezpieczne miejsce. Europa nigdy nie stanie się fortecą.

Chyba że stanie się w pełni autorytarna.

– Pamiętam desperację młodego człowieka, kiedy zawisł na tym murze, a zza kadru słuchać było rehot funkcjonariuszy. Ten człowiek ostatecznie i tak został wypchnięty na Białoruś. Co się z nami dzieje?

Czy staniemy się niechciani w europejskiej rodzinie?

– Wracam myślami do przeszłości, bo pa-

miętał, jak trudno wyrwać się z okowów totalitaryzmu, gdy niemal wszyscy mniej lub bardziej akceptują otaczającą rzeczywistość.

W 1987 r. byłam na zagranicznym stypendium, amerykański naukowiec przekonywał mnie, że sytuacja geopolityczna nie długo się zmieni. Trudno mi było uwierzyć. Z naszej, polskiej perspektywy wydawało się, że mury mają się świetnie, szczególnie te tkwiące w naszych głowach.

Im bardziej pozwolimy dziś na demon-taż fundamentów demokratycznego państwa prawa, tym trudniej będzie wrócić do przestrzegania standardów przyjętych w niemal całej Europie.

Z kolei cud 1989 r. przyszedł też do pesymistów.

– To był czas, kiedy z oczu leciały mi łzy. Na przykład w listopadzie 1991 r., gdy stałam przed siedzibą Rady Europy w Strasburgu i wciągano na maszt polską flagę. Polska w Radzie Europy! Nie spodziewałam się, że tego doczekam.

W 2004 r. kolejny cud – przyjęto nas do Unii Europejskiej. A pięć lat wcześniej, w 1999 r., do NATO.

W Polsce przez wiele lat to pani była utożsamiana z Radą Europy. Oddała pani tej organizacji ponad ćwierć wieku swojego życia. Jak zaczęła się ta praca?

– W późnych latach 80. zostałam zaproszona do Instytutu Prawa Porównawczego w Lozannie, tam zdobywałam pierwsze doświadczenie europejskie, zajmowałam się Radą Europy i Wspólnotami Europejskimi, czyli przyszłą Unią. W 1990 r. pojawił się pomysł, aby na Uniwersytecie Warszawskim do tworzonego Centrum Europejskiego włączyć pilotażowy Ośrodek Informacji i Dokumentacji Rady Europy w Polsce. I ówczesny rektor zapytał, czy chciałabym się tym zająć.

Członkostwo w Radzie Europy to warunek przyjęcia nas do Unii. Pracowaliśmy nad tym z wieloma ekspertami w Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej, a później w grupie refleksyjnej powołanej przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Zachwycająca była chłonność polskich instytucji na projekty europejskie, gotowość przyjmowania do prawa polskiego europejskich standardów dotyczących praw człowieka, rządów prawa i demokra-

cji. Organizowaliśmy wiele wizyt studyjnych do EPTC i TSUE.

Nasze wysiłki przynosiły owoce w różnych miejscach, choćby w postaci europeistyki, dziś wykładanej na wielu polskich uczelniach. Ten uniwersytecki ośrodek stał się oficjalną instytucją Rady Europy.

Z czego jest pani dumna?

– W krótkim czasie Polska stała się pionierem proeuropejskich przemian w Europie Środkowej i Wschodniej.

Doceniano nas w różnych dziedzinach, również tych, którymi się zajmowałam, np. zmianach w systemie penitencjarnym, za co zostaliśmy wyróżnieni przez Radę Europy Kryształową Wagą.

Chodziło o zakład karny dla kobiet w Lublińcu, którym się pani opiekowała. Piekło skazanych kobiet, wcześniej ofiar wieloletniej przemocy domowej.

– Pani Lidia Olejnik, ówczesna dyrektorka, organizowała teatry terapeutyczne, w których scenarzystkami i aktorkami były więźniarki. Spektakle pokazywały ich oso-

Zachowanie Straży Granicznej nosi czasem znamiona tortur, np. gdy rodzinę z dziećmi wypycha się z Polski 30 razy. Funkcjonariusze nie będą mogli zasłaniać się wydanymi im rozkazami

biste dramaty, np. „Węzły życia” to historia kobiety, która zamordowała swojego partnera oprawcę i odsiadywała za to karę.

Na ten spektakl zaprosiłam panią prezydentową Marię Kaczyńską. Wśród widzów było wiele ofiar przemocy, słyhać było płacz. Wzruszona pani prezydentowa powiedziała: „Pani Haneczko, obiecuję pani, że zainteresuję Leszka problemami tych kobiet”.

I czym to się skończyło?

– W krótkim czasie prezydent Lech Kaczyński wdrożył procedurę ulaskawienio-wą wobec jednej z osób.

Ale jest też jeszcze jedna historia – młodej dziewczyny maltretowanej przez macochę. Dziewczyna ją zamordowała.

Widząc postępy w resocjalizacji, jej skruczę, poprosiłam rektora UW, aby mogła bezpłatnie studiować. Przychodziła na wykłady i wracała do więzienia. Była piątkową studentką, obroniła magisterium, zaczęła pracę, wyszła na wolność.

Ciekawe, co powiedziałby na to Zbigniew Ziobro, zwolennik zaostrzania kar. Czy dziś jest możliwe takie zaufanie władzy, instytucji do osób skazanych? Możliwe są takie odruchy człowieczeństwa?

– W ramach resocjalizacji dyrektor Olejnik wysyłała więźniarki do pracy z głęboko upośledzonymi dziećmi. Opiekowały się nimi cały dzień, a do zakładu wracały na noc.

Dowodem zaufania ówczesnej władzy były przedstawienia z Lublińca wystawiane w kraju i za granicą. Pamiętam, że w Warszawie mieliśmy problem z zakwaterowaniem więźniarek, które przyjechały ze spektaklem. Zaprosiłam więc pewnego przedsiębiorcę z branży hotelarskiej. Oglądając przedstawienie, płakał. Potraktował je po królewsku.

14 kobiet przyjechało z panią Olejnik, psycholog i jedną opiekunką. I to był świetny pomysł na resocjalizację. Nikt nie uciekł i niczego złego nie zrobił. Lidia Olejnik dbała o relacje więźniarek z ich dziećmi.

I co się stało z dyrektor Olejnik?

– Nowa władza jej podziękowała.

Mamy odwrót od kary rozumianej jako przywrócenie przestępcy społeczeństwu.

– Dziś kara jest rozumiana przez władzę przede wszystkim jako odwet, opresja. No-

wy kodeks karny wykonawczy ogranicza kontakty osób osadzonych ze światem zewnętrznym, rodzinami, prawnikami. Rośnie liczba osadzonych, szczególnie osób tymczasowo aresztowanych, co jest bardzo niebezpieczną tendencją, zwłaszcza że przestępczość nie rośnie.

Warto przypomnieć, że Zbigniew Laso-cik, słynny prawnik i kryminolog, wprowadzał innowacyjne metody zarządzania więzieniami, aby były one jak najmniej opresyjne. W ramach studiów podyplomowych dla funkcjonariuszy ogłosił konkurs „Więzienie moich marzeń”. Zaprosił mnie do jury. Przedstawiano różne projekty, aby w więzieniach panowały bardziej ludzkie warunki, a skazani po wyjściu na wolność już nie wrócili na drogę przestępstwa.

Co się stało, że żyjemy dziś w takim mroku?

– Przestaliśmy szanować standardy Rady Europy, okazuje się, że mogą być niestosowane. Ignorujemy europejską konwencję praw człowieka. Trybunał Konstytucyjny uznaje niekonstytucyjność art. 6.1 konwencji, który gwarantuje nam prawo do rzetelnego procesu sądowego.

Szczególnie bolesna jest odmowa wykonywania niektórych wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Wymiar sprawiedliwości jest w całkowitej zapaści, a sędziego, który zastosuje konwencję i orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, mogą spotkać represje dyscyplinarne.

Polska kwestionuje konwencję stambulską dotyczącą zapobiegania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej, choć ją ratyfikowała.

Do prawa wprowadza się przepisy, które stoją w opozycji do standardów Rady Europy, np. bezwzględne dożywocie.

Premier snuje rozważania o wprowadzeniu kary śmierci. To tylko przykłady pokazujące masowy odwrót polskich władz od dotychczasowej praktyki i prawa międzynarodowego.

Premier Morawiecki mówi o karze śmierci. Czy można być w UE, jeśli wprowadzi się karę śmierci do prawa?

– Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Luźne dywagacje premiera trafiają do ludzi, którzy myślą w kategoriach odwetu, a nie w kategorii, że każdemu należy się prawo do życia. Choć to sprzeczne z nauką Kościoła, m.in. Jana Pawła II, na którego słowa lubi się powoływać obecna władza. To z powodu stosowania kary śmierci Białoruś nigdy nie znalazła się w Radzie Europy.

Pamiętam jak co roku 16 grudnia w Międzynarodowym Dniu przeciwko Karze Śmierci skulona od wiatru Halina Bortnowska stała przy malutkim stoliku na Nowym Świecie i zbierała podpisy przeciwko karze śmierci. Gdy zabrakło jej sił, zabrakło też stolika.

– Ile ciągów zbierała Halina Bortnowska od niektórych przechodniów, że bandytów trzeba przykładnie karać! Stałyśmy tam co roku razem i słyszałam różne reakcje, choć oczywiście wiele osób nas wspierało. W tę akcję również była zaangażowana Rada Europy. Pomagały nam media, np. dziennik „Metro” przygotował specjalny dodatek, który rozdawaliśmy na ulicy. Dziś brakuje takiej edukacji ulicznej. Nie wszystko da się zrobić w internecie.

Ten temat wraca drugi raz. Za pierwszych rządów PiS Polska przedstawiła w Radzie Europy projekt wprowadzenia kary śmierci za najcięższe zbrodnie.

Żaden sąd w Europie nie zgodzi się na deportowanie podsądnego do kraju, w którym obowiązuje kara śmierci. Z karą śmierci znajdziemy się w systemie wschodnim, formalnie poza Radą Europy i Unią. Polsko, nie idź w tę stronę.

Dlaczego przestała pani pracować w przedstawicielstwie Rady Europy?

– Pracowałam w RE do 2017 r., kiedy MSZ mi podziękowało, wcześniej władze Turcji

i Węgier wyrzucili z pracy moich kolegów. 8 marca tego samego roku zaproponowano mi kontrakt jako eksperta. Zapytałam, jakich ekspertyz oczekują. Może dlatego Polska nie powinna ratyfikować konwencji stambulskiej? O tak, ucieszyli się z mojego pytania. Podziękowałam.

Od kiedy ludzie zaczęli przychodzić do pani po pomoc i radę?

– To się zaczęło, gdy już pracowałam na uniwersytecie. Rozmawiałam ze studentami, którzy potrzebowali pomocy z powodu ostracyzmu w rodzinach i innych miejscach w związku z orientacją. Zdarzały się przypadki dyskryminacji na uczelni.

Rektor UW prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow powołała pierwszą w Polsce rektorską komisję antydyskryminacyjną, do dziś przewodzi jej prof. Małgorzata Fušzara. Cały czas pracuję w tej komisji.

Potem, kiedy widziałam kumulację różnych tragedii, nauczyłam się pokory i wrażliwości. Uodporniałam się.

Wiele uczestniczek i uczestników protestów po 2015 r. cierpi dziś na jakieś elementy syndromu PTSD. A pani, która widzi tyle nieszcześć, daje radę.

– Nie mam czasu na roztkliwianie się. Jak mogę pomóc, to pomagam. Opowiem panu taką historię. W 2018 r. z bratem udaliśmy się w poszukiwaniu śladów rodzinnych do Brześcia. Wiedzieliśmy, że koczuje tam wiele rodzin czeczeńskich, których nie wpuszczono do Polski. Straż Graniczna wielokrotnie zwracała je w Terespolu.

O pomoc dla jednej z tych rodzin zwróciła się Marina Hulia. To niezwykła osoba, pomaga czeczeńskim rodzinom, reprezentuje kolektyw Matki z Dworca Brześć. Poprosiła mnie o pomoc dla czeczeńskiej matki i siedmiu chłopców. Potrzebne były buty, koszulki i różne drobne rzeczy.

Wydawało nam się, że siedem par butów nie jest problemem. Ale kiedy pociąg zbliżał się do granicy, pasażerowie zaczęli nerwowo chować różne rzeczy. Bałam się, że buty trafią bezpowrotnie do białoruskich celników, ale dzięki pomocy pasażerów udało się. Na dworcu przywitała nas owa czeczeńska rodzina. Przed powrotem dostałam piękną laurkę od chłopców z napisem: „Dziękujemy za lato naszych nóg”. Każde moje spotkanie z mamami i dziećmi czeczeńskimi to niezapomniane momenty i wzruszenia, ale też ogromnie smutna refleksja dotycząca złego traktowania tych rodzin, niewpuszczania ich do Polski.

Już wtedy rósł mur obojętności na los innych ludzi i bezwzględności wobec nich. Nawet dzieci nie budziły współczucia.

Pani rodzice poznali się w powstaniu?

– Znali się wcześniej. Mama miała 15 lat, kiedy wybuchło powstanie, a 17, jak wyszła za mąż. Brat się urodził, gdy miała 19 lat. Oni w powstaniu cieszyli się swoją miłością, choć mieli przerażające życie.

Dziadek zginął we wrześniu '39 w Warszawie w czasie bombardowania. Brat mamy zginął w Mauthausen na pięć dni przed wyzwoleniem obozu, był studentem prawa UW. To dlatego jestem w Stowarzyszeniu Mauthausen, które się spotyka 13 grudnia w Biurze RPO.

Ciągle porównuję te czasy, myślę, że i dzisiejszy czas mroku jest przejściowy. To minie, popatrzmy na to, co dziś przeżywają Ukraińcy.

A kim byli pani rodzice?

– Ojciec był inżynierem. Mama pracowała najpierw w Zjednoczeniu, z którego wyrosło później PGNiG, zawsze się zajmowała sprawami socjalnymi.

Tata nie dożył 1989 r., a uważał, że najważniejsza dla młodego pokolenia jest edukacja o prawdziwej historii. Przez wiele lat spotykał się z harcerzami na Powązkach, gdzie prowadził dla nich lekcje historii. Mówił o doświadczeniach powstania. Mama również zaangażowała się w spotkania z młodzieżą, organizowała kwesty na ratowanie grobów powstańców.



• **Przed budynkiem Sądu Apelacyjnego w Krakowie sędziowie dziękują odwołanej ze stanowiska zastępczyni rzecznika praw obywatelskich Hannie Machińskiej. 8 grudnia 2022 r.**

FOT. SYLVIA PENC / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z bratem, a później też razem z mężem prowadziliśmy domowe spory z rodzicami, bo patrzyliśmy na powstanie inaczej niż oni.

Czyli?

– My mówiliśmy o 150 tys. ofiar, w tym cywilów. Dla nas to było coś potwornego. Dla rodziców powstanie było sacrum, nie było mowy, aby cokolwiek podważać.

Moja historyczna wrażliwość wyniesiona z domu spowodowała, że w stanie wojennym zostałam obserwatorką procesów politycznych.

Co to znaczy?

– Pan prof. Henryk Kupiszewski, później szary ambasador w Rzymie, powiedział, że należy rejestrować przebieg procesów tam, gdzie wpuszczają widzów.

Wpuszczali?

– A jakże, np. przedstawiciele Kościoła, aktorów i inne osoby. To było niesłychane.

Ale pewnie nie mogła pani tego nagrywać ani nawet robić notatek?

– Żadnego utrwalenia wypowiedzi. Przyniosłam magnetofon Kasprzak wielkości małego laptopa. Wsadziłam go w plastikową torbę i przykryłam książkami. Wtedy żadnych bramek nie było, na sali rozpraw zakasłałam i nacisnęłam nagrywanie.

Co to była za sprawa?

– Przed Sądem Najwyższym, szefów łódzkiego zarządu regionu NSZZ „Solidarność” Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego. Bronił ich mecenas Jan Olszewski. W pewnym momencie z mojej torby zaczę-

– Oczywiście. Chodziłam z aktorami, był nasz przyjaciel Lech Ordon. I raz, podczas burzy, otworzyło się okno. Wtedy Ordon wstał, jakby był na scenie teatru, i przemówił: „Wysoki Sądzie! Nawet Pan Bóg tej niesprawiedliwości nie może wytrzymać”.

Dziś możemy sobie żartować. Wiedzieliśmy, który sędzia przyzwoity, wtedy zektnęłam się z zakładami karnymi, to były traumatyczne chwile. Plakałam na procesie Jana Józefa Lipskiego, na mrozie prowadzili go bez kurtki, a on był ciężko chory.

Była też pani na procesie Jacka Kuronia?

– Tak. Potem spotykaliśmy się wiele razy, zawsze przyjeżdżał na konferencje Rady Europy, które organizowałam w sprawie mniejszości narodowych.

Jedną z nich organizowałam w Sejmie, zapowiedziano mi, że Jacek Kuroń jest w poważnym stanie w szpitalu i nie przyjedzie. A tu nagle drzwi się otwierają i wwożą na wózku szpitalnym opatulonego Jacka, który mówi: „Nie mogłem tu nie być”.

O której pani wstaje i kładzie się spać?

– Wstaję mniej więcej o szóstej z minuty. Kiedyś chodziłam spać o drugiej, teraz o północy.

Ale dręczę mnie gmatwanina myśli, od których nie mogę się uwolnić, czego jeszcze nie zrobiłam, jakie mam zaległości. Teraz muszę odpowiedzieć na liczne propozycje współpracy.

Ile ich pani dostała?

– Niedawno wyszłam ze spotkania z czterema propozycjami. Nazajutrz dostałam trzy nowe. Cieszę się z tego kapitału spo-

Dziś kara jest rozumiana przez władzę jako odwet, opresja. Rośnie liczba osadzonych w zakładach karnych, co jest niebezpieczną tendencją, zwłaszcza że przestępczość nie rośnie

ło dobywać się takie sssssss, pipipi.

Skończyła się taśma?

– Gorzej. Rozwinęła się i zaczęła się plątać. Dostałam ataku kaszlu. A obok mnie siedzieli faceci żywcem wyjęci z lat 50., wszyscy w skórzanych płaszczach.

Aresztowali panią za obrazę sprawiedliwości ludowej?

– Sąd zarządził przerwę, a ja, kaszląc, popędziłam do toalety. Po przerwie, mecenas, który zostawił papiery, mówi: „Wysoki Sądzie, ktoś skradł moje dokumenty, ale nie szkodzi, mam kopie”. O mojej syczącej torbie wszyscy zapomnieli. Ale z nagrania rozprawy nic nie wyszło.

Wpuszczali panią później do sądu?

lęcznego, nie mogę go zmarnować.

Jak wygląda pani dzień pracy?

– Na ogół rano mam zajęcia ze studentami z logiki i prawa ochrony środowiska, pracuję na pół etatu. Mój sukces dydaktyczny to udział moich studentów w symulacji rozprawy sądowej w Stetson na Florydzie. W finale była drużyna z Cambridge i nasi.

Jak pani nocami biega po przygranicznych chaszcach czy komisariatach w Śródmieściu, aby pomóc obywatelom, to jak pani potem wstaje na zajęcia?

– Myślę, że dzień niesie każdego, kto widzi cel swojej pracy. Może dlatego nie zachorowałam na COVID, choć rozmawiałam z tyłoma chorymi, np. w miejscach zatrzymań.

Nie odsypia pani w dzień?

– A gdzieżby! Ani jednego dnia zwolnienia.

Interesuje się pani Zagładą.

– Rozmawiam dużo z Marianem Turskim. Z tego powstała inicjatywa, nasz przyjaciel Andrzej Wolf nakręcił film o Irenie Sendler. Poznałam ją już w Domu Pomocy Społecznej Zakonu Bonifratrów. Zaproponowałam Wolfowi, że z tym filmem pójdziemy do więźniów. Jeszcze istniało więzienie na Mokotowie. Więźniowie, którzy odsiadali po 15 lat, płakali, widząc piekło getta warszawskiego.

Takie sytuacje dają pani siłę?

– Nieprawdopodobną. Tak samo jak słynne wystąpienie Mariana Turskiego w Auschwitz, że Auschwitz nie spadło nam z nieba. Byliśmy tam wtedy z Adamem Bodnarem.

W rozmowie z panem przypominam sobie, że jako dziecko mieszkaliśmy dokładnie naprzeciwko pomnika Bohaterów Getta. Jako dziewczynka uczestniczyłam w każdych obchodach powstania w getcie. Widziałam byłych więźniów przyjeżdżających z całego świata, ubranych w pasiaki. I oni tam tak stali w milczeniu.

Wstrząsająca ceremonia.

– Polscy sąsiedzi zwykle nie przychodzili na tę uroczystość. Dlatego przed uroczystością otwarcia Muzeum Polin ówczesny dyrektor Dariusz Stola napisał przepiękny list: „Droży Państwo Sąsiedzi, powstaje nowe muzeum. Zapraszam w przeddzień otwarcia”.

Dziś przynębia sytuacja w Ukrainie.

– Jeździliśmy wielokrotnie na granicę ukraińską. Udzielaliśmy pomocy kolegom i koleżankom z parlamentarnego Biura Rzecznika Praw Obywatelskich. Sceny, które widzieliśmy na granicy, to sceny wojny, tułaczego losu – kobiety, dzieci, zwierzęta, żadnego dobytku. Polska stworzyła nie zwykłą pomoc dla uchodźców z Ukrainy, to jest ta nasza najlepsza twarz.

Słychać jednak coraz częściej pomrukiwanie na Ukraińców przebywających w Polsce.

– Dzisiaj w radiu występował mój kolega prof. Michał Bilewicz, robili badania na temat stosunku do Ukraińców i bardzo się boję, czy ten stosunek się nie zmieni.

Jest jeszcze jedno miejsce zapomniane przez wszystkich.

Jakie?

– Gostynin. To Adam Bodnar rozpoczął te wielkie działania związane z Gostyninem. Ponad 60 wystąpień. Obecny rzecznik też zajmuje się tym problemem.

Zsłamy tam ludzi, o których nie chcemy wiedzieć, że żyją.

– A przecież towarzystwo psychiatryczne, psychologiczne, autorytety – wszyscy byli przeciw i mamy to na piśmie. Ludzie mieszkają tam w okropnych warunkach. Opresyjność tego miejsca wobec pacjentów jest gorsza niż w więzieniu. Strażnicy chodzą z pałkami. Spytałam dlaczego. Bo ci ludzie są niebezpieczni.

Tak samo było w Wędrzynie, kiedy strażnicy pytali, czy nie boi się pani wejść do migrantów.

– Tak.

Albo w komisariacie w Śródmieściu, gdzie policjant tłumaczył, że muszą uważać, aby mierząca niecałe 160 cm osoba zatrzymana pani nie zaatakowała.

– To mówili o Babci Kasi – że stanowi zagrożenie publiczne, prawda?

I co teraz będzie?

– Teraz kończymy. Muszę ogarnąć masę spraw. I dziękuję setkom osób i organizacjom porządowym za okazane wsparcie i wielką życzliwość. ●

Adam Michnik poleca

List otwarty do Wołodymyra Zełenskiego

PANIE PREZYDENCIE, NIECH PAN NIE SKREŚŁA ROSJAN

Wojna Rosji z Ukrainą to wojna między autorytaryzmem i demokracją.
Nie między narodem rosyjskim i ukraińskim

Aleksander Podrabinek*

DROGI WOŁODYMYRZE OLEKSANDROWYCZU!

Z podziwem obserwowałem pana triumfalne dojście do władzy i pierwsze kroki jako prezydenta. Pańska nietypowa dla polityka otwartość i życzliwość, niekonwencjonalne myślenie i poczucie odpowiedzialności za słowo, wolność od korporacyjnych reguł i korupcyjnych tradycji dawały nadzieję na udane zerwanie z sowieckim dziedzictwem Ukrainy. Pańska odwaga i stosowna do okoliczności postawa po rozpoczęciu rosyjskiej agresji również budzą szacunek.

Wszystko to zostało, jeśli nie zburzone, to zakwestionowane w pana wywiadzie dla „The Washington Post” [pisane w sierpniu 2022]. Wzywa pan kraje zachodnie do zakazania wjazdu wszystkim Rosjanom, a nawet do odsłania do Rosji tych, którzy już na Zachodzie są, wszystko jedno, z jakiego powodu się tam znaleźli. Innymi słowy sugeruje pan, że Zachód powinien opuścić żelazną kurtynę na swoich granicach z Rosją.

To jest właśnie to, co przez dekady odróżniało ZSRR od wolnego świata. To jest to, o czym marzy dziś Władimir Putin i co stopniowo jest wprowadzane w życie w Rosji – powrót do praktyk państwa sowieckiego. Czy naprawdę tego pan chce?

Od początku wojny z Ukrainy wyemigrowało od 5 do 7 mln Ukraińców. Ratowali siebie i swoje rodziny przed wojną, przed rosyjskimi bombami i rakietami – i nie jestem jednym z tych, którzy oskarżają ich o brak patriotyzmu i chęć przetrwania za wszelką cenę. Ale z Rosji także, według różnych szacunków, od początku wojny wyemigrowało od 200 tys. do 2 mln ludzi, ratując siebie i swoje rodziny przed wszechwładzą rosyjskich służb bezpieczeństwa lub po prostu nie chcąc dzielić moralnej odpowiedzialności za wojnę napastniczą. Czy to ich wina? Czy za to żąda pan ich deportacji do ojczyzny?

Mówi pan, że nasz naród powinien ponieść zbiorową odpowiedzialność za wojnę, bo „to naród wybrał taką władzę i nie walczył z nią, nie spierał się z nią, nie krzyczał na nią”. Wszystko to nieprawda. Nasz naród nie wybrał tej władzy, niech pan nie powtarza narracji Kremla – w naszym kraju od wielu lat nie było wyborów. Ta

władza nie jest nawet przekazywana z rąk do rąk, trzymają ją mocno te same wytrwale i bezwzględne ręce. I jak to nikt „nie walczy, nie spiera się, nie krzyczy” na nią, skoro nie ma dnia, żeby ktoś nie został aresztowany lub skazany za stawianie oporu tej właśnie władzy?

Po aneksji Krymu dziesiątki tysięcy ludzi w Rosji wychodziły na demonstracje i wiece wspierające Ukrainę; pojedyncze osoby czynią tak nadal. Tak, to jest katastrofalnie mało, ale jeśli ze względu na młody wiek nie poznał pan sowieckiego totalitaryzmu, to proszę spojrzeć na historię antysowieckiego oporu i sprzeciwu wobec dyktatorów w innych krajach. To nie jest takie proste, jak pan myśli. To nie jest bezpieczne „krzyczenie” na władzę podczas wiecu czy przed kamerami telewizyjnymi.

Zarzucił pan Grecji, że zarabia na rosyjskich turystach, a to znaczy, że zarabia na krwi. Tu się z panem zgadzam. Ale nie zapominajmy, że cała Europa ogrzewa się rosyjskim gazem i to też jest handel opłacony krwią. I nie zapominajmy, że Ukraina również ma stosunki handlowe z Rosją i nadal (w czasie wojny!!!) sprzedaje usługi swojego systemu transportu gazu swemu wrogowi. To właśnie przez Ukrainę dostarczany jest gaz na Zachód. Czy to nie są pieniądze zarabiane na krwi?

Rozumiem, że Ukrainie brakuje środków, żeby przeciwdziałała rosyjskiej ekspansji. Wszyscy to rozumieją, także na Zachodzie. Nie wszyscy jednak chcą ryzykować bieżącym dobrobytem swoich krajów i drażnić obłąkaną kremlowską władzę. Dlatego nakładają bezsensowne i całkowicie nieskuteczne sankcje na tych, którzy nie mogą w żaden sposób wpłynąć na tę władzę.

To strata czasu. Takie sankcje byłyby czymś właściwym 15–20 lat temu, kiedy społeczeństwo rosyjskie dysponowało jeszcze pewnymi narzędziami nacisku na władzę. Dziś ich po prostu nie ma. Dziś protestujący idą do więzienia, więc popychanie ludzi do protestów wobec zamknięcia granic, braku towarów czy wysokich cen to szczyt naiwności. A ściślej szczyt hipokryzji ze strony tych, którzy mogliby wesprzeć Ukrainę poważnymi dostawami nowoczesnej broni, ale zamiast tego rozgrywają ludzi, którzy

już teraz miotają się pod butem despotyzmu.

Wołodymyrze Oleksandrowyczu, wojna Rosji z Ukrainą nie jest wojną między narodem rosyjskim i ukraińskim. To jest wojna między autorytaryzmem i demokracją. Nie można sprowadzać konfliktu cywilizacyjnego do poziomu prymitywnej międzyetnicznej konfrontacji.

Nie wiem, jak przekazać panu moje przesłanie, więc upublicznięm je w nadziei, że dotrze do pana i że pan je przeczyta.

Z poważaniem
Aleksander Podrabinek, dziennikarz,
w czasach sowieckich
więzień polityczny,
Moskwa, 10 sierpnia 2022 r.
przeł. arp



*Aleksander Podrabinek

• ur. w 1953 r., rosyjski dysydent, w ZSRR spędził ponad osiem lat w łagrach. Był współzałożycielem niezależnej komisji ds. wykorzystywania psychiatrii do celów politycznych, napisał książkę „Medycyna karna”. W Rosji działacz demokratyczny, obrońca praw człowieka, dziennikarz. W Polsce ukazała się jego książka „Dysydenci. Nieuleczalnie nieposłuszni”. Tytuł listu – „Wyborcza”

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jerzy Ficowski*

nie zdołałem ocalić
ani jednego życia

nie umiałem zatrzymać
ani jednej kuli

więc krążę po cmentarzach
których nie ma
szukam słów
których nie ma
biegnę

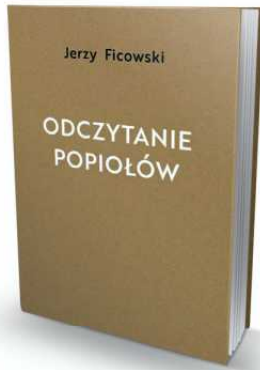
na pomoc niewolań
na spóźniony ratunek

chcę zdążyć
choćby poniewczasie



*Jerzy Ficowski – 1924–2006, poeta, prozaik, eseista. Badacz historii i folkloru Romów, tłumacz poezji romskiej („Pieśni Papuszy”), rumuńskiej i żydowskiej, autor szkiców o Brunonie Schulzu. Pisał wiersze i baśnie dla dzieci oraz teksty piosenek (np. „Jadą wozy kolorowe”). Był członkiem KOR-u.

Utwór z jego poświęconego Zagładzie i wojnie zbioru wierszy „**Odczytanie popiołów**”, tekst za najnowszym wydaniem: wyd. Nisza, Warszawa 2022



FOT PIOTR WÓJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 536-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



LEKARZE, NIE ZASŁANIAJCIE SIĘ PRAWEM

**Kodeks etyki lekarskiej
wyrzucił ustawę aborcyjną
i wyrok Trybunału Przylęb-
skiej.**

Katarzyna Wężyk

Irena miała 40 lat, gdy badanie ginekologiczne wykazało dwie rzeczy: że ma szybko rosnące mięśniaki macicy i że jest w ciąży, której z powodu mięśniaków nie donosi. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej poszłaby do szpitala i ją po prostu przerwała, ale właśnie weszło w życie zarządzenie zabraniające lekarzom aborcji poza sytuacją zagrożenia życia i zdrowia pacjentki oraz czynu zabronionego. Z usług dyskretnych prywatnych gabinetów nie mogła skorzystać: miała nadciśnienie, chore nerki i uczulenie na większość antybiotyków, lekarz nie zaryzykowałby. Musiała zostać skierowana na legalną aborcję.

Internista odmówił: sumienie mu nie pozwalało. Za to doradził: „Może pani iść do psychiatrów. Jak pani powie, że się zabije, to może dadzą”.

Irena poszła do szpitala rejonowego. I znów pech: nowy dyrektor właśnie postanowił, że placówka będzie przestrzegać wartości chrześcijańskich, i obwiesił go plakatami z informacją, że tu aborcji się nie robi. Ordynator stwierdził, że pacjentka „jakąś szansę na urodzenie ma”, i odmówił skierowania na zabieg. „My tu chronimy życie, a pani się na ten stół pcha”.

Kolejna stacja, szpital wojewódzki. Tym razem lekarz stwierdził, że sprawa jest ewidentna i wypisał skierowanie: aborcję należy zrobić „zgodnie ze wskazaniami pacjentki”. Tyle że, jak się okazało, Irena może i ma wskazania, ale nie „bezwzględne”. Specjalista od ciąży wysokiego ryzyka odmówił aborcji. „I tak jestem miły, że panią przyjmuję”.

Irena się poddała. W ciąży czuła się fatalnie, wszystko ją bolało, ciągle brała zwolnienia. Od lekarza prowadzącego usłyszała, że „ciąża to nie przyjemność”. W 19. tygodniu zaczęły się plamienia („coś tu pani wycieka, ale nie wiem co”) i Irena dostała skierowanie do szpitala – miała się zgłosić, gdy poczuje się gorzej. Dwie doby później, z gorączką 40 stopni, zawiózł ją mąż. Przez noc nikt się nią nie zajął, rano była już ledwo przytomna i miała drgawki. Sepsa, stwierdził lekarz na porannym obchodzie. Stan krytyczny. Mąż usłyszał, że ma

się modlić, żeby antybiotyki zadziałały. Kilka godzin później Irena urodziła martwy, 250-gramowy płód. Antybiotyki zadziałały.

Po rekonwalescencji kobieta znów poszła na USG. Mięśniaki tak się rozrosły, że trzeba już było usuwać całą macicę. „I tak żadnej ciąży pani nie donosi, nie ma obawy”, usłyszała.

To nie jest historia z ostatnich dwóch lat, tylko sprzed ponad 30. Opisała ją Oleńka Skwiecińska w „Wyborczej”, w numerze z 6 stycznia 1993 r. – w przeddzień uchwalenia ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Gdy Irena próbowała przerwać ciążę, obowiązywało jeszcze prawo z 1956 r., na mocy którego wskazaniem do aborcji było zdrowie pacjentki i jej trudne warunki życiowe – a w praktyce przez ponad trzy dekady była dostępna praktycznie na żądanie. Dokumentem, który wiązał ręce lekarzy, była nie ustawa, nie wyrok Trybunału, tylko przyjęty przez nich samych w 1991 r. kodeks etyki lekarskiej.

Ustawę z 1993 r., uchwaloną po ponad trzyletnich sejmowych i ulicznych bataliach – pierwszy projekt zakazu aborcji stworzyła komisja ekspertów Episkopatu w 1989 r. – uznano za jedną z najsurowszych w Europie. Nie bez powo-

du: przewiduje tylko trzy sytuacje, w których można ciążę przerwać: gdy zagraża ona życiu i zdrowiu ciężarnej, gdy płód jest uszkodzony lub gdy ciąża pochodzi z czynu zabronionego, czyli gwałtu lub kazirodztwa. Tym niemniej same zapisy ustawy nie są szczególnie precyzyjne, a zatem otwarte na interpretację. Według WHO zdrowie to „stan dobrego samopoczucia fizycznego, psychicznego i społecznego, a nie tylko brak choroby, kalectwa i niepełnosprawności”. Taka na przykład brytyjska ustawa dopuszcza aborcję w sytuacji zagrożenia życia kobiety, kiedy przerwanie ciąży zapobiegnie poważnemu i stałemu pogorszeniu jej zdrowia fizycznego lub psychicznego oraz uszkodzenia płodu – czyli nie jest aż tak różna od polskiej – ale zapisy interpretowane są bardzo szeroko. Tak szeroko, że aborcja na Wyspach jest dostępna na wniosek pacjentki, po lekarskiej konsultacji, do 24. tygodnia ciąży.

W Polsce interpretacja od początku była nader wąska. Wyegzekwowanie aborcji w szpitalu często było drogą przez mękę: wymagało samozaparcia, determinacji, a najlepiej wsparcia prawniczki.

Za ten stan odpowiadają trzy instytucje. Kościół, który od początku transformacji bezpardonowo naciskał na zakaz aborcji, najlepiej całkowity. Politycy prawicy,

którzy ustawę z 1993 r. uchwalili, a następnie wielokrotnie próbowali ją zaostrzyć. Wreszcie środowisko lekarskie, które nie tylko często interpretowało ją skrajnie antykobieco, ale wręcz samo wyrывało się przed szereg, gdy chodziło o ograniczanie praw pacjentek.

Pierwszą uchwałę domagającą się uchylenia prawa do aborcji lekarze podjęli jeszcze w grudniu 1989 r., na I Krajowym Zjeździe Lekarzy. Zjazd powołał też specjalny zespół, który miał opracować kodeks etyki lekarskiej. A zespół, jak relacjonował wchodzący w jego skład Jerzy Umiasztowski, „świadomie przyjął stanowisko, że lekarz powinien podporządkować się prawu stanowionemu tylko wtedy, gdy nie narusza ono prawa naturalnego”.

Projekt kodeksu został przedstawiony na kolejnym zjeździe, w grudniu 1991 r. Od ponad roku obowiązywała już wtedy klauzula sumienia, ale projekt poszedł jeszcze dalej. Naczelna Rada Lekarska chciała, by lekarz mógł przerwać ciążę wyłącznie w przypadku zagrożenia życia ciężarnej. Przeprowadzenie aborcji w jakiegokolwiek innej sytuacji groziło utratą prawa do wykonywania zawodu. Ten zapis był co prawda sprzeczny z obowiązującym prawem, ale Rada preferowała prawo naturalne. Czyli, w praktyce, prawo lekarza do decydowania za pacjentkę.

Ostatecznie uchwalono wersję złagodzoną, dopuszczającą też aborcję przy zagrożeniu zdrowia i ciąży z przestępstwa. „Jest to najbardziej liberalne rozwiązanie, na jakie pozwala etyka”, stwierdził prezes Naczelnej Rady Lekarskiej prof. Tadeusz Chruściel. Według profesora „lekarze wypowiedzieli się w ten sposób przeciwko nadmiernej swobodzie seksualnej, a za poprawą obyczajów w Polsce”.

Po uchwaleniu kodeksu etyki lekarskiej aborcja była co prawda wciąż w Polsce legalna, ale w większości wypadków nie było komu jej wykonać. Liczba zabiegów w publicznych placówkach spadła ze 105 tys. w 1988 do 11,6 tys. w 1992 r. Wzrosły za to ceny w prywatnych gabinetach.

Drugi wzrost cen pacjentki dyskretnych ginekologów odnotowały w 1993 r., po uchwaleniu ustawy antyaborcyjnej. Choć wśród argumentów przeciw zakazowi nader często pojawiał się powrót babek z brudnym drutem i oddziałów septycznych dla ofiar spartaczonych skrobanek, podziemie aborcyjne w latach 90. było już bardzo różne od tego opisywanego w „Piekło kobiet” przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Rynek po prostu przejęli sami lekarze i lekarki. Przez kolejne 10-15 lat – aż pojawiła się realna konkurencja w postaci słowackich klinik i przysyłanych z zagranicy tabletek poronnych – podziemie aborcyjne funkcjonowało niemal otwarcie, reklamując się w gazetach jako „ginekolog – zabiegi wszystkie” czy „aaaaa przywracanie menstruacji”. Organy ścigania rzadko interweniowały: przeczesując archiwum „Wyborczej” z ostatnich 30 lat, znalazłam tylko kilka przypadków postawienia zarzutów przeprowadzającym nielegalną aborcję ginekologom.

W publicznych szpitalach natomiast królowała klauzula sumienia, czasem deklarowana przez całe szpitale. Lekarze, łamiąc prawo, zasłaniali się nią nawet wtedy, gdy przyszło wskazać inny szpital, który wykona aborcję lub przy odmowie wypisania antykoncepcji. Gdy te praktyki skrytykował w 2013 r. Komitet Bioetyki PAN, Naczelna Rada Lekarska jego stanowisko odrzuciła: sumienie lekarza, uznała, jest ponad prawem pacjenta.

A rok później 3 tys. lekarzy i studentów medycyny podpisało deklarację wiary, w której zobowiązało się do wierności chrześcijańskiemu sumieniu, respektowania prymatu prawa Bożego ponad ludzkim oraz do odrzucenia aborcji, antykoncepcji i sztucznego zapłodnienia. Co, jeśli ich pacjentki miałyby inne zdanie na ten temat? Odsyłamy do prymatu prawa Bożego.

Środowisko lekarskie dużo rzadziej wypowiadało się natomiast przeciw ograniczeniu praw reprodukcyjnych. Po uchwaleniu kodeksu etyki genetycy prof. Jacek Zaremba i prof. Bogdan Kałużewski bronili badań prenatalnych i prawa do aborcji ze względu na wady płodu (zaznaczając obowiązkowo, że aborcja jest złem). Łódzki ginekolog prof. Wacław Dec w 1993 r. powiedział w „Wiadomościach” TVP wprost to, co część co bardziej empatycznych przedstawicieli jego środowiska robiła po cichu: „W sytuacjach bardzo ciężkich, kiedy widzimy, że mąż ciężko chory, gromadka dzieci i nieplanowana ciąża, uciekamy się do fałszowania danych medycznych. Rozpoznajemy u takiej kobiety poronienie w toku, ciążę zagrożoną i dokonujemy przerwania pod tym tytułem”. Kilka lat później Kościół odmówił mu katolickiego pochówku.

Ale z czasem takich prokobiecych publicznych wypowiedzi w wykonaniu lekarzy było coraz mniej. Rosła natomiast liczba ujawnionych przypadków łamania praw pacjentek. Przypomnę tylko te najgłośniejsze.

1999. Barbara Wojnarowska miała już syna z rzadką chorobą genetyczną, hipochondroplazją, gdy zaszła w drugą ciążę. Ordynator łomżyńskiego szpitala odmówił jej skierowania na badania prenatalne, oskarżając przy okazji, że wymyśliła sobie chorobę, by pozbyć się kolejnego dziecka. Cóрка również odziedziczyła hipochondroplazję. Wojnarowscy pozwali szpital za złe urodzenie, sprawę wygrali.

Przez 30 lat nie było żadnej aborcji dla ratowania życia i zdrowia pacjentki, która skończyłaby się wyrokiem skazującym lekarza. Problemy z wymiarem sprawiedliwości mieli ci, którzy zaniechali interwencji

2000. Alicja Tysiąc miała skierowanie na aborcję ze względu na zagrożenie zdrowia – miała 20 dioptrii, zwyrodnienie płamki żółtej, odklejającą się siatkówkę, drugą grupę inwalidzką i była po dwóch cesarkach – ale prof. Romuald Dębski je zignorował, bo nie widział wskazań do przerwania ciąży. Miał powiedzieć Tysiąc, że jeszcze ósemkę dzieci urodzi. Po porodzie wada urosła do – 24 dioptrii, a grupa inwalidzka do pierwszej. Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu uznał, że polskie państwo złamało wobec Tysiąc prawo do poszanowania życia prywatnego i przyznał 25 tys. euro zadośćuczynienia.

2004. Agata Lamczak miała wrzodzące zapalenie jelita grubego, coraz silniejsze bóle odbytu i podbrzusza, ale była też w ciąży, więc lekarzy interesowało tylko jej utrzymanie. Na uśmierzenie bólu dostała apap, kilka miesięcy spędziła między domem a kolejnymi szpitalami. Nie zrobiło jej kolonoskopii, bo jeszcze by poroniła. Jej matka usłyszała, że cóрка „za bardzo zajmuje się swoim tyłkiem, a za mało ciążą”. Gehenna Lamczak zakończyła się sepsą, wielonarządową niewydolnością i śmiercią.

2008. 14-letnia Agata miała prawo do aborcji – współżycie z małoletnią poniżej 15. roku życia jest czynem zabronionym, poza tym zgłaszała gwałt – ale to nie wystarczyło ordynatorce lubelskiego szpitala. Odmówiła zabiegu i nasłala na nastolatkę księdza. Ostatecznie aborcję, w tajemnicy, załatwiła ministra zdrowia. Strasburski trybunał przyznał dziewczynie 45 tys. euro odszkodowania.

2016. USG w 22. tygodniu ciąży pokazał akranie – brak kości czaszki, mózg na wierzchu, zero szans na przeżycie. Agnieszka chciała przerwać ciążę, ale musiała to zrobić w ciągu trzech tygodni, potem ustawa nakazuje ciążę donosić. Tyle że ordynator warszawskiego szpitala Bogdan Chazan tak przeciągał procedurę, że w końcu na zabieg było za późno. „To była świadoma decyzja prof. Chazana, że nasze dziecko będzie umierało w cierpieniach i że my na to będziemy patrzeć. On nas do tego zmusił” – powiedział mąż Agnieszki.

2021. Izabela trafiła do szpitala z bezwodziem. 22-tygodniowy płód ma w takiej sytuacji bardzo małe szanse na przeżycie, ale lekarze i tak czekali z interwencją, aż przestanie bić jego serce. Czekali za długo – Izabela zmarła na sepsę. Prokuratura postawiła dwójce lekarzy z pszczyńskiego szpitala zarzuty nieumyślnego spowodowania śmierci.

Śmierć Izabeli z Pszczyny, a potem jeszcze, również na porodówce, Agnieszki z Częstochowy, wywołała debatę o odpowiedzialności lekarzy. Ci, którzy wypowiadali się dla mediów, zazwyczaj rozkładali ręce: chcielibyśmy pomóc, ale przecież wyrok nam nie pozwala. My też tu jesteśmy ofiarami. Efekt mrozący nas zmroził. Każda interwencja, nawet w przypadku sepsy, grozi więzieniem, a co najmniej prokuratorem. Sorry, taki mamy klimat.

Dr Małgorzata Kraszewska martwiła się w „Wysokich Obcasach”, że jeśli przerwie

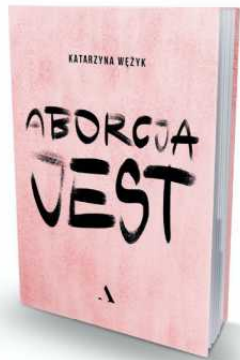
Wielu komentatorów i samych medyków tłumaczy, że najlepsze chęci lekarzy krępuje złe prawo, konkretnie wyrok z 2020 r. Ta narracja niewiele ma wspólnego z faktami. Prawo jest złe od 1993 r., a lekarze i lekarki znacznie przyczynili się do tego, że jego realizacja jest jeszcze gorsza. Przez ostatnie 30 lat regularnie odmawiali zakontraktowanego na NFZ zabiegu aborcji, zasłaniając się klauzulą sumienia, przedłużając całą procedurę, aż będzie za późno, czy odmawiając badań prenatalnych. Część zapewne z przekonania, inni z oportunistu albo lęku przed etykietą aborcjonisty, pikietami organizacji anti-choice czy prokuratorem, ale efekt był taki sam: dostęp do aborcji został ograniczony jeszcze bardziej, niż przewidywała ustawa.

Co więcej, lekarze ustawili się w pozycji autorytetów moralnych z prawem do narzucania własnego światopoglądu innym. Kodeks etyki strachem przed ciążą miał wymuszać na Polkach przestrzeganie tych standardów moralnych, które Naczelna Rada Lekarska arbitralnie uznawała za właściwe, a klauzula sumienia pozwalała odmówić podstawowych świadczeń. Sumienie często nie pozwalało przy tym lekarzom i lekarkom przerwać ciąży - przynajmniej w publicznej placówce – ale pozwalało pacjentkę okłamywać, traktować protekcyjnie, zbywać, kierować na niepotrzebne badania, mnożyć administracyjne trudności, a nawet narażać życie i zdrowie. Relacja lekarz – pacjent jest w Polsce pateralistyczna, nie partnerska.

A to rodzi pytanie, co dalej. Czy jeśli najsilniejsza partia opozycyjna wygra wybory i zgodnie z obietnicą Donalda Tuska uchwali aborcję na żądanie do 12. tygodnia ciąży, będzie komu te zabiegi wykonywać? Bo to rozwiązanie wymagałoby od lekarzy i lezarek uznania podmiotowości pacjentki i jej prawa do decydowania o swoim życiu i zdrowiu.

Oczywiście może się okazać, że powtórzy się sytuacja z lat 90. Wtedy wielu lekarzom, którzy jeszcze kilka lat wcześniej rutynowo pytali ciężarne pacjentki: „zachowujemy czy przerywamy”, ekspresowo wyrosło katolickie sumienie. Niewykluczone więc, że po zmianie aborcyjnego klimatu równie ekspresowo je zrzucą. ●

„Aborcja jest” Katarzyny Wężyk – esej i raport w jednym – dostępna na Kulturalny-sklep.pl i w formie ebooka w Publio.pl



PIOTR
GLUCHOWSKI

głośnym ostatnio szkalującym Donalda Tuska filmie „Nasz człowiek w Warszawie” (półtora miliona odsłon na YouTube i trzy emisje w TVP) byłego premiera w roli ruskiej onucy malują prawicowi dziennikarze i jedna osoba z tytułem profesorskim – historyk Andrzej Nowak.

Od wybuchu wojny w Ukrainie ten socjolog i wybitny znawca historii stosunków polsko-rosyjskich stał się gwiazdą prorządowych mediów. Występuje w stacjach publicznych, w Radiu Wnet i Radiu Maryja. Publikuje w „Sieciach”, „Do Rzeczy”, „Naszym Dzienniku”, „Gościu Niedzielnym”, „Tygodniku Solidarność”, „Gazecie Polskiej” i miesięczniku „Wpis – Wiarra, Patriotyzm i Sztuka”. Jego teksty rozpowszechniają portale Fronda, wPolityce, PoloniaChristiana24 i regionalne gazety będące własnością Orlenu. W konserwatywno-narodowej oficynie Biały Kruk (tej od „Historii i teraźniejszości” Wojciecha Roszkowskiego) wydał osiem grubych pozycji w ciągu ostatnich czterech lat. Tytuły – także wcześniejsze – mówią za siebie: „Polskość jest przywilejem”, „Kościół na straży polskiej niepodległości”, „Kłęska Imperium Zła. Rok 1920”, „Chłuba i zguba. Antologia najnowszej publicystyki patriotycznej”, „Polska i Rosja. Sąsiedztwo wolności i despotyzmu X-XXI w.”.

Jeszcze więcej mówią o profesrze jego wykłady organizowane przez konserwatywne kluby dyskusyjne (Dyplomaty, Ronina i Jagielloński) czy stowarzyszenie Solidarni 2010. Nowak wypowiada się praktycznie na każdy temat.

- O byciu Polakiem: „Nie ma polskości przed chrześcijaństwem i nie ma polskości bez chrześcijaństwa (...) Nie można uczestniczyć w polskości, jeżeli się nie szanuje chrześcijaństwa” (konferencja „Zderzenie kulturowe w Unii Europejskiej”, listopad 2022).
- O Unii: „Brukselski establishment toczy brutalną walkę z Polską i jej niepodległością (...). Wypowiedziana nam wojna kulturowa napędza mnie większym pesymizmem niż [tocząca się w Ukrainie] wojna geopolityczna” (Radio Wnet, grudzień 2022). „Dzisiaj ideologię Unii reprezentuje skrajna głupota (...). Jak popatrzymy na dorobek Europy, to wszystko, co wartościowe, stworzono przed 1945 rokiem. Żyjemy w czasie karłów duchowych, intelektualnych i moralnych. Jest to Europa tchórzostwa” (Radio Kraków, marzec 2016).
- Trzeci ulubiony temat to minione, lecz wciąż nam grożące rządy Platformy: „Tych rządów, które wygnały miliony młodych ludzi z kraju w poszukiwaniu pracy, miliony innych skazując na brak jakichkolwiek perspektyw godnego życia; rządów, które zlikwidowały całe, ostatnie gałęzie przemysłu, zdewastowały polską naukę, pielegnowały zapaść polskiego szkolnictwa i kultury, a całą swoją skuteczność wyborczą opierały na straszaniu jednej połowy obywateli drugą – tych rządów nie dało się dłużej znosić” (z listu na konwencję wyborczą Andrzeja Dudy, maj 2015). „Donald Tusk i Radosław Sikorski prowadzili w latach 2007-2014 zbrodniczą działalność, upodlili się, podlizując polityce Putina (...). W Europie Wschodniej nie ma polityka bardziej zasłużonego dla Kremla niż Donald Tusk” (Radio Wnet, grudzień 2022).

W rozmowie z „Gazetą Krakowską” (listopad 2021) profesor określa swą genealogię jako „chłopską po ojcu, a mieszczańsko-drobnoszlachecką po matce”. Mama Jadwiga była nauczycielką.

– Po kądzieli jestem piątym nauczycielskim pokoleniem – mówi mi historyk.

Co do ojca: Antoni Nowak przyjechał do Krakowa z podrzeszowskiej wsi, by pracować jako inżynier-metalurg. Familia mieszkała w nieistniejącym już domu przy ul. Oleandry – między parkiem Jordana a budynkami Uniwersytetu Jagiellońskiego – przyszłego miejsca zatrudnienia urodzonego w 1960 roku Andrzeja.

– Żyliśmy tam z rodzicami i babcią, te pierwsze trzy dekady życia w wielopokoleniowej rodzinie uważam za absolutnie szczęśliwe – mówi Nowak, który w wieku 21 lat (jako student na wydziale filozoficzno-historycznym UJ) został współorganizatorem podziemnego Wolnego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wcześniej ukończył najbardziej dziś snobistyczne krakowskie V LO. Proszę, by opisał swą drogę do opozycji.

– Czym jest realny socjalizm... to zacząłem rozumieć dopiero w ostatnich klasach liceum. Dojrzałem więc raczej powoli i czasem myślę sobie, że dojrzałem nadal. Na olimpiadzie historycznej pozna-

łem Janusza Kurtykę – współzałożyciela Niezależnego Zrzeszenia Studentów i późniejszego szefa IPN. Inny kolega – olimpijczyk ze Szczecina – przynosił nam bibułę. To były czasy SKS-u...

Nielegalny Studencki Komitet Solidarności powstał w Krakowie po tajemniczej śmierci 24-letniego współpracownika Komitetu Obrony Robotników – Stanisława Pyjasa.

– Nikt z nas nie miał wątpliwości, że zabiła go bezpieka – wspomina profesor. – Do liceum docierały biuletyny KOR-u i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, nosiło się oporniki, były gonitwy z milicją...

Po studiach został magazynierem w bibliotece UJ. – W PRL o pracę dla historyka nie było wcale łatwo. Zaczepienie się na uczelni wymagało rekomendacji podstawowej organizacji partyjnej, na co nie mogłem liczyć. A biblioteka stała przy Oleandrów, blisko domu, wygodnie. Jednocześnie podjąłem studia doktoranckie.

Doktoryzował się w PAN – w Zakładzie Historii Europy XIX i XX wieku. Ten okres uważa za swą specjalność. Temat pracy doktorskiej: postawy Wiel-

kiej Emigracji wobec Rosji. Promotor: docent Wiktor Śliwowski.

– Miała nas dwóch, doktorantów – mnie i kolegę z Olkusza. Od stycznia 1983 zaczęliśmy regularnie odwiedzać Instytut Historii PAN. Mieszkaliśmy w tak zwanym hoteliku na instytutowym poddaszu. Docent Śliwowska zapraszała nas także do siebie – częstowała herbatą z konfiturami na spodku – jak nakazuje rosyjska tradycja. Miała książki, skarby rosyjskiej emigracji, tamizdaty. Nabokow, Osorgin, Andriej Płatonow, Aleksander Zinowiew. Odkrywałem u niej rosyjsko-izraelskiego Feliksa Rozinera czy autora opowiadań abchaskich – Fazila Iskandera. Liczyłem, że w ramach doktoratu uda mi się wyrwać do Biblioteki Polskiej w Paryżu, gdzie czekały fascynujące źródła na temat emigracji, ale Instytut Historii znalazł się w nielase u władzy z powodu solidarności z internowanym docentem Bronisławem Gremkiem. Z paszportu – nici.

Doktorat jednak powstał – w roku 1989, po rocznej przerwie na obowiązkową służbę wojskową. Tymczasem w Polsce – wybory czerwcowe, w Rosji

Kim jest czołowy historyk PiS

MAMY OBOWIĄZEK ZMIENIAĆ EUROPE

„Wszystko sprowadza do pytania:
pamiętać o Westerplatte czy o Jedwabnem”.
Dziejowa misja profesora Andrzeja Nowaka





– otwarte archiwa. W sierpniu 1990 roku dr Nowak ruszył do Kijowa.

– Warunki były spartańskie, ale archiwalia war- te największych wyrzeczeń. Niestety, musiałem prze- rwać pracę po dwóch tygodniach, nie dałem rady ży- wić się samymi tortami i gęstą, zresztą pyszną, bitą śmietaną. Nic innego nie byłem w stanie tam kupić.

W bibliotece UJ Andrzej w 1988 poznał Justy- nę – pięć lat młodszą studentkę polonistyki, córkę znanego w Krakowie profesora me- dycyny, swą przyszłą żonę i matkę ich dwojga dzieci.

Dziś Justyna Chłap-Nowakowa, historyczka li- teratury i poetka, jest doktorem Wydziału Filozo- ficznego krakowskiej, jezuickiej Akademii Ignatia- num. Również drukuje w Białym Kruku i miesięcz- niku „Wpis”. Nowakowie organizują też wspólne spotkania autorskie. Przykład: pięć lat temu w Sank- tuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach Ju- styna podpisywała z okazji Dnia Matki egzempla- rze swych „Opowieści Złotego Kota”, a Andrzej oma- wiał świeżo wydane w Kruku „Filary niepodległości”

– zbiór rozmów o Polsce m.in. z Jarosławem i Le- chem Kaczyńskimi, Antonim Macierewiczem, Ja- nem Olszewskim, Jarosławem Markiem Rymkiewi- czem i Andrzejem Dudą.

– Nasze zainteresowania są z jednej strony bli- skie, z drugiej się uzupełniają – mówi Nowak. – Po- ezja żony wzbogaca moją wyobraźnię i wzmac- nia wrażliwość.

Ta poezja znalazła się m.in. w wydany przez stowarzyszenie Solidarni 2010 tomie „Antologia Smoleńska. 96 wierszy”. Próbką z innego tomiku: „Usiłują znów zabić Boga. Tym razem w nas i sku- tecznie. A my milczymy, roztyło się nasze serce (...) Modlimy się w chramach Ziemi, świątyniach Ciała, Rozumu, z dala od tłumu. Nie czujemy, jak kropla za kroplą, dzień za dniem, dusza z nas wycieka, pory- wa ją podziemna rzeka. A Bóg czeka”.

Jesienią 1991 Andrzej Nowak dostał etat w PAN- owskim Instytucie Historii. Habilitował się tam rozprawą „Polityka wschodnia Józefa Piłsudskiego 1918-1920”. Po czym objął wpierw

• **Październik 2016, Kraków, prof. Andrzej Nowak pod- czas gali przy- znania przez środowisko Białego Kruka Nagrody im. Kazimierza Odnowiciela Patriota Roku. Laureatem został Anto- ni Maciere- wicz.**

FOT. MICHAŁ LEPECKI
/ AGENCJA WYBOR- CZAPL

kierownictwo Pracowni Dziejów ZSRR i Europy Wschodniej, a później całego Zakładu Historii Europy Wschodniej i Studiów nad Imperiami PAN. Przystąpił na krótko do efemerycznej Partii Repu- blikańskiej, jednocześnie pracując jako sekretarz redakcji, a dalej redaktor naczelny wywodzącego się z podziemia dwumiesięcznika „Arka” (później „Ar- cana”). Wykładał m.in. na UW, w Collegium Civitas i nowosądeckiej Wyższej Szkole Biznesu. Za granicą lista jest dłuższa: w USA Columbia, Harvard i Rice, w Wielkiej Brytanii – Cambridge i College of London, do tego Uniwersytet Alberty, uniwersytety w Toron- to, Dubliński, Masaryka w Brnie, Tokijski...

W roku 2007 – będąc już profesorem Zakładu Historii Europy Wschodniej UJ, został opiekunem słynnej pracy magisterskiej Pawła Zyzaka – „Lech Wałęsa. Idea i historia”. Magistrant opisał tam m.in. nieślubne dziecko przyszłego prezydenta oraz jego chuligańskie wybryki na Kujawach. Wydanie pra- cy w formie książki u Nowaka w „Arcanach” skoń- czyło się dla Zyzaka skandalem i sukcesem. Z jed- nej strony wyleciał z IPN, gdzie był archiwistą (mu-

siał szukać zatrudnienia w supermarkecie), z drugiej – zgarnął dwie konserwatywne nagrody literackie. Oburzenie z powodu treści jego magisterki wyraził osobiście premier Tusk („Nikt nie ma prawa zatrucić życia publicznego za pieniądze podatnika”), a minister nauki i szkolnictwa wyższego w rządzie PO-PSL Barbara Kudrycka wysłała na UJ kontrolę.

– To decyzja polityczna, lecz mam nadzieję, że sama kontrola będzie merytoryczna – powiedział wtedy Radiu RMF FM Nowak. Inspekcja żadnych nieprawidłowości nie wykazała, a Kudrycka rewizorów odwołała, wyrażając jedynie nadzieję, że uczelnia „autonomicznie rozwiąże dylemat między wolnością a rzetelnością badań naukowych”.

W tym czasie doktor habilitowany Nowak był już politycznie określony. W roku 2005 wszedł do honorowego komitetu poparcia Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich, pięć lat później – do takiego samego komitetu wsparcia jego brata.

– Nigdy nie należałem do żadnej partii z wyjątkiem epizodu w Republikanach, natomiast sercem już od dawna byłem po tej stronie sceny gdzie PiS. Ten podział na dwie Polski, jaki obserwujemy, zaczął się, moim zdaniem, przy Okrągłym Stole. Tam siedzieli rzecznicy autentycznych zmian, jak Jarosław Kaczyński, i rzecznicy zmian pozorowanych, jak Kaczyński Krzysztof Kozłowski z „Tygodnika Powszechnego”, który zgadzał się z komunistami, że trzeba zachować cenzurę prewencyjną. Alternatywa była dla mnie prosta – obalamy komunizm czy robimy kompromis z częścią komunistów? Polacy 4 czerwca wybrali pierwszą opcję, powiedzieli władzy jednoznacznie: nie!

To fakt, natomiast co do Kozłowskiego profesor mija się z prawdą. W wydanej niedawno książce Andrzeja Brzezieckiego „Kocioł, Kozioł, senator...” można przeczytać, co później szef MSW mówił w trakcie okrągłostołowych negocjacji w podzespole ds. środków masowego przekazu: „Nie do utrzymania jest zasada, że zezwoleni na działalność wydawniczo-prasową udziela i zezwolenia te cofa Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk, a więc instytucja cenzurująca na bieżąco to, na co zezwoliła (...). Nowy ład informacyjny w perspektywie musi zakładać zniesienie instytucji cenzury”.

Kolejnym kamieniem milowym w drodze ku Kaczyńskiemu było oczywiście obalenie rządu Jana Olszewskiego.

Po „nocy teczek” z 4 na 5 czerwca 1992 redaktor naczelny „Arki” napisał list otwarty z poparciem dla dalszej lustracji agentów UB i SB. Podpisali się pod nim Zbigniew Herbert i Jarosław Rymkiewicz, pisarz scenarzysta Marek Nowakowski, krytyczka sztuki Maria Rzepińska, ponad stu profesorów ze wszystkich ważniejszych uczelni.

– To zrobiło wrażenie nawet na publicystach „Wyborczej” – wspomina naukowiec. – Zaszokowany Tomasz Jastrun napisał, że Polska czaszka została rozlupana... no bo jak to tak? Profesura za lustracją i dekomunizacją? Czyli nie tylko ciemni, że wsi i po zawodówce...

Deklaracja z „Arki” została dostrzeżona i po drugiej stronie barykady. W roku 1993 na konferencji z okazji dziesięciolecia pisma zjawili się m.in. były premier Olszewski, Jarosław Kaczyński, były dyrektor rozgłośni polskiej RWE Zdzisław Najder, wreszcie profesorowie: Tomasz Strzembosz, Jadwiga Staniszkis i inni. Konserwatywni intelektualisci i politycy mogli się wreszcie policzyć. A Nowak zaczął robić wywiady, które wejść w skład „Filarów niepodległości” i drugiego zbioru rozmów pt. „Intelektualna historia III RP”. Z samym Jarosławem Kaczyńskim rozmawiał osiem razy – na „ty” jednak nie przeszli.

Nie wymienię wszystkich książek Andrzeja Nowaka (napisał ich blisko 50), wspomnę najważniejsze. Mysł przewodnia ujawni się sama. Rok 1995: „Jak rozbić rosyjskie imperium? Idee polskiej polityki wschodniej 1733–1921”. 2000: „Dzieje kresów”. 2001: „Jan Paweł II – biografia ilustrowana”. 2005: „Karol

Wojtyła. Kronika życia i pontyfikatu”. 2010: „Od Polski do post-polityki. Intelektualna historia zapaści RP”. 2011: „Czas walki z Bogiem. Kościół na straży wolności Polaków”. Ten sam rok: „Krzyż polski. Patriotyzm i męczeństwo”. 2014: „Uległość czy niepodległość?”. 2015: „Wygaszanie Polski”. Biały Kruk drukuje Nowakowi też monumentalne, przystępnie pisane „Dzieje Polski”. Tom pierwszy z roku 2014 ma tytuł „Skąd nasz ród”. Tom piąty – i na razie ostatni: „Imperium Rzeczypospolitej”. Na jego kartach profesor rozprawia się z modną „Ludową historią Polski” Adama Leszczyńskiego i pokrewną teorią głoszącą, jakoby Rzeczpospolita kolonizowała ziemie ukraińskie.

Tymczasem – przypomina Nowak i daje przykłady – polski „cham” był do połowy XVII wieku bogatszy i od chłopu z Zachodu, i od niejednego szlachcica zwanego szaraczkiem. Kmiecie byli „aktywnymi uczestnikami życia społecznego”. Miewali folwarki, czasem służbę, procesowali się z panami i często procesy wygrywali. Opisywane przez Williama Coxe’a nędza i zbydlęcenie nadeszły wraz z wojnami: Chmielnikiem, Szwedami, Rosją... A co z tą kolonizacją? „Robiliśmy straszne rzeczy jako kolonizatorzy [i] właściciele niewolników” – uogólnia laureatka literackiego Nobla [chodzi o Olę Tokarczuk]. Podbudowę takich nie-mądrych syntez dają publicystyczne szarże autorów, którzy formalnie występując jako badacze dziejów, zajmują się w istocie przetwarzaniem ich na czytanek rodem ze stalinowskich podręczników. Kto był właścicielem na ziemiach ruskich Korony? (...) Największym – Konstanty Ostrogski [potomek] halicko-włodzimierskich Rurykowiczów. [Miał] miasta i wsie w województwach bractawskim, kijowskim, ruskim (...), ale także w rdzennie polskim krakowskim i sandomierskim (...). Czy to znaczy, że ruscy kniaziewie kolonizowali Polskę?”

Profesor wymienia też czołówkę kresowych potentatów ziemskich około 1629 roku – to Zbarascy, Zasławscy i kilka innych rodzin ruskich rodów.

– Po lekturze piątego tomu mam tezę – mówię profesorowi. – Pan przedstawia Rzeczpospolitą Obojga Narodów jako wspaniałe państwo, które padło ofiarą nie własnej anarchii, lecz sąsiadów zbrojów. Jeśli przekona pan czytelnika do takiej narracji, dalej przekona go pan do wielbienia powstań, chwalebnej roli Kościoła – a w końcu i do PiS-u.

– To spore uproszczenie, lecz nie protestuję. Jedno jest dla mnie pewne: propaganda lewicy chce skażyc Polskę z samymi wadami. Polacy nie umieli się rządzić, byli wciąż pijani, a do tego brudni, skołtunieni i źli. Chcę ten obraz zmieniać, bo jest nieprawdziwy. Gdy go już zmienimy, łatwiej zrozumiemy, że z Polski też płynie dobro, a nie tylko z Unii. Nie jesteśmy niedorajdami, którym trzeba pomóc. Pedagogika wstydu to sposób edukacji, co niszczy wspólnotę. Ja bym chciał ją scalać.

Tytuł profesora zwyczajnego (bełwederskiego) wręczył Nowakowi w 2011 roku Bronisław Komorowski. Historyk wolałby oczywiście dostać go z innych rąk, jednak Lech Kaczyński od dziesięciu miesięcy nie żył. W filmie TVP historyk mówi do kamer:

– Katastrofa smoleńska, która przez wszystkich w Europie Wschodniej była odczytywana jako oczywisty sygnał możliwości Putina, została wzięta przez rząd polski w ochronę pod hasłem: „najgorszą rzeczą, jaka się może zdarzyć, jest wysunięcie sugestii, że to zrobili Rosjanie”. Tymczasem ja po 10 kwietnia dostałem dziesiątki maili od znajomych z Rosji, oczywiście opozycyjnie nastawionych do Putina, i nikt z nich nie miał wątpliwości, kto winien. Ktoś, kto już niejednokrotnie robił takie rzeczy.

– Niech pan odpowie krótko – proszę naukowca. – Zamach czy katastrofa? – Ja uważam, że zamach. Stopień determinacji Putina i jego nienawiść do braci Kaczyńskich były przeogromne. Miał motyw i miał okazję. Zaś drugą ciężką zbrod-

nią, już popełnioną przez Tuska, było oddanie śledztwa tym mistrzom świata w kłamstwie i manipulacji. Oddano dochodzenie w ręce ministra Siergieja Szojgu i prokuratora Jurija Czajki, który nadzoruje tam zbrodnie sądowe. To nie do wybaczenia.

– Ja pamiętam, że śledztwo było prowadzone w Polsce. Komisja Millera orzekła między innymi współwinę rosyjskiej obsługi lotniska, a potem Antoni Macierewicz prowadził własne dochodzenie...

– Tak czy owak Donald Tusk już nigdy nie powinien pełnić żadnej funkcji w Polsce.

– I żeby temu zapobiec, dał się pan zaprosić do udziału w propagandowym filmie TVP, w którym manipulacja goni manipulację.

– To pan tak uważa.

– Już uzasadniam. Pan mówi do kamery, jaki z Tuska kacap. Pozwól sobie na cytaty: „Z pierwszą wizytą do kraju spoza Unii Europejskiej Tusk pojechał do Moskwy; tym samym złamał tradycję wszystkich poprzednich premierów, którzy najpierw jeździli na Ukrainę, na Litwę...” A prawda jest taka, że Donald z pierwszą wizytą pojechał do Wilna, z drugą – do Brukseli, z trzecią – do Watykanu.

– Ale nie do Kijowa. A to był już czas, gdy Rosja przystawiała pistolet gazowy do głów Ukraińców. Należałoby chyba odwiedzić raczej Julię Tymoszenko, nie satrapę z Kremla. Putin już w 2003 roku zdławił demokrację. Od tego czasu kontakty z tyranem stały się niemoralne, a Tusk je utrzymywał. Zapalił zielone światło dla stosunków z Rosją, w której było już ponad trzystu zabitych dziennikarzy. Wizyta Putina w Gdańsku i Sopocie to już był szczyt wszystkiego! Dla mnie – prawdziwy wstrząs. Do tego jeszcze absolutnie nikczemny tekst Radosława Sikorskiego w „Wyborczej” – o tym, że Rosja hołduje zasadom demokracji. W tym samym numerze waszego dziennika, tylko na dalszej stronie, znalazłem informację o skazanym na łagier rosyjskim historyku, autorze tekstów o zbrodniach Gulagu. Taka demokracja.

Odkopałem „Wyborczą” z datą 29-30 sierpnia 2009. Sikorski napisał: „Rosja od bez mała 20 lat idzie drogą prób modernizacyjnych i demokratyzacyjnych, które – jak mamy nadzieję – uczynią z tego kraju wiarygodnego partnera i przyjaciela”. Tekstu o historyku skazanym na obóz – brak. Pewnie był w innym numerze. Co do kontaktów z tyranem – utrzymywali je w tym czasie zarówno Nicolas Sarkozy, Angela Merkel i Barack Obama, jak i tuzin pomniejszych przywódców. Niektórzy – jak Viktor Orbán, polityczny przyjaciel Kaczyńskiego – utrzymują je i dziś.

Na spotkaniu z Putinem w Trójmieście pojawił się zresztą też osobiście prezydent Lech Kaczyński, który – oddajmy mu – napiętnował rosyjski imperializm i zaprotestował przeciwko rosyjskiemu porównaniu zbrodni katyńskiej do tragedii jeńców bolszewickich zmarłych w polskiej niewoli na tyfus.

Latem 2014 Krzysztof Skowroński – prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i naczelny Radia Wnet – rozesłał list otwarty z prośbą o poparcie apelu do Nowaka, aby ten zdecydował się na start w wyborach prezydenckich przeciw Komorowskiemu. Pomyśl poparło kilka ważnych osób, m.in. profesor Jadwiga Staniszkis.

– Ja sam nie poparłem, choć oczywiście propozycja dopieściła me ego – uśmiecha się naukowiec. – Były dwie możliwości: uciąć to jakimś oświadczeniem albo nie robić nic... pozwolić inicjatywie, by się wyszumiała. Wybrałem drugą opcję.

– W cichości ducha licząc, że może coś z tego będzie?

– A gdzież tam... Miałem świadomość, że nawet gdybym wystartował, zebrałbym może jakiś promil głosów. Niech pan napisze, że z wdzięcznością dla redaktora Skowrońskiego pozostaję do dzisiaj.

Kandydatem PiS stał się ostatecznie inny krakowianin. Zaś Nowak napisał „List na konwencję wyborczą Andrzeja Dudy” i wezwał Jarosława Kaczyńskiego, by ten

desygnował na stanowisko przyszłego premiera nie siebie (jak planowano), lecz jakąś osobę młodą, możliwie podobną do Dudy.

„Prezes wyrastający swoimi kwalifikacjami (...) o głowę ponad ogromną większość dzisiejszych polityków w Polsce, deklarował kilkakrotnie wolę dokończenia tej misji rządowej, którą przerwały przedterminowe, fatalne wybory 2007 roku. Ale dziś mamy rok 2015. Kiedy zacznie funkcjonować nowy rząd, na progu roku 2016 (...) Kaczyński będzie miał 67 lat. Tył, ile miał Marszałek Piłsudski w chwili śmierci. Roman Dmowski był już w tym wieku emerytem politycznym...”

– No i wybuchła afera. „Andrzej Nowak nawołuje do ustąpienia Jarosława Kaczyńskiego” – to tytuł z Frondy.pl z lutego 2015. „Bardzo ważny dla obozu PiS profesor typowany jeszcze niedawno na prezydenta wysła lidera partii do Sulejówka” – nagłówek z „Polityki”.

– Mnie chodziło o to, by partia zaproponowała na stanowisko szefa rządu jakąś młodą twarz. Premierostwo to praca 18 godzin i nie da się tego udźwignąć, zarazem kierując partią.

– Inaczej list odczytano.

– Wiem. Spotkał mnie spory ostracyzm. Wylała się fala hejtu. Lecz sam Jarosław Kaczyński źle tego nie odebrał. Desygnując Beata Szydło na prezes Rady Ministrów, właściwie przyznał mi rację. Nawet mi o tym powiedział w trakcie jednej z rozmów.

Po podwójnym zwycięstwie „dobrej zmiany” Nowak zajął miejsca w Narodowej Radzie Rozwoju przy prezydencie RP, w kolegium IPN oraz w jury konkursu TVP i Polskiego Radia na historyczną książkę roku. Odebrał od Andrzeja Dudy Order Orła Białego „za propagowanie wartości patriotycznych” i Nagrodę Mediów Publicznych za swe „Dzieje Polski”. Zasiadł w radzie Reduty Dobrego Imienia stworzonej przez Macieja Świrskiego, aktualnego przewodniczącego KRRiT.

– Ta ostatnia posada mnie dziwi – mówię. – W 2018 roku protestował pan przeciw projektowi nowelizacji ustawy o IPN, który penalizował obarczanie Polski współodpowiedzialnością za zbrodnie nazistowskie. A przecież fundacja Świrskiego tym właśnie się zajmuje: ściganiem krytyków ze szczególnym naciskiem na II wojnę światową i Holokaust.

– To tylko pozorna sprzeczność. Krytkowałem poprawkę w ustawie o IPN, bo nie chcę, aby przepisy karne ograniczały jakiegokolwiek badania naukowe. Natomiast można dochodzić odszkodowań za zniesławianie dobrego imienia Polski, stojąc na gruncie praw już istniejących i tym się właśnie zajmuje Reduta. Przeciwdziała m.in. stale odnawiającej się kampanii przypisującej nam, Polakom, główną rolę sprawczą w zbrodni Holokaustu. Tym, co mnie martwi szczególnie, jest polski udział w tej hucpie. Jakbyśmy chcieli zniesławić się sami. Nasz własny sąd w Warszawie odmówił ścigania gazety, która użyła określenia „polski obóz zagłady” w stosunku do Ravensbrück. To skandal!

Prawda jest nieco inna. Sąd Okręgowy w Warszawie rozpatrywał dwa bliźniacze pozwy wytoczone niemieckim redakcjom prasowym za „polskie obozy”. W pierwszej sprawie odmówił (z powodów formalnych) ścigania szefów „Die Welt”. Sędzia uznała, że wnoszący sprawę Zbigniew Osewski nie ma legitymacji bierniej. Z uzasadnienia: „zwrot polski obóz jest nieprawdziwy i zakłamuje historię, ale pozew wobec wydawcy podlega oddaleniu, bo słowa te nie odnosily się bezpośrednio do powoda”.

W drugim procesie chodziło o użycie przez regionalny niemiecki dziennik „Rhein-Zeitung” określenia „polski” w opisie obozu Sobibór. I tutaj, jako świadek, wystąpiła więźniarka Ravensbrück Hanna Walczuk. Sprawa skończyła się przeprosinami ze strony redaktora naczelnego „R-Z” Christiana Lindnera. Kary nie zasądzono.

– Takie przypadki rozzuchwalają Niemców, którzy od lat przetrzucają na nas swoje dawne winy – mówi dalej niezrażony Nowak.

– Weźmy najnowszy komentarz „Die Welt”, który oburza się na to, że rząd PiS atakuje Niemcy i żąda reparacji, a przecież to Polacy byli pierwszymi świadkami Holokaustu.

– No bo byli. Byliśmy.

– Nie pierwszymi świadkami, tylko ofiarami. Najpierw było ludobójstwo polskiej inteligencji, które się zaczęło w 1939, dopiero potem Holokaust. A w ogóle wszystko i tak się sprowadza do pytania, które zadałem kiedyś w „Rzeczpospolitej”: pamiętać raczej o Westerplatte czy o Jedwabnem?

Artykuł ukazał się latem 2001, rok po wydaniu „Śasiadów” Jana Tomasza Grossa. Czytam: „Mamy dziś do czynienia ze starciem historii chwały narodowej z historią narodowej hańby. (...) IPN przypomina nam w pierwszej kolejności o zagładzie Żydów na naszej ziemi; w drugiej kolejności o kolaboracji. Jakże ściśle wpisuje się taki wybór w schemat walki z Polską bohaterką, Polską przybraną w wygodny kostium ofiary. (...) W edukacji historycznej, którą ją odebrałem, czas drugiej wojny światowej potwierdzał wartość bycia Polakiem jako członkiem tej narodowej wspólnoty, która stosunkowo najlepiej, najgodniej, z bohaterstwem (...) przeszła historyczną próbę narodów Europy. Symbolem tej postawy było Westerplatte. [Dziś] zastanawiam się, ile razy [to] słowo-symbol bohaterskiej postawy Polaków, [występuje] w masowej edukacji historycznej prowadzonej przez największe media. I nie mam wątpliwości, że liczba ta jest znikoma w porównaniu z takimi słowami-hasłami, jak Jedwabne, Radziłów... Czy dzieje się tak tylko dlatego, że to są słowa nowe, a tamto – Westerplatte – już się opatrzyło? [Moim zdaniem] Monte Cassino, Katyń, powstanie warszawskie (...) nie mogą zostać odesłane do rekwizytorni wygodnych masek. Są elementami (...) więcej ważącymi w bilansie drugiej wojny niż tak modne dzieje kolaboracji...”.

– Historia krytyczna uprawiana między innymi przez Grossa nie jest dążeniem do prawdy, tylko dążeniem do wystydu – dopowiada historyk. – Henryk Elzenberg, etyczny nauczyciel Zbigniewa Herberta, pisał, że idąc przez cmentarz wojenny, jest się porywanym przez wielką, duchową wspólnotę, bohaterstwo i kult bohaterstwa, przez „pęd zbiorowości taki, o jakim w życiu codziennym ani się przypuszczało, aby był możliwy”. Twórcom historii krytycznej idzie o to, by ów pęd zatrzymać, zahamować odruch wierności ojczyźnie. O to chodziło autorom kampanii anty-AK-owskiej po 1945 roku, o to samo chodzi dziś walczącym z Polską „anielską i bohaterską”. Przy czym jedni są często potomkami drugih. Nawet jeśli nie biologicznie, to mentalnie zostali „dziećmi PKWN”.

– Słyszałem już tę tezę: „Wyborcza”, Onet, TVN i „Newsweek” – resortowe dzieci, polskojęzyczne niemieckie media dla Polaków. Obraża pan wielu ludzi. Mój ojciec działał w „Solidarności”, dziadek siedział, choć krótko, w stalinowskim pierdlu.

– Uogólnienia, przynaję, bywają krzywdzące. Niech pan jednak pamiętać, jaka jest geneza współcześnie oświeconych. Marksizm i leninizm były dziedzicami wieku filozofów. Tadeusz Kroński mówił: „My sowieckimi kolbami nauczymy ludzi w tym kraju myśleć racjonalnie”. Istnieje linia ciągła sięgająca czasów dzisiejszych.

Do osób zaatakowanych przez Andrzeja Nowaka zalicza sam siebie m.in. profesor Jan Grabowski, na co dzień wykładowca historii w Ottawie, współzałożyciel Centrum Badań nad Zagładą Żydów:

– W ostatnich latach kilkakrotnie bił we mnie i moje środowisko, w wasze zresztą też. Porównywał „Wyborczą” do „Der Stürmerra”, natomiast historyków z nowej szkoły Holokaustu nazywał ludźmi „opanowanymi nienawiścią”. Czyli sam używał języka przemocy. I to nie jeden raz. Dwa lata temu na debacie z historykami z Izraela zarzucił im chciwość jako motyw badań. Kolejna antysemicka asocjacja, że Żyd równa się człowiek pazerny na pieniądze. Kie-

dys jechałem przez mazowieckie pustkowie i słuchałem Polskiego Radia, bo nic innego w aucie nie łapało. Wtem słyszę profesora, który mówi o polskim patriotyzmie w XII wieku. Absurd i anachronizm. Tak jest, gdy historyk za bardzo wsiąknie w politykę: podlega wówczas pokusie przenoszenia pojęć dzisiejszych na dawne epoki, aby uzasadnić historycznie jakiś zbiór poglądów, którym sam hołduje. W wypadku Nowaka są to poglądy PiS-owskie. On stawia dość prostoduszną tezę: oto Polska jest wieczną ofiarą, dziś tak samo atakowaną, jak w XVIII wieku. To bardzo pięknie brzmi w uszach zwolenników rządu.

Prof. Jan Grabowski:

Używał języka nazistowskiego.

I to nie jeden raz.

Na debacie z historykami z Izraela zarzucił im chciwość jako motyw badań. Kolejna nazistowska asocjacja

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Prof. Antoni Dudek:

To integralny konserwatysta, zarazem umiarkowany.

Myślowo i w wyborach życiowych – niezależny. Zradykalizował się, to fakt. Jednak pozostaje najbardziej otwarty na dialog spośród wszystkich profesorów kojarzonych z PiS

I to go łączy z Wojciechem Roszkowskim. Obaj krzywdzą młode pokolenie, rozpalać wśród części trybalne instynkty, od których ja chciałbym, byśmy odchodzili. Dojrzałość historyczną danego kraju ocenia się przez zdolność do krytycznego spojrzenia na siebie oczami mniejszości. To jest spojrzenie mądre. A Nowak i Roszkowski wracają do XIX-wiecznego sposobu opowiadania. To nie jest historia tylko mitologia.

Chciałem poprosić prof. Roszkowskiego o opinię na temat bohatera tekstu, nie odebrał jednak telefonu, nie odpisał na SMS-a. Zgodził się natomiast rozmawiać prof. Antoni Dudek, kolega Nowaka z jury książ-

ki historycznej roku, a także wcześniejszy członek kolegium IPN.

– Poznaliśmy się w latach 90. w redakcji „Arcanów”. Nowak tworzył ośrodek krawowskiego konserwatyzmu, był jeszcze bardziej prawicowy ode mnie (śmiech). Jest człowiekiem uprzejmym, kulturalnym, wielkim erudytą i melomanem, znawcą muzyki klasycznej. Dobrze gra w piłkę nożną, świetnie się z nim dyskutuje. W 2014 roku popierałem pomysł, by kandydował na prezydenta. Bo to integralny konserwatysta, zarazem umiarkowany. Myślowo i w wyborach życiowych – niezależny. Pan przecież wie, że potrafi być krytyczny także wobec PiS.

– Poproszę o przykład.

– Podpisał ze Sławomirem Sierakowskim i innymi osobami z lewicy apel o wsparcie dalekiej przeciw od PiS-u Fundacji Ośrodka „Katar”. Protestował przeciw rządowej liście jedynie słusznych czasopism naukowych.

To prawda: w grudniu 2018 historyk wystosował „List otwarty do prezesa Kaczyńskiego w sprawie wolności polskiej humanistyki”. Czytam: „Pomysł przygotowania przez urzędników ministerstwa listy czasopism oraz wydawnictw, w których powinni publikować polscy naukowcy, jest praktycznym i symbolicznym zwieńczeniem reformy nauki podjętej i zrealizowanej przez rząd (...). Nie będzie naukowego zbawienia poza tą listą. [Mnie także] zdarzało się pisać dla takich wydawnictw, jak (...) Harvard University Press, ale wiem, że rola humanisty-historyka nie ogranicza się do (...) tekstów przeznaczonych dla garstki kolegów-specjalistów. To jest także rola społeczna związana ze środowiskiem kulturowym, z jego duchowym dziedzictwem (...). Reforma Jarosława Gowina (...) zmierza do zmarginalizowania tej drugiej, społecznej roli humanistyki, do zniechęcenia zwłaszcza młodszych uczonych do popularyzacji wiedzy o historii, o literaturze, o kulturze, o myśli...”.

– Powiedzmy sobie szczerze – mówię profesorowi Dudkowi – że to był taki protest jak piśnięcie myszy. Delikatny.

– Dużo mocniejszy był list Nowaka w sprawie muzeum w Gdańsku.

Latem 2016, pod wpływem historyka senatora PiS Jana Żaryna i publicysty Piotra Semki, prezes Kaczyński wyraził wolę „odbicia” Muzeum II Wojny Światowej z rąk dyrektora Pawła Machcewicza, władz Gdańska i ogólnie – Platformy. Nowa ekspozycja miałaby skupić się na bohaterstwie i martyrologii Polaków. Andrzej Nowak powinien przyklasnąć – a jednak zaprotestował. Wraz ze światowej sławy historykiem Timothy Snyderem ogłosili sprzeciw: „Żaden z nas nie zaprojektowałby wystawy dokładnie tak, jak ona wygląda dzisiaj. Obaj uznajemy jednak, że oddaje zarówno prawdę historyczną (...), jak i miejsce Polski. Jesteśmy zgodni, że Muzeum w jego obecnej formie stwarza wyjątkową szansę dla Polaków, by dowiadywali się o wojnie poza Polską, a dla zagranicznych zwiedzających – szansę poznawania polskiej historii (...) pragniemy wyrazić naszą wspólną nadzieję, że Muzeum i jego wystawa zostaną ukończone i otwarte zgodnie z dotychczasowymi planami”.

Trudno orzec, na ile list Nowaka i Snydera ostudził zapędy PiS, muzeum się jednak ostało w lekko tylko zmienionej formie. Po pierwsze przyszedł nowy dyrektor – doktor Karol Nawrocki, przewodniczący gdańskiej Koalicji na rzecz Pamięci Żołnierzy Wyklętych i członek stowarzyszenia kibiców Lechii Gdańsk. Po drugie dostawiono przed wejściem figurę rotmistrza Witolda Pileckiego.

– Jestem oczywiście wdzięczny Nowakowi za jego list ze Snyderem – mówi mi Machcewicz, obecnie profesor zatrudniony w PAN. – Niestety, w ostatnich latach coś się z nim stało złego. Jego ostatnie wypowiedzi – nie publikacje naukowe, tylko te medialne – odbieram jako uderzające w patriotyzm, rzetelność, prawość ludzi, którzy nie idą z PiS. To są dla niego osoby wykorzystane, nieświadomione... jak tak można?!

W marcu 2019 Andrzej Nowak wystąpił obok Wojciecha Roszkowskiego na spotkaniu promującym książkę tego drugiego „Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej”.

– Spójrzmy na wartości i cele, które nie sie ze sobą Unia. Sięgnąłem po broszurę, którą przygotowała Komisja Europejska „Unia, czy ją znamy?”. Po pierwsze, czytamy: „dialog zamiast wojny”. Jedyna perspektywa wojny, jaka się tutaj pojawia, to wojna domowa. A więc zagrożenie jest wewnętrzne, my jesteśmy zagrożeniem dla Unii. Unia chroni nas przed nami samymi. (...) Oto projekcja strachu. Jeżeli nie będzie Unii, rzucimy się sobie do gardeł, bo w każdym z nas siedzi Hitler.

Koniec cytatu. Podsumujmy: „dialog zamiast wojny” to „projekcja strachu”.

Profesor dalej: „Polaku, jesteś w Unii ważny” brzmi tytuł kolejnego rozdziału tej broszury. Wkraczamy już w obszar nowomowy, w którym hasła propagowane przez Unię są w istocie zaprzeczeniem rzeczywistości. Jeżeli Polska nie mogła zdecydować o tym, kto ją reprezentuje w Komisji Europejskiej [chodzi o przegraną Jacka Saryusza-Wolskiego w 2017 roku], tylko została przegłosowana przez pozostałe kraje... to akurat znaczy: wszystko, co najważniejsze dla nas, może być zdecydowane bez nas.

Koniec cytatu. Podsumujmy: „Polaku, jesteś w Unii ważny” oznacza „jesteś nieważny”, ponieważ kandydat rządu przegrał w Brukseli z Tuskiem.

Nowak: – Jakie wartości unijne wymienia tekst broszury? „Celem Unii jest obrona demokracji”. [Jednocześnie] dużo się mówi o zagrożeniu populizmem. A więc demokracja jest w istocie zagrożeniem z punktu widzenia Brukseli. Cóż bowiem oznacza populizm? Wolę ludów (...) Unia Europejska dziś mówi, że lud jest zagrożeniem”.

Koniec cytatu. Podsumujmy: „Celem Unii jest obrona demokracji” znaczy „celem Unii jest zdławienie demokracji”.

– Cały ten pański wywód to wielka manipulacja – mówię profesorowi. – Pracownicy dzisiejszej TVP mogliby się poduczyć.

– To pańska opinia. Ja chciałem powiedzieć, że nie powinniśmy rezygnować z Europy, ale mamy obowiązek ją zmieniać, a nie tylko przyjmować wzory od mądrych z Berlina czy Holandii.

– Dlatego pan Unię zożydza?

– Jej obecny kształt nie ma niczego wspólnego z demokracją. W Polsce opozycja krytykuje PiS, że większość nie dopuszcza mniejszości do głosu. W parlamencie Europy mamy to do szczęścia. Tam wszyscy są zgodni niczym w Wielkim Churale Państwowym w Mongolii. Mniejszość jest traktowana jak zaraza. Profesor Ryszard Legutko – najlepiej wykształcony europoseł – musiał wreszcie krzyknąć, że cesarz jest nagi.

Występ delegata PiS na sali plenarnej w Brukseli (w sumie pół miliona odsłon kilku wersji nagrania na YouTube) sprowadza się do zdania: PE to organizacja antydemokratyczna i polityczne narzędzie lewicy, która nie toleruje odmiennych poglądów. Profesor Nowak – jak mi mówi – podpisuje się pod tym obiema rękami. Czym sprawia zawód m.in. prof. Piotrowi Osęce, również historykowi z PAN:

– Z jednej strony Nowak to w dalszym ciągu intelektualna klasa. Jak chce, ma świetne argumenty. Jednak ostatnio pałkarskie. Nigdy nie byłem wielkim fanem jego twórczości, a już w najnowszych czasach zaczął hołdować wizji dziejów jako kleju narodowej tożsamości. Jego zdaniem sens ma jedynie narracja szlachecka, chwalebna, apologetyczna. A kto uważa inaczej – ten zły.

Antoni Dudek dalej: – Zradykalizował się, to jest fakt. Jednak nadal pozostaje najbardziej otwarty na dialog z drugą stroną spośród wszystkich profesorów kojarzonych z PiS-em.

Potwierdzam: profesor znalazł dla mnie tyle czasu, ile było trzeba, odpowiedział na wszystkie pytania, nie żądał autoryzacji: – Wierzę, że pan mnie opiszecie uczciwie. ●

N A S Z A E U R O P A

Służby frontowego państwa NATO o wiosennej ofensywie

200 TYS. ROSYJSKICH
ŻOŁNIERZY
PÓJDZIE NA FRONT

Władimir Putin w zmodernizowanym czołgu T-90AM, wystawa rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego w Niżnym Tagile na Uralu
FOT. AP/RIA NOVOSTI, ALEXEI DRUZHININ

Wywiad wojskowy Estonii sformułował ponurą prognozę dla Ukrainy: Rosja ma wystarczająco dużo rezerw, by prowadzić wojnę przez bardzo długi czas – jej potencjał mobilizacyjny jest oszałamiająco wysoki. A to nie wszystko.

Christoph B. Schiltz

WELT

Szef wywiadu wojskowego Estonii płk Margo Grosberg zakłada, że Rosja wkrótce zaostrzy działania bojowe na Ukrainie. Teraz, po zakończeniu prawosławnych świąt w Rosji, można założyć, „że zostanie zainicjowana nowa fala mobilizacji” – oznajmił Grosberg na konferencji prasowej przed kilkoma dniami.

300 tys. rezerwistów powołanych i już szkolonych

Moskwa tylko we wrześniu i październiku powołała 300 tys. rezerwistów. Dla porównania: dotychczasowe straty rosyjskiej armii w Ukrainie to ok. 100 tys. rannych, zabitych i wziętych do niewoli. „Prosta matematyka pokazuje nam, że nawet wobec strat na poziomie 100 tys. Rosjanie mają teraz potencjał, by wysłać na front dwa razy więcej dodatkowych żołnierzy” – przekonuje Grosberg.

Zdaniem estońskiego pułkownika można założyć, że rezerwiści z pierwszej fali mobilizacyjnej są już prawie w pełni przeszkoleni i za cztery do sześciu tygodni zostaną wysłani na front. Żołnierze z drugiego rzutu mobilizacyjnego mogą być przerzuceni na pole walki pod koniec marca lub na początku kwietnia.

Jeśli ustalenia estońskiego wywiadu wojskowego są prawidłowe, druga fala mobilizacji prawdopodobnie będzie miała znaczące konsekwencje dla Ukrainy. Kijowowi bowiem powoli zaczyna brakować żołnierzy. Kraj walczący z Rosją od lutego 2022 roku przeprowadza obecnie piątą i planuje szóstą falę mobilizacji, a do walki wysłani są już nawet mężczyźni w wieku 60 lat. A przecież potencjalna liczba wszystkich rosyjskich rezerwistów sięga nawet 30 mln.

Grosberg powiedział też, że Rosja mimo znacznych strat nadal posiada wystarczającą ilość broni. Od początku wojny 24 lutego Moskwa straciła 1400 czołgów. W kategoriach bezwzględnych jest to „z pewnością oszałamiająca liczba, ale wobec rezerw ciężkiego sprzętu bojowego Rosji wciąż nie są to straty krytyczne” – uważa szef wywiadu wojskowego bałtyckiego państwa.

„Rosja ma obecnie 9 tys. czołgów w naprawie lub w magazynach, nie najnowszych i najnowszych, ale przecież mimo wszystko czołgów” – powiedział Grosberg. Z tej liczby ok. 3 tys. maszyn może być wysłanych na front w zasadzie od ręki. Podobnie sytuacja wygląda w przypadku pojazdów opancerzonych. Płk Grosberg: „Te twarde dane opisują skalę zagrożenia nie tylko dla Ukrainy, ale dla wszystkich sąsiednich krajów”.

Moce fabryk amunicji w Rosji zwiększone o 100 proc.

Szef wywiadu wojskowego poruszył też temat broni artyleryjskiej, którą Moskwa bez przerwy intensywnie wykorzystuje,

zwłaszcza w Donbasie. Rosja od początku wojny straciła ok. 500 systemów artyleryjskich, ale to nadal tylko 10 proc. stanu, który zgromadzono przed wojną. „I nie mówię tu o systemach uzbrojenia, które mogłyby być dodatkowo wyjęte z warsztatów naprawczych. Nie jest to wprawdzie najnowocześniejsza broń artyleryjska, ale ta bardzo duża ilość sama w sobie czyni różnicę” – przekonuje Grosberg.

To samo dotyczy rosyjskich zapasów amunicji. Podczas gdy dla państw NATO i samej Ukrainy zaopatrzenie w amunicję staje się coraz większym problemem, Rosja nadal ma wystarczające rezerwy.

Grosberg: „Szacujemy, że Rosja miała 17 mln sztuk amunicji przed rozpoczęciem wojny. Do tej pory zużyto 10 mln. Szczególnie pod koniec lata zużycie wielkokalibrowej amunicji było bardzo duże – były długie okresy, kiedy wystrzelowano od 20 do 60 tys. pocisków artyleryjskich dziennie, to wprost niesamowita liczba”.

Po jesiennej zadyście teraz Rosjanie zwiększyli moce swoich fabryk amunicji i mogą produkować 3,4 mln pocisków rocznie zamiast – jak dotychczas – 1,7 mln. Ponadto Moskwie udaje się kupować amunicję od Iranu i Korei Północnej, a obecnie używa także amunicji z magazynów armii Białorusi. „Będą mieli dość amunicji na co najmniej cały kolejny rok, jeśli nie dłużej” – uważa Grosberg. Szczególnie niepokojące jest to, że liczba różnego rodzaju pocisków dalekiego zasięgu, które są obecnie używane do niszczenia infrastruktury w Ukrainie, również wystarczy na co najmniej kolejne dziewięć miesięcy.

Szef wywiadu wojskowego Estonii podsumowuje: „Patrząc w przyszłość, oceniając rosyjskie działania przygotowujące do wiosennej ofensywy i uwzględniając dane z raportów wywiadowczych, rosyjskie możliwości wojskowe, pomimo strasznych strat, są dalekie od wyczerpania”.

ARSENAŁY ALTERNATYWNE

„Stranger

Skoro konwencjonalna wojna Rosji nie idzie, czas sięgnąć po zapowiadaną przez władzę Kremla broń „opartą na nowych zasadach fizycznych”: psychotrofikę, hipnozę i inne narzędzia nie z tego świata.



Robert Stefanicki

Rosyjski rząd nakazuje intensyfikację produkcji militarnej, usiłując latać braki importem z innych krajów zbrojeckich, ale to wciąż mało. Czuć desperackie pragnienie ucieczki do przodu. Skoro prowadząc XX-wieczną w stylu wojnę, Rosja sobie nie radzi, to może trzeba zrobić przeskok w czasie, najlepiej od razu do wieku XXII. Odpalić jakąś futurystyczną car-bombę, która zmiecie reżim kijowski i przerazi „kolektywny Zachód”. Albo spalić „ukronazistów” siłą umysłu.

30 listopada minister obrony Siergiej Szojgu powiedział, że Rosja musi dalej rozwijać zaawansowaną broń nowej generacji. W szczególności nie wchodził, ale wskazówką mogą być wcześniejsze komentarze byłego wicepremiera odpowiedzialnego za przemysł zbrojeniowy Jurija Borysowa. – Głównie priorytety będą dotyczyły takich dziedzin jak rozwój broni precyzyjnej, w tym hipersonicznej, wprowadzenie systemów robotycznych i broni opartej na nowych zasadach fizycznych – powiedział Borysow agencji Interfax, omawiając program zbrojeń na lata 2024-33.

Dodajmy, że na początku stycznia Szojgu nakazał, by broń zamówiona przez resort obrony w zakładach zbrojeniowych na lata 2024-25 została dostarczona już w tym roku. Czy również ta „oparta na nowych zasadach fizycznych”?

Broń akceptowalna bardziej niż jądrowa

The Debrief, portal specjalizujący się w technologiach kosmiczno-wojskowych, wskazuje, że ten osobliwy termin nie jest nowy. Stosowano go od lat 70. do opisanego różnych egzotycznych koncepcji, w tym broni psychofizycznej (np. wytwarzanie pól magnetycznych wpływających na umysł i ciało) oraz genetycznej (np. wirusy preparowane pod kątem konkretnej osoby). Po upadku ZSRR temat ucichł. Jednak po dziesięciu latach panowania Putina wrócił do tego sformułowania, gdy obiecywał nową Wunderwaffe. W 2012 roku napisał, że długoterminowe cele wojskowe Rosji obejmują „stworzenie broni opartej na nowych zasadach fizycznych: promieniowanie, geofizyka, fale, genetyka, psychofizyka itp.”. „Wszystko to wraz z bronią nuklear-

NASZA EUROPA

Things” Putina

nę umożliwi uzyskanie jakościowo nowych narzędzi do osiągnięcia celów politycznych i strategicznych. Takie systemy uzbrojenia będą porównywalne pod względem wyników z bronią nuklearną, ale bardziej akceptowalne politycznie i militarnie”.

W artykule, który opublikowała „Rossijskaja Gazieta”, analityk wojskowy Siergiej Pticzkin twierdził, że broń przełamująca znane prawa fizyki jest rozwijana od lat 80. Według Pticzkina radzieccy naukowcy opracowali psychotroniczne generatory zdolne prac ludzkie mózgi na odległość, biorobotycznych superżołnierzy, a także nowe formy promieniowania, które mogą zatrzymać wrogie czolgi.

W 2017 roku gen. Oleg Kisłow powiedział agencji TASS, że sprzęt wojskowy oparty na nowych zasadach fizycznych jest już testowany na poligonie Kapustin Jar w obwodzie astrańskim.

W swoim artykule Putin cytował obszerne fragmenty pracy z 2009 roku zatytułowanej „Broń XXI wieku” autorstwa gen. Władimira Bielousa. Bielous służył w sowieckich strategicznych siłach rakietowych. Zajmował wiele eksponowanych stanowisk, m.in. dyrektora Centrum Studiów Międzynarodowych i Strategicznych, szefa w Wojskowej Akademii Broni Specjalnej, profesora w Rosyjskiej Akademii Nauk Wojskowych. W swoim artykule Bielous wspomina też o „bronii pogodowej”, przywołując amerykański program badań nad jonosferą HAARP. W 2005 roku naukowcy pracujący na Alasce poinformowali o wytworzeniu sztucznej zorzy polarnej za pomocą zogniskowanych fal radiowych wysokiej częstotliwości. Jednak HAARP kojarzy się głównie z teoriami spiskowymi, którymi obrósł. Fantazjowano, że posłużył do zbudowania broni elektromagnetycznej potrafiącej skumulować energię w niewielkim obszarze; broni geofizycznej wywołującej trzęsienia ziemi, cyklony i tsunami; urządzenia sterującego myślami; maszyny zdolnej niszczyć satelity i międzykontynentalne pociski balistyczne etc.

Bielous mówił też o UFO jako o potencjalnym źródle niewyjaśnionej dziś energii: „Nie jest wykluczone, że wraz z przyspieszeniem postępu naukowego i technologicznego ludzkość może ją opanować i wykorzystać do celów wojskowych”. Nie jest on jedynym uznanym ekspertem wojskowym zafascynowanym UFO. W 2020 roku Chaim Eszed, założyciel Izraelskiej Agencji Kosmicznej, profesor astronautyki i aeronautyki, były generał, oznajmił, że kosmici od dawna prowadzą na Ziemi eksperymenty we współpracy z Amerykanami, a jednym z ośrodków tej operacji jest podziemna baza na Marsie.

W niedawnym raporcie na temat niezidentyfikowanych obiektów latających Pentagon nie wykluczył istnienia pozaziemskiej cywilizacji.

Potęga manipulacji opinią publiczną

Tim McMillan z The Debrief zauważa, że niektóre z przewidywań Bielousa niepokojąco się sprawdziły, np. w rozdziale „Broń informacyjna” wskazał zalety operacji zmasowanej dystrybucji fake newsów i propagandy w internecie, którą Rosjanie realizowali przy okazji wyborów w USA w 2016 roku:

„Dozowana prezentacja ideologicznie i psychologicznie przetworzonego materiału prowokacyjnego, umiejętne przeplatanie prawdziwych i fałszywych infor-

wieka brzmią podobnie do tych, na jakie skarżą się osoby cierpiące na tajemniczy syndrom hawański, który dotknął amerykańskich dyplomatów najpierw na Kubie, a potem w innych częściach świata: zawroty głowy, zaniki pamięci, szum i dzwonienie w uszach. Wywiad USA ocenił, że za objawy syndromu hawańskiego odpowiada „impulsowa energia elektromagnetyczna, w szczególności ta w zakresie częstotliwości radiowych”.

Ziarna prawdy w stekach bzdur

CIA w latach 50. badała możliwość kontrolowania umysłu za pomocą telepatii i hipnozy. Amerykanie podjęli się tego zadania, ponieważ uważali, że Sowieci poczynili na tym polu postępy.

takie jak pozbawianie snu, wymuszanie długotrwałego pozostawiania w niewygodnych pozycjach, rażenie światłem.

Ale nie ulega wątpliwości, że rosyjscy badacze przynajmniej próbowali opanować kontrolę cudzego umysłu. Notatka odtajniona w 2019 roku opisuje, jak w latach 80. naukowcy badali percepcję pozazmysłową i inne zdolności mistyczne. Wygląda to na bzdurę mającą dokarmić dumę Rosjan z osiągnięć ojczyzny. Są jednak poszlaki, że rosyjskie kierownictwo naprawdę stara się osiągnąć postępy w dziedzinach nadnaturalnych. I się z tym nie afiszuje.

Dziennikarka śledcza Annie Jacobsen napisała w 2017 roku, że radziecka nomenklatura dotycząca postrzegania pozazmysłowe-

Podczas wrześniowej ceremonii aneksji części Ukrainy Putin opisał, jak zachodnie „tłumienie wolności przybrało cechy religii: jawny satanizm”. Rosyjscy urzędnicy uzasadniali inwazję na Ukrainę, twierdząc, że Rosja ma moralny imperatyw dokonania „desatanizacji” tego kraju. Były premier Dmitrij Miedwiediew porównał Putina do archaniola Michała pokonującego Lucyfera.

Na blogach krążą niepotwierdzone plotki, że władca na Kremlu otoczył się armią wróżbitów i astrologów, że konsultuje się z nimi zamiast z ekspertami. Albo że bierze zdrowotne kąpiele w wywarze z poroża jelenia. Do tej kuracji – i sesji u syberyjskich szamanów – miał go namówić Szojgu, sam pochodzący z Republiki Tuwy. Szojgu w latach 90. miał kontakty z najsławniejszym szarlatanem Grigorijem Grabowojem. Ten wróżbita i hipnotyzer przekonywał, że jest wcieleнием Chrystusa, a po masakrze w Biesłanie wmawiał matkom zabitych tam dzieci, że ma władzę wskrzeszania, za co pobierał słoną opłatę.

Inna plotka głosi, że Putin zmienił swoją datę urodzenia na „korzystną astrologicznie”. Domośli kabaliści wyszukują różne numeryczne zbieżności jego działań, np. 30 września: w 1999 roku w tym dniu rozpoczęła się naziemna operacja wojskowa w Czeczenii, w 2015 roku rosyjska operacja wojskowa w Syrii, a w 2022 formalnie zaanektowano cztery regiony Ukrainy.

Takie plotki to mogą być chwyt propagandowe. Z badań wynika, że co drugi Rosjanin wierzy w jakąś formę magii, a co piąty odwiedził wróżkę lub medium. W telewizji rozmaici kosmonauci i kosmologowie przekonują, że Amerykanie sfalszowali lądowanie na Księżycu, skradli tajemnice piramid, ukrywają kontakty z pozaziemskimi cywilizacjami. Albo że przodkami znacznej części ludzkości byli pradawni Rosjanie.

Narodowi podatnemu na okultyzm łatwiej wmówić, że Rosja wzięła na swoje barki walkę nie tylko z przyziemnym złem, ale też z tym pozaziemskim. Że na dobrobyt Rosjan dybią nie tylko źli ludzie, ale i nieludzie.

Kto ich uratuje – wiadomo. Według Nostradamusa i rosyjskich przepowiedni taką osobą stanie się „trzeci w historii Rusi wielki Władimir” – należy domniemywać, że po wielkim księciu Władimirze Monomachu i Władimirze Leninie.

Wymieniany przez Putina w panteonie bohaterów narodowych św. Serafim Sarowski, który na początku XIX w. przepowiedział rozstrzelanie carskiej rodziny, rewolucję, wojny i miliony ofiar, obiecywał też, że Rosję czeka wspaniała przyszłość. Już wiadać, że tego nie da się dokonać zgodnie z prawami fizyki i bez wsparcia z zaświatów. ●

Wyciekła instrukcja FSB, która opisuje działania w wypadku rozlania się wojny na terytorium Rosji. Jest tam mowa o przeciwdziałaniu „psychologicznej infekcji personelu”, którym wróg będzie manipulował za pomocą hipnozy i „generatorów psychotronicznych”

macji, montaż szczegółów rzeczywistych i fikcyjnych sytuacji wybuchowych może zamienić się w potężny środek ofensywy psychologicznej. Może to być szczególnie skuteczne narzędzie przeciwko krajowi, w którym występują napięcia społeczne, konflikty etniczne, religijne czy klasowe. Starannie wyselekcjonowane informacje, padając na tak sprzyjający grunt, mogą w krótkim czasie wywołać panikę, zamieszki, pogromy i zdestabilizować sytuację polityczną”.

W innym miejscu Bielous wspomina o potencjale użycia broni termojądrowej do wywołania radioaktywnego tsunami, które może pochłonąć regiony przybrzeżne wroga. Taki jest cel rosyjskiej nuklearnej „megatorpedy” o kryptonimie „Posejdon”, którą Moskwa po raz pierwszy ujawniła w 2015 roku.

W rozdziale zatytułowanym „Broń akustyczna” Bielous wspomina, że Rosja poczyniła znaczące postępy w rozwoju broni wykorzystującej jednocześnie częstotliwości radiowe i impulsy elektromagnetyczne. Opisał skutki działania tych urządzeń na organizm wziętego na cel czło-

W sowieckie eksperymenty, wyjaśniał w 1953 roku szef CIA Allen W. Dulles, idą w dwóch kierunkach: „Po pierwsze, idzie o masową indoktrynację milionów ludzi, tak aby reagowali pokornie na rozkazy swych panów. To tworzy wrażenie wielkiej jedności w państwie sowieckim. Po drugie, chodzi o zmiany w umysłach wybranych jednostek, tak by nie były one zdolne wyrażać własnych myśli. Ludzie-papugi są uwarunkowani w ten sposób, by tylko odzwierciedlać myśli zaszczerpięne w ich umysłach. W efekcie mózg staje się gramofonem odtwarzającym płytę założoną przez zewnętrznego geniusza, nad którym nie ma kontroli”.

Swoją teorię Dulles wysnuł m.in. z relacji jeńców wracających z Korei. Przywołał też dysydentów z Europy Wschodniej, którzy na procesach przyznają się do wszystkiego, czego chcą śledczy. Dulles uważał, że to musi być efekt prania mózgu.

Dzisiaj wiemy, że umysły milionów da się kontrolować przy użyciu zwykłej telewizji. Sowieci podczas przesłuchań stosowali dość nowatorskie wówczas, lecz bynajmniej nietajemne techniki,

go została przepisana, aby brzmiała technicznie i nie kojarzyła się z okultyzmem. Telepatia to teraz „transmisje systemów biologicznych na duże odległości”. Psychokineza – poruszanie obiektów myślami – została nazwana „niejonizującymi, elektromagnetycznymi emisjami pochodzącymi od ludzi”.

Świeża notatka, opublikowana przez „The Insider”, rosyjski serwis informacyjny na uchodźstwie, opisuje kroki, jakie ma podjąć Federalna Służba Bezpieczeństwa w wypadku rozlania się wojny na terytorium Rosji. Jest tam mowa o wsparciu moralnym i psychologicznym dla funkcjonariuszy FSB potrzebnym do odparcia „masowego ataku ideologicznego”. Nie chodzi jednak o zwykłą propagandę, lecz o „psychologiczną infekcję personelu”, którym wróg będzie chciał manipulować za pomocą hipnozy i „generatorów psychotronicznych”.

Desatanizacja

Na Kremlu za Putina zapanowała fascynacja mistycyzmem prawosławnym. Apokaliptyczne scenariusze i straszenie Szatanem wpisuje się w polityczny mariaż z Cerkwią. A Rosjanie to lubią.

Z **HALSZKĄ WITKOWSKĄ***,
SUICYDOLOGIEM,
KOORDYNATORKĄ PIERWSZEJ
W POLSCE PLATFORMY
EDUKACYJNO-POMOCOWEJ
DLA OSÓB W KRYZYSIE
SAMOBÓJCZYM I ICH BLISKICH
„ŻYCIE WARTÉ JEST ROZMOWY”,
ROZMAWIA **AGNIESZKA
JUCEWICZ**

W 2021 roku 1496 dzieci i nastolatków w Polsce próbowało odebrać sobie życie. To o 77 proc. więcej niż rok wcześniej. W 2022 roku do września w tej grupie wiekowej zarejestrowano już 1535 prób samobójczych.

– A to tylko czubek góry lodowej, bo wiele prób nie zostaje zgłoszonych. Na miejsce zdarzenia nie zawsze jest wzywana policja albo karetka. Czasem rodzice sami zawożą dziecko do szpitala, a na razie szpitale nie prowadzą takich statystyk. Nie mówiąc o próbach, o których nikt się nie dowiaduje. Dziecko budzi się po wszystkim i idzie do szkoły, jakby nic się nie stało. Specjaliści szacują, że na każde samobójstwo dziecka przypada od 100 do 200 prób samobójczych. W 2021 roku mieliśmy 127 samobójstw w tej grupie wiekowej. Łątwo obliczyć, że prób mogło być między 12 700 a 25 400.

Przybywa ich nie tylko w Polsce, ale również w Chorwacji, Bułgarii, Włoszech, Francji, USA i Kanadzie. Co się dzieje?

– Pierwsza odpowiedź to pandemia. Oczywiście ona sama nie spowodowała wzrostu, ale nasiliła problemy, z którymi dzieci mierzyły się już wcześniej. Przede wszystkim przemoc w rodzinie, przed którą dzieci w lockdownie nie miały dokąd uciec, i przemoc rówieśnicza, która przeniosła się do internetu i tam się zintensyfikowała.

Przemoc w rodzinie to przemoc nie tylko fizyczna, lecz również seksualna, psychiczna, a także zaniedbanie emocjonalne. Ktoś spyta, o jakim zaniedbaniu mówimy, skoro wielu rodziców pracowało w tym czasie z domu? No i to jest paradoks. Bo to, że tego czasu w domu było więcej, wcale nie oznacza, że poświęcało się go bliskim.



FOT. SHUTTERSTOCK

Praca, odpoczynek. Wszystko się złało.

– I tu przechodzimy do internetu. Jeszcze do niedawna, kiedy mówiłam o związku internetu z zachowaniami samobójczymi u młodzieży, twierdziłam, że nie jest on ani dobry, ani zły. Jest jak każde inne narzędzie. Ostatnie lata pokazały, że już tak nie jest. Jest raczej środowiskiem, w którym młodzi ludzie spędzają coraz więcej czasu, co niesie konsekwencje.

Z badań wiemy, że zarówno gry komputerowe, jak i filmy pornograficzne, z których korzystają młodzi, uzależniają. Dużo badań pokazuje też, jak media społecznościowe negatywnie wpływają na rozwijającą się psychikę. Instagram, Facebook, TikTok poza tym, że mają potencjał uzależniający, zaniżają samoocenę, co szczególnie odbija się na dziewczętach. Proszę zauważyć, że w tej grupie próby samobójcze wzrosły aż o 101 proc.! Dalej, korzystanie z komputera czy z telefonu do późnych godzin zaburza sen i w ogóle funkcjonowanie. Przeniesienie się do internetu oznacza wejście w środowisko bez jasnych reguł i mechanizmów zabezpieczających chociażby przed hejtem. Nie mówię tego, żeby straszyć. Nie uważam też, że powinniśmy się wzorować na amisach. Chcę tylko zwrócić uwagę, jaką internet ma moc i jak nas zmienia. Jeżeli nie nauczymy się z niego korzystać w zdrowy sposób, to zarówno my, jak i nasze dzieci będziemy ponosić konsekwencje. One już ponoszą. Znajomy puścił czteroletniej córce „Świnę Pepe” na YouTube. Potem okazało się, że ktoś w ten filmik wmontował kadry z egzekucji wykonanej przez członków Państwa Islamskiego. To ekstremalny przykład, ale pokazuje, co się dzieje, jeśli z internetu korzystamy indywidualnie, a nie wspólnie. A to jest właściwie standard.

Brakuje kontroli?

– W ogóle wiedzy o tym, co nasze dzieci robią w internecie. Coraz częściej mamy taką sytuację: rodzina siedzi przy stole. Mama przed swoim laptopem, tata przed swoim, a córka i syn każde przed swoim telefonem. I pojawia się wyrwa komunikacyjna. Rodziców nie interesuje, czym interesują się dzieci, bo uważają, że to głupie, błahe, albo nie mają czasu i efekt jest taki, że w którymś momencie przestają mieć o czym rozmawiać. Spyta mnie pani, jaki to ma związek z samobójstwami. Samobójstwo to nie grypa, za którą odpowiada konkretny wirus. Mamy do czynienia z ludzką psychiką, decyżją o odebraniu sobie życia, a na nią wpływa wiele czynników. Osobowość danego człowieka, jego wrażliwość, choroby somatyczne, psychiczne, nieprzepracowane traumy. Dalej trudna sytuacja życiowa, na przykład rozwód rodziców, zerwanie z chłopakiem. Ale niezwykle ważnym czynnikiem jest właśnie środowisko. To najbliższe, czyli dom, szkoła, rówieśnicy. I internet. Pytanie, ile w tym środowisku jest czynników ryzyka takich jak przemoc czy alkohol i inne używki, a ile czynników chroniących, jak dobre relacje.

Kolejny bardzo ważny czynnik środowiskowy to seksualność. I to, jak się ona zmienia. Wzorem kontaktów seksualnych dla wielu młodych stają się filmy pornograficzne, a ideałem ciała aktorki i akto-

STWORZYLIŚMY ŚWIAT, W KTÓRYM ONI NIE CHCĄ ŻYĆ

Namawiam rodziców, żeby przestali bagatelizować komunikaty typu: „Życie nie ma sensu”, „Nie mam na nic siły”, „Mam ochotę zniknąć”.

rzy w nich występujący. Coraz więcej chłopców i dziewcząt krytycznie ocenia swoje narządy płciowe. Wstydzą się odsłonić. Inicjacji, która jest szalenie ważnym momentem, często towarzyszy poczucie gorszości, nieadekwatności. Wyobrażenia młodych, jak powinno przebiegać samo zbliżenie, też coraz częściej opierają się na pornografii. Dochodzi do pierwszego kontaktu i nagle chłopak proponuje dziewczynie, żeby dołączyło dwóch kolegów. Albo żeby zaczęli od seksu analnego. Na stronach z amatorskimi filmami porno czasem trudno odróżnić gwałt odegrany od prawdziwego, co sprawia, że życie seksualne młodych się brutalizuje. Wielu czuje się z tym źle.

Jakie jeszcze obserwuje pani problemy, których nie było wcześniej na taką skalę?

– Dzieci, które kontaktują się ze specjalistami przez naszą platformę, często piszą, że czują się beznadziejne, nic niewarte. Nie rozumieją, dlaczego jedni mają lajki, serduszka czy odsłony, a one nie. Reguły, które rządzą światem influencerów, których one podziwiają, są dla nich niejasne. Niewiele z nich zdaje sobie sprawę, jaka machina marketingowa stoi za tymi karierami. Wydaje im się to łatwo dostępne, więc skoro im nie wychodzi, to znaczy, że coś z nimi jest nie tak. Porównują swoje życia, które nie są tak kolorowe jak te wystylizowane w internecie, i samoocena im spada.

W mediach społecznościowych, jak to się mówi, „porównujemy swoje zaplecze do czyjejs wystawy”.

– I nawet dorosłym często trudno jest te porównania znieść, a co mają powiedzieć dzieci.

Media społecznościowe stworzono, żeby nas łączyły, tymczasem one nas od siebie oddalają. Młodym ludziom coraz trudniej jest wyrażać emocje, bo komunikują się przede wszystkim przez komunikatory internetowe. A tam do dyspozycji mają emotikony i ikonki. Dzieci piszą, że tęsknią za fizycznym kontaktem, za tym, żeby się przytulić. Czują się samotne. Nawet jak mają z kim popisać na Messengerze, to kiedy chcą gdzieś pójść, często nie mają z kim. Piszą też, że rodzice są zajęci, mają ważniejsze problemy.

Instytut Psychologii i Rozwoju opublikował karteczki, na których psychologowie spisali wypowiedzi dzieci. „Mama wraca z pracy i długo rozmawia przez telefon. Mam być wtedy cicho. Nie lubię być cicho” – mówi sześciolatek. Inne dziecko: „Tata mi mówi, żebym nie płakał. Bo płacz słabi”.

– Wielu rodziców żyje w stresie, w pośpiechu. Coraz mniej czasu zostaje na rozmowę, na bycie razem. Praca, szkoła, inne obowiązki, a potem 15-minutowe odpytanie: „Byłeś w szkole?”, „Odrobiłaś lekcje?”, „Zjadłeś obiad?”, „Poszłaś na basen?”. To nie jest rozmowa. Prowadzimy konsultacje dla rodziców, których dzieci są w kryzysie suicydalnym. Uczymy ich między innymi tego, jak rozmawiać z dziećmi tak, żeby chciały się otworzyć. Dziecko często nie wie, co odpowiedzieć, kiedy rodzic pyta: „Dlaczego jesteś smutny?”. Lepiej spytać: „Widzę, że się z czymś mierzysz. Czy coś się ostatnio wy-

darzyło?”, „Widzę, że ostatnio więcej śpisz, czy jesteś bardziej zmęczony? Mogę ci jakoś pomóc?”. Kłopot w tym, że dziecko, które ma problem, często wychodzi z założenia, że rodzic to zauważy i do niego przyjdzie. A rodzic myśli tak samo – jak dziecko będzie potrzebowało, to się do mnie zwróci. I dziecko zostaje z problemem samo, a rodzice orientują się, że coś jest nie tak, jak jest już poważny kryzys.

Czego jeszcze brakuje dzieciom poza czasem, uważnością?

– Pozytywnych komunikatów: „Jesteś fajny”, „Świetnie to wymyśliłeś”, „Kocham cię”. Rodzicom się wydaje, że w kółko to powtarzają, a dzieci nam często mówią, że tego nie słyszą. Gdzieś, mam wrażenie, wciąż pokutuje w nas, że dzieci przede wszystkim potrzebują konstruktywnej krytyki, wymagań, kar. Zapominamy, że w pozytywnych komunikatach tkwi wielka siła. I zbyt rzadko mówimy dzieciom, że nie ma problemów nie do rozwiązania. A ważne, żeby wiedziały, że jesteśmy tu, żeby wspólnie z nimi te problemy rozwiązywać. I że każdy zły moment mija.

Chodzi o to, żeby włąć w nie nadzieję?

– Żeby zbudować w dziecku poczucie, że może nam powiedzieć o wszystkim i że nie ma złych emocji. Żeby się nie wstydziło, że sobie z czymś nie radzi. Ważne też, żeby wiedziało, że nie musi tkwić w sytuacji, która sprawia mu ból, w której jest szkanowane, obrażane.

Jeśli nie zbudujemy tego zaufania, to dzieci ze swoimi problemami pójdą do Doktora Google’a albo będą słuchały celebrytów. Celebryta tiktokowy czy instagramowy twierdzi, że ma depresję albo ADHD, wylicza objawy i mówi: „Jeśli masz tak jak ja, to znaczy, że masz tę samą diagnozę”. Albo zaczyna udzielać wątpliwej jakości porad dotyczących zdrowia psychicznego. Dlatego młodzi ludzie tak bardzo potrzebują odpowiedzialnych, stabilnych dorosłych, którzy będą opoką. Bo świat młodych ludzi chwieje się w posadach. Dzieci często piszą do nas, że nie wiedzą, czego się trzymać. Muszą odpowiadać na pytania, których my sobie nie zadawaliśmy.

Na przykład jakie?

– Choćby te dotyczące tożsamości płciowej. Czy jestem mężczyzną? Kobieta? Osobą niebinarną? Hetero? Kim? Nie każde dziecko czy nastolatek musi być gotowy, by się z tym mierzyć. A bywa, że grupa rówieśnicza naciska, żeby się określić. Kwestia tożsamości płciowej to tylko jeden z filarów, który się chwieje. Ale są inne. Czasy pokoju? Skończyły się, mamy wojnę tuż za granicą. Czasy wolności, spokojnego podróżowania? Nie ma ich, bo COVID. Czasy względnej stabilności finansowej? Mamy inflację, a rodzice boją się o pracę. Ktoś powie: „Młodzi zawsze mieli problemy, kryzysy”. Oczywiście! Ale nigdy nie byli tak dociskani ze wszystkich stron. Młodzi ludzie są przebudzcowani. Bez przerwy płyną do nich informacje, komunikaty, newsy. I ch móżgi nie są w stanie tego wszystkiego przetworzyć. Co raz trudniej też dokonać wyboru, co jest ważne, a co nieistotne. Odróżnić dobro od zła.

Kiedyś młody człowiek patrzył w przyszłość i mógł ją sobie jakoś

wymarzyć. Teraz patrzy i widzi apokalipsę: kryzys goni kryzys.

– Mógł mieć też poczucie, że „my, młodzi, będziemy tę przyszłość stwarzać”, buntować się. A teraz? Nawet bunt nie ma sensu, bo po co?

Z drugiej strony wobec młodych formułowane są oczekiwania, że to oni mają uratować świat. To może być obciążające.

– Dzieci, które piszą do nas, nawet nie biorą pod uwagę, że mogłyby uczestniczyć w czymś takim. Uważają, że są tak beznadziejne, że nie ma dla nich na tym świecie miejsca. Dlatego coraz więcej z nich ucieka od rzeczywistości. W alkohol, w narkotyki, w świat wirtualny. To już nie jest zabawa czy eksperymenty, tylko ucieczka od bólu. „Jak gram, to zapominam, że do niczego się nie nadaję”, „Jak zapalę, to mnie mniej boli”.

Fundamenty się trzęsą, a co mamy w szkole? Kadre wypalonych, sfrustrowanych i coraz starszych nauczycieli, którzy nie wiedzą, jak z młodymi rozmawiać. Nie rozu-

ją wsparcie psychologiczne, żeby osoby w kryzysie, nie potraktowały tej próby czy tego samobójstwa jako rozwiązania dla siebie. Jak się robi z tego tajemnicę, to się takich osób nie wyłapie i wtedy może dojść do naśladownictwa.

Po czym poznać, że dziecko, nastolatek jest w kryzysie samobójczym?

– Nie zawsze da się to zauważyć i temu zapobiec, nawet jeśli bardzo się staramy. Są dzieci, ale również dorośli, którzy potrafią się fantazycznie maskować. Osoby w kryzysie samobójczym czują się ciężarem dla bliskich i potrafią włożyć dużo wysiłku w to, żeby nic nie było widać. Jednak w większości przypadków mamy do czynienia z konkretnymi objawami. Namawiam, żeby przestać bagatelizować komunikaty typu: „Życie nie ma sensu”, „Nie mam na nic siły”, „Mam ochotę zniknąć”.

Według popularnego mitu jeśli ktoś mówi o samobójstwie, to na

Instagram, Facebook, TikTok poza tym, że mają potencjał uzależniający, zaniżają samoocenę, co szczególnie odbija się na dziewczętach

mieją ich. Czasem się boją. Czują się bezradni. Widać to na przykładzie zachowań samobójczych. W szkole „samobójstwo” to słowo, którego nie powinno się wymawiać. Kiedy dochodzi do próby albo do śmierci samobójczej, od razu pojawia się strach. Ktoś słyszał o „efekcie Wertera”, nauczyciele się boją, że jak o tym powiedzą, to inne dzieci zrobią sobie krzywdę, więc milczą. Efekt jest taki, że dzieci zostają z tym same, pełne emocji. To jest dopiero niebezpieczne!

To wyjaśnijmy od razu, czym jest „efekt Wertera”.

– Odnosi się wyłącznie do medialnych informacji na temat śmierci znanej osoby. O „efekcie Wertera” mówimy wtedy, kiedy w przekazie romantyzuje się śmierć i osobę, opisuje dokładnie metodę, podaje szczegóły, gdzie to się stało. Wtedy może dojść do wzrostu zachowań samobójczych. Ale mamy też „efekt Papageno”, kiedy prawidłowo informuje się o zachowaniach samobójczych, czyli zamiast mówić o metodzie, wskazuje się miejsca, w których osoby w kryzysie mogą znaleźć pomoc, zawie-ra się wypowiedź eksperta. Wtedy jest szansa na zmniejszenie liczby zachowań samobójczych. Mówić trzeba, tylko za pomocą takich komunikatów, które pomogą osobom w kryzysie, a nie pogorszą ich stanu emocjonalnego. To samo dotyczy szkoły, klubu sportowego, miejsca pracy, gdzie dochodzi do próby samobójczej czy do samobójstwa. Od razu trzeba o tym powiedzieć i wdrożyć działania prewencyjne, czyli takie, które da-

pewno go nie popelni.

– Bardzo niebezpieczny mit. Jeśli młody człowiek mówi, że nie chce mu się żyć, nie powinniśmy tego traktować jako buntu nastolatka czy szantażu emocjonalnego, tylko powinniśmy się zainteresować, co za tym stoi.

Kolejną wskazówką są gwałtowne zmiany zachowania. Na przykład dziecko nagle zaczyna się gorzej uczyć. Je mało albo przeciwnie – zaczyna się objadać. Nie może spać albo śpi bardzo dużo. Choroba somatyczna, która nie ma jasnej przyczyny, też może wskazywać, że coś jest nie tak. Dziecko skarży się, że boli je brzuch, głowa, mówi, że jest ciągle zmęczone. I nie wiadomo dlaczego. Albo robi się nerwowe, agresywne, porozumiewa się krzykiem. Może się nam wydawać, że to trudny wiek, ale z nim to zbagatelizujemy, sprawdzimy, jakie emocje się za tym kryją.

Warto też słuchać rodzicielskiej intuicji. Jeśli czujemy, że coś jest nie tak, porozmawiajmy z dzieckiem. Nie zawsze dziecko doświadcza trudności w szkole czy w relacjach z rówieśnikami. Być może kryzys pojawia się w reakcji na to, co się dzieje w domu. Na klótnie rodziców. Przemoc. Napięcie związane z kłopotami finansowymi. Czasem dostajemy wiadomości: „Nie powiem mamie, że nie mogę rano wstać z łóżka, bo się nienawidzę, bo wiem, ile ma problemów. Nie będę jej dokładać”. Dzieci są przy naszych problemach, nawet jeśli wydaje się nam, że nie są ich świadome.

Jakie sygnały świadczą o tym, że dziecko już podjęło tę decyzję?

– To jest proces. Najpierw pojawiają się myśli rezygnacyjne: „Chciałbym śmiertelnie zachorować”, „Chciałbym zginąć w wypadku”, „Chciałbym, żeby coś mnie przejechało”. To tzw. myśli samobójcze bierne: „Niech wydarzy się coś, co sprawi, że zniknę”. Potem te myśli przeradzają się w myśli samobójcze aktywne – o odebraniu sobie życia. I robią się coraz bardziej intensywne. Później komunikaty typu: „Nie chcę żyć”, zaczynają być wypowiadane na głos. Aż przychodzi moment, kiedy człowiek zaczyna fantazjować o konkretnej metodzie. I dochodzi do próby samobójczej. Oczywiście u każdego człowieka ten proces jest nieco inaczej rozłożony, natomiast u młodej osoby może przebiegać dużo szybciej. Dlatego już przy tych zmianach zachowania i komunikatach o braku chęci do życia powinna nam się włączyć czerwona lampka. Bo świadczą o tym, że młody człowiek jest już w tym procesie, i nie wiemy, jak on przyspieszy.

Czy jeśli rodzic coś podejrzewa, może się włamać do telefonu dziecka albo do laptopa?

– Wlamywanie się i śledzenie postaramy się zastąpić rozmową. I bądźmy cierpliwi. Zapewnijmy dziecko, że nawet jeśli nie chce w danym momencie rozmawiać, jesteśmy obok i czekamy. Postaramy się też poznać internetowe środowisko, w którym przebywa. Zapytajmy o znajomych, których tam ma, o strony, jakie je najbardziej interesują. Postaramy się wejść w ten świat jak przyjaciel, zamiast wlamywać się jak złodziej.

No i może to jest dobry moment, żebyśmy zburzyły stereotyp dotyczący myśli samobójczych?

Proszę.

– Rodzice, nauczyciele boją się o nie pytać, bo mają wrażenie, że rozmowa na ten temat pogorszy stan dziecka. A jest odwrotnie. Młody człowiek, który mierzy się z myślami samobójczymi sam, spytany o nie wprost często doznaje ulgi, bo w końcu może się podzielić swoim bólem. Jedna z naszych najlepszych specjalistek Lucyna Kicińska, która pracuje również jako pedagoga szkolna, kiedy pyta dzieci o myśli samobójcze, słyszy czasem: „To pani się nie boi?”. Na co odpowiada: „Tu się nie ma czego bać. Jesteśmy w tym razem, to sobie poradzimy”.

Co, jeśli dziecko powie: „Tak, mam myśli samobójcze”?

– Przede wszystkim rodzice, nauczyciele nie powinni zostawać z taką informacją sami, bo nie są specjalistami od zdrowia psychicznego. Na szczęście jest coraz więcej miejsc, w których można tę pomoc znaleźć, wbrew temu, co się powtarza w mediach, że pomocy nigdzie nie ma. W ramach naszego projektu prowadzimy konsultacje dla rodziców w takiej sytuacji. Ale takim miejscem jest też gabinet psychologa, pedagoga szkolnego. Są ośrodki środowiskowej opieki psychologicznej i psychoterapeutycznej dla dzieci i młodzieży, telefony pomocowe nie tylko dla osób w kryzysie, ale również dla ich bliskich. Na naszej platformie pod zakładką „bezpłatne miejsca pomocowe” można znaleźć adresy takich miejsc.

Czasami rodzice, słysząc, że dziecko ma myśli samobójcze,

odruchowo zaważą je do szpitala psychiatrycznego. Kiedy to właściwa decyzja, a kiedy zbyt pochopna?

– Na pewno szpital to nie jest miejsce, gdzie powinny trafiać wszystkie dzieci z myślami samobójczymi. Natomiast od oceny ryzyka jest specjalista – psychoterapeuta, psychiatra, psycholog. Rodzic nie powinien brać na siebie takiej odpowiedzialności. Tym bardziej rówieśnik. Bo zdarza się, że dzieci mówią o myślach samobójczych nie rodzicom, tylko znajomym, przyjaciółom.

I czasem ta informacja przychodzi w pakiecie razem z „i nie mów nikomu”.

– Dlatego tak ważne jest, żeby dzieci wiedziały, że kwestia życia i śmierci jest ponad wszelkimi priorytetami. I że jeśli czyjeś życie jest zagrożone, trzeba reagować. Powiedzieć o tym dorosłemu – rodzicowi, nauczycielowi, szkolnemu psychologowi – albo zadzwonić na numer 112. Po to też my, specjaliści, chcemy wydobyć temat samobójstw z cienia, żebyśmy nauczyli się o tym rozmawiać otwarcie, spokojnie, a nie w aurze tajemnicy i grozy. Bo to jest nasza wspólna sprawa, element naszej społecznej odpowiedzialności. Bez tego nie ma profilaktyki.

Jak się zachować w momencie, kiedy ktoś w klasie, w drużynie sportowej odbiera sobie życie? Jak powinna zareagować ta szkoła, ten klub?

– Przede wszystkim nie ukrywamy tego, bo dzieci prędzej czy później i tak się dowiedzą. A nie ma nic gorszego niż dorośli, którzy udają, że nic się nie stało.

Po otrzymaniu informacji dyrekcja szkoły albo klubu powinna od razu przygotować procedury informowania i stworzyć sztab kryzysowy, czyli wyznaczyć pedagogów, nauczycieli, trenerów, którzy poinformują o sytuacji resztę kadry, rodziców i uczniów.

Uczniowie powinni zostać poinformowani o tym możliwie w tym samym czasie, ale nie na apelu czy oficjalnym zebraniu, tylko w klasach. Rodzicom można przekazać tę wiadomość mailem, pod warunkiem że będzie ona spójna i spokojna. Powinna jej towarzyszyć informacja, gdzie i kiedy można skorzystać z pomocy dyżurującego psychologa. Warto poprosić o wsparcie najbliższą poradnię psychologiczną.

W domu też powinniśmy mówić o tym otwarcie. „Dowiedziałam się, że twój kolega/koleżanka odebrał/odebrała sobie życie. To wielka tragedia. Masz prawo czuć się źle, masz prawo być zła/źły, nie rozumieć tego. Jestem tutaj, jeśli tylko chcesz o tym porozmawiać”. Zapewnijmy też dziecko: „Jeśli czujesz opór, żeby rozmawiać o tym ze mną, mogę cię umówić na wizytę do psychologa albo psychoterapeuty. Może będzie ci łatwiej pogadać z kimś obcym?”. Rodzice czasem się boją, że proponując coś takiego, obniżą swoją wartość albo podkopią autorytet. A jest wręcz przeciwnie.

Kolejna ważna rzecz – nauczyciele powinni zostać poinformowani o tym, jakie są objawy nasilonego kryzysu. Bo w szkole, w drużynie będą osoby przeżywające to zdarzenie mocniej. I większą opieką należy otoczyć klasę ucznia, w której doszło do próby samobójczej, poświęcić więcej czasu na rozmowy o tym, co się wydarzyło.

Rozumiem, że bez szczegółów?

– Ważne jest, żeby opowiedzieć o tym, czym w ogóle jest samobójstwo, co się takiego dzieje, że ludzie czasem odbierają sobie życie. Szczegóły nie są tu nikomu potrzebne, ale jeżeli wśród uczniów jest silna potrzeba dowiedzenia się, co się stało, nie możemy im zakazać rozmawiania o tym. Chodzi jednak o to, abyśmy przekierowali ich uwagę z konkretnych metod odebrania sobie życia na sposoby radzenia sobie z kryzysem. Zawsze możemy powiedzieć, że nie znamy szczegółów śmierci, a sprawę bada policja, co także będzie zgodne z prawdą. Normalizujemy tę sytuację. Powiedzmy też, jak sami się z tym czujemy, że to przeżywamy. Dajmy uczniom przestrzeń na powiedzenie, jak oni się z tym czują, co myślą. Są także różne sposoby na pożegnanie się z tą osobą. Można napisać do niej list.

Tego typu rozmowy powinny się odbyć jeszcze przed pogrzebem, tak żeby sam pogrzeb był zamknięciem pewnego procesu.

Co podczas pogrzebu?

– Najpierw pytamy rodziców zmarłego dziecka, czy w ogóle życzą sobie obecności kogoś ze szkoły czy z klubu. A potem nie idziemy całą grupą, tylko wysyłamy kilku osobową reprezentację. Po pogrzebie uważa powinna być nakierowana przede wszystkim na osoby z grupy ryzyka. To jedno. Drugie – z działań postwencyjnych, czyli tych wszystkich, które wymieniałam, powinno się przejść do profilaktyki, czyli do rozmów o tym, czym w ogóle jest kryzys, zdrowie psychiczne, jak o nie dbać.

Kto należy do grupy ryzyka?

– Przede wszystkim ci, którzy mają za sobą próbę samobójczą albo myśli samobójcze. Również wszystkie osoby w kryzysie psychicznym, które się samookaleczają, są w depresji. One wymagają większego wsparcia.

A dziewczyna, chłopak osoby, która odebrała sobie życie?

– Też. Tu reakcje mogą być bardzo różne. Niezgoda na to, co się wydarzyło, może być tak duża, że może się wydawać, że dziecko w ogóle tego nie przeżywa. Jakby było odcięte od emocji – w ten sposób się chroni. Ale może się też zrobić agresywne albo dużo płakać. Jeśli to była pierwsza miłość, musimy być wręcz w trybie interwencyjnym przy tym dziecku. Warto zadbać o kontakt ze specjalistą albo samemu do niego pójść, poradzić się. Bo dzieci są różne. Zmiennych są tysiące. Inaczej będzie, jeśli w domu jest mama, tata, brat i dziecko ma dobre, bliskie relacje z rówieśnikami, a inaczej, kiedy rodzic sam wychowuje dziecko, które ma problemy z chodzeniem do szkoły i kontaktem z rówieśnikami.

W grupie ryzyka mogą się znaleźć również ci, którzy dręczyli osobę, która popełniła samobójstwo, lub jej zwyczajnie nie lubili.

Dlaczego?

– Bo śmierć samobójcza bardzo szybko uruchamia mechanizm obwiniania się nawzajem. Robimy śledztwo – kto co tej osobie powiedział, co jej zrobił, jakie miał z nią relacje itd. I osoba, która sama się zacznie obwiniać albo będzie obwiniana, może się znaleźć w kryzysie. Dodatkowej uwagi wymagają na pewno osoby, które jako ostatnie kontaktowały się ze zmarłym i znalazły ciało.

A rodzice dziecka, które odebrało sobie życie. Czy oni też nie są w grupie ryzyka?

– Bardzo ważne pytanie. Na kolejne dwie godziny rozmowy.

Wyobrażam sobie, że muszą się mierzyć z gigantycznym poczuciem winy.

– Które czasem jest podsycane przez innych. Powiem tak... Moment, w którym dochodzi do śmierci samobójczej dziecka, to moment, kiedy rodzicom kończy się świat. Czasem słyszę od nich: „W dniu, w którym umarł mój syn/umarła moja córka, ja też umarłam/umarłam”. Zadzwoniła do mnie kiedyś kobieta, która 15 lat wcześniej straciła w dziecko, w dodatku na swoich oczach, i spytała mnie: „Pani doktor, niech mi pani powie dlaczego?”. Wciąż szukała odpowiedzi.

To jest niewyobrażalne cierpienie. A na nie nakłada się ostracyzm społeczny. Poja-

POMOC

Jeżeli jesteś w kryzysie samobójczym, przeżywasz żałobę po stracie bliskiej osoby w wyniku samobójstwa lub chcesz komuś pomóc, wejdź na stronę **Zwjr.pl** (Życie warte jest rozmowy). Znajdziesz tam anonimową i bezpłatną pomoc online, bezpłatne konsultacje dla rodziców, nauczycieli, wyszukiwarkę miejsc udzielających pomocy, artykuły naukowe i rozmowy z ekspertami.

Gdzie jeszcze szukać pomocy?

112 – numer alarmowy w sytuacji zagrożenia życia
800 702 222 – centrum wsparcia dla osób dorosłych w kryzysie psychicznym
116 111 – telefon zaufania dla dzieci i młodzieży

wiają się te wszystkie insynuacje, że to patologia, „gdzie byli rodzice?”, „jak matka mogła do tego dopuścić?”...

....jak to możliwe, że nie zauważyli?”.

– A to jak najbardziej możliwe, jak już sobie powiedzieliśmy.

Często pojawia się też coś, co w suicydologii nazywamy „fenomenem książki telefonicznej”. Liczymy na to, że bliskie osoby będą do nas dzwonić i łączyć się z nami w bólu, tymczasem one milczą, a zamiast nich dzwonią przypadkowi ludzie – rodzice kolegi dziecka, nauczyciele.

Boimy się cudzego bólu?

– I nie wiemy, co powiedzieć. Wymagamy od siebie wyjątkowej reakcji, specjalnych słów, a przez to, że nie możemy ich znaleźć, boimy się odezwać. I przez ten nasz strach osoby, które doświadczają tej ogromnej straty, zostają zupełnie same. A idealne słowa w tej sytuacji nie istnieją. Powiedzenie: „Wszystko się ułoży”, „Będzie dobrze”, jest kłamstwem. Bo już nic się nie ułoży. Świat po stracie dziecka nie będzie już taki sam.

To co mówić?

– Sam fakt, że nie będziemy unikać tej rodziny, będziemy dzwonić, pytać, w czym możemy pomóc, już dla tym ludziom pocucie, że mają na kogo liczyć. Możemy zaproponować, że ich odwiedzimy, ugotujemy coś. Bądźmy też gotowi na wysłuchanie tej historii po raz trzydziesty. Na zadawanie tych wszystkich pytań typu „dlaczego?” po raz czterdziesty.

Mówiliśmy dużo o czynnikach ryzyka, a co zabezpiecza?

– Na pewno wszystko to, co wiąże się z codziennym, zdrowym funkcjonowaniem. Dbanie o relacje z najbliższą rodziną, o bliskość, wspólne rytuały, dobre momenty, ale też pielęgnowanie kontaktów z dalszą rodziną. Z babciami, dziadkami. I rozbudowywanie sieci kontaktów. Dziecko, które ma kolegów, przyjaciół, które nie ma problemów z komunikacją, które nie mierzy się z problemami somatycznymi, psychicznymi, będzie mocniejsze, nawet jeśli ten kryzys przyjdzie.

Sam brak czynników ryzyka już jest czynnikiem zabezpieczającym. Jeśli wiemy, że nasze dziecko nie spożywa alkoholu czy narkotyków, to już jest jeden – zero na korzyść

tego dziecka. Jeśli nie korzysta nadmiernie ze smartfona, nie nadużywa mediów społecznościowych, mamy dwa – zero.

Mówi się też, że wiara jest czynnikiem zabezpieczającym. Ale nie w takim sensie, że „Bóg mówi, że samobójstwo jest grzechem”, tylko w takim, że wiara jest wspólnotowością. Daje poczucie przynależności i nadaje sens.

Ważne jest także hobby, pasja. Często zaangażowanie w sport, nawet taki amatorski, daje dużo siły, uczy radzić sobie z kryzysami i podnosi odporność psychiczną dziecka.

Co się musi wydarzyć, żeby zatrzymać te próby?

– Nie jestem futurologiem, natomiast jestem przekonana, że jeśli nie zmierzymy się z tymi problemami, o których powiedzieliśmy, to nic się nie zmieni.

Stworzyliśmy świat, w którym młodzi ludzie nie chcą żyć. Świat, który nie daje poczucia bezpieczeństwa. I taki świat, w którym nie mamy dla siebie czasu, nie mówimy sobie dobrych rzeczy, nie przytulamy się, ale także nie walczymy o wyższe wartości, nie ma sensu. Bo nasze człowieczeństwo odchodzi w zapomnienie. Zwiększająca się liczba prób samobójczych wśród młodzieży, a z drugiej strony wzrost o 50 proc. samobójstw wśród osób starszych, o czym się nie mówi, bo to kolejne tabu, pokazuje nam, że coś jest w naszym świecie bardzo nie tak. Samobójstwa to wziernik w kondycję psychiczną całego społeczeństwa.

Rozpadają się więzi?

– Zapędziliśmy się gdzieś. Mamy do czynienia z gigantyczną samotnością, izolacją i młodych, i starszych osób. A potrzebujemy się nawzajem. I jeśli tej potrzeby nie będziemy uzupełniać, będziemy mieli coraz więcej problemów ze zdrowiem psychicznym.

Pora też na wielką reformę edukacji. Ale nie kolejną rewolucję w programach, listach lektur czy w egzaminach maturalnych. W programie powinny się znaleźć zajęcia o komunikacji, o zdrowiu psychicznym, o tym, jak sobie radzić z problemami współczesnego świata. Nauczyciele powinni zostać wyposażeni w odpowiednie kwalifikacje. Dzieci potrzebują opiekunów, przewodników, a nie wykończonych fizycznie i psychicznie, źle opłacanych ludzi. Powinniśmy wprowadzić higienę korzystania z nowych mediów. Spożywanie wspólnych posiłków bez telefonów czy niezabieranie telefonów do sypialni to już byłoby coś. Wszyscy musimy się zaangażować. Bo czasem pada argument finansowy – jak będziemy mieć większe nakłady na ochronę zdrowia psychicznego, to wszystko się rozwiąże. A to za mało.

Skandynawowie nie mają problemów finansowych, za to są w czołówce, jeśli chodzi np. o chorobę alkoholową.

– A pomoc psychologiczną i społeczną mają na dużo wyższym poziomie, więc tu różnicę się nie o pieniądze, ale o człowieczeństwo. O wsparcie. Budowanie relacji. Mój przyjaciel powiedział: „Wiesz, Halszka. Marzy mi się, żeby nasze społeczeństwo było jak autobus z uchwytami, żeby przy mocniejszym zakręcie było się czego złapać. Bo jak tych uchwytów nie ma, wszyscy się przewracają”. Dobrze by było, gdybyśmy dla siebie nawzajem byli takimi uchwytami. ●



*Halszka Witkowska

● suicydolog, sekretarz Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego, ekspertka Ministerstwa Zdrowia. Autorka książki „Życie mimo wszystkiego. Rozmowy o samobójstwie” (Prószyński i s-ka).

Nowy serwis

żyć lepiej

psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej

Kuriozoom

„Witam. Mam do oddania lizak z napisem »Kocham cię«”.



Michał Rusinek*

Przeglądam językowe ekscesy polityków z zeszłego tygodnia: premier Mateusz Morawiecki wyznał, że jest za karą śmierci, prezes NBP Adam Glapiński miał kłopoty z deklinacją nazwy tatrzańskiego szczytu i żalił się, że jest obiektem drwin w kabaretach, a prezes PiS Jarosław Kaczyński był w szpitalu i nic publicznie nie mówił. Po telewizyjnym „Sylwestrze marzeń” (pieszczotliwie nazwanym przez wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła „Sylwestrem wynaturzeń”) Black Eyed Peas wyjaśniło Polakom różnicę między angielską wymową „ea” (długie „i”) oraz „i” (krótkie „i” zbliżone do „y”), a Ordo Iuris pierwszy raz w historii swego istnienia zorganizowało petycję, pod którą miałbym ochotę się podpisać: „TVP bez ideologii”. Poza tym zapanowała poświąteczna i posylwestrowa cisza, choć mniejsza świadomość, że jest to cisza przed burzą.

Zanim jednak owa burza nastąpi, podelektujmy się ciszą. Moje pierwsze felietony pisane do „Wyborczej” (krakowskiego dodatku) dotyczyły kuriozów nie tyle w języku polityków, ile w języku naszym powszednim, potocznym, amatorskim. Język polityki jednak stał się od kilku lat na tyle, by tak rzec, dojmujący i głośny, że głównie nim się tutaj zajmuję. Teraz, kiedy ucichł na chwilę, wróćę do języka niepolitycznego.

Zajrzyjmy na przykład do tekstów ogłoszeń na jednym z serwisów internetowych. Sporo owych ogłoszeń podszytych jest autentycznymi ludzkimi dramataми, jak chociażby to: „Witam. Mam do oddania lizak z napisem »Kocham cię«”. Od razu przestajemy myśleć o polityce, a zaczynamy o tym, jak bardzo trzeba być rozczarowanym lub rozczarowaną miłością, żeby oddać lizak z takim wyznaniem. I zastanawiamy się, czy ta historia może mieć ciąg dalszy, być może nawet happy end, jeśli na ogłoszenie zareaguje osoba łaknąca nie tyle słodczy, ile miłości. Podobna historia kryje się w ogłoszeniu: „Oddam lash holder, ponieważ ma zły napis. Napis to »Kocham mojego Adasia«”. Nie wiemy wprawdzie i chyba nie chcemy wiedzieć, co to jest lash holder (prawdopodobnie puzderko na sztuczne rzęsy), ale wiemy, że Adam okazał się niegodny uczuć wyższych. Być może rzucił ogłoszeniodawczynię, gdyż nie wyobrażał sobie, że można patrzeć na kogoś z miłością prawdziwą spod rzęs sztucznych. Wstydź się, Adamie!

Wśród ogłoszeń typu „zamienię” można natrafić na następujące: „Nauczę relacji damsko-męskich w zamian za naukę zarabiania konkretnych pieniędzy”. Tu ogłoszeniodawca odsłonił się przed nami jako ktoś, kto wprawdzie radzi sobie w związkach (heteroseksualnych), ale nie w biznesie. Wierzy więc, że istnieją ludzie, którzy mają odwrotny problem. Nawet jeśli istnieją, to nie ogłaszają się w tym serwisie. Sprawdziliśmy.

Co myślimy, gdy czytamy ogłoszenie: „Sprzedam garsonkę, iż schudłam i jest na mnie za duża, może komuś się przyda i dalej ktoś sobie ponosi, może być używana na różne okoliczności i w dodatku ma fajny kolor”? Nie tylko cieszymy się, że ogłoszeniodawczyni schudła, ale zaczynamy po cichu wierzyć w magiczną moc owej garsonki: kto ją ma, ten chudnie! Dodajmy jednak, że rzechony „fajny” kolor to żółty. Kolor zazdrości, a nie radości.

Radości dostarczają nam natomiast ogłoszenia dotyczące mieszkań. W jednym z takich anonsów ktoś szuka współlokatorki do wynajmowanego mieszkania w zamian za sprzątanie. Ma to być: „Dziewczyna 18–35, Targówek-Ząbki, bezpośrednio od zaraz, dziewczyna może być ze Wschodu, Azji lub Mongolii”. Widać, że ogłoszeniodawca jest zdesperowany, więc na miejscu ogłoszeniobiorczyni miałbym się na baczności, po pierwsze dlatego, że w mieszkaniu może być bardzo brudno, po drugie, wyraźnie określone wymagania wiekowe i etniczne sugerują, że ogłoszeniodawcy może chodzić nie tylko o sprzątanie, a po trzecie, dobrze mieć współlokatora mającego podstawową wiedzę z dziedziny geografii.

W ogłoszeniach dotyczących mieszkań do wynajęcia można także znaleźć frazy zastanawiające, na przykład: „Dwie nowoczesne łazienki plus klimatyczne WC”. Być może wcale nie jest to lapsus (winno być: klimatyzowane); być może ogłoszenie to kierowane jest do ludzi łaknących określonych doznań w określonych pomieszczeniach. Można też natknąć się na fragmenty iście literackie, jak w opisie domu wolnostojącego: „Wokół jest cisza i spokój, nie słychać zgiełku typowego miasta, a jedynie śpiew ptaków (...)”. Po tarasie często hasają wiewiórki, a w ogródku spacerują dostojne bażanty i płochliwe kuropatwy. Ubiegłej zimy, gdy wracałem do domu rowerem, drogę zastąpił mi ogromny odyniec (mam zdjęcia)”. Talent epicki, a zwłaszcza skłonność do dramatycznych scen, może stanowić przeszkodę dla ogłoszeniodawców. Radzimy korzystać z umiarem, żeby nie przeszarżować (odyniec) i nie wystraszyć klientów.

Naoglądaliśmy się za dużo filmów z gatunku science fiction, więc kiedy czytamy ogłoszenie: „Zbieram Obcych po drodze. Można się zawsze dogadać”, to najpierw przed oczyma naszej wyobraźni jawi się Will Smith lub Tommy Lee Jones w czarnym garniturze (zwłaszcza że słowo „Obcy” napisane jest wielką literą). Dopiero po chwili orientujemy się, że to kierowca proponuje podwózkę obcym ludziom, a napisał to słowo wielką literą z szacunku dla nich.

To prawda, że wszystkie cytowane przeze mnie teksty pochodzą z serwisów ogłoszeniowych, ale nie ja je znalazłem. Wyszukiwała je przez lata i umieszczała na Instagramie – na koncie „Kuriozoom” – Kasia Huzar-Czub. Wspaniała, piękna i wrażliwa osoba, o wielkim poczuciu humoru i wyczuciu języka, świetna tłumaczka z angielskiego, jedna z niewielu znakomicie rymujących; redaktorka i autorka wielu zabawnych i mądrych książek dla dzieci, z którą miałem zaszczyt współpracować. Zmarła nagle tuż przed świętami. A my, jej przyjaciele, wciąż nie umiemy sobie z tym poradzić. Możemy już tylko czytać – sobie i dzieciom – jej książki i jej przekłady albo zebrałe przez nią językowe kurioza i spróbować się przy nich uśmiechnąć. Przez łzy.

*Michał Rusinek – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

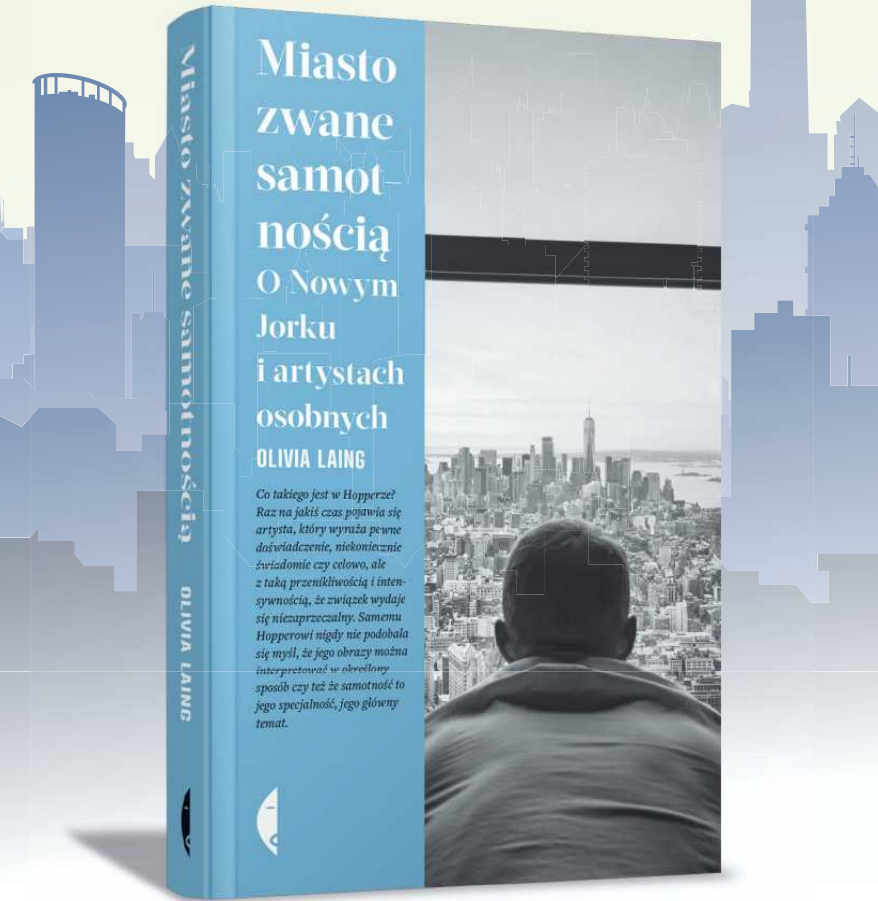
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki „Miasto zwane
samotnością” Olivii Laing



Samotnym można być wszędzie, ale w wielkim mieście, pośród milionów ludzi ma to szczególnie charakter. Autorka, przytaczając biografie wielkich nowojorskich twórców, rysuje uniwersalny portret samotników nie z wyboru, a także analizuje skomplikowane związki między samotnością a sztuką.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Miasto zwane samotnością” Olivii Laing oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

MZSL23

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przysyłamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 14.01.2023 r. do 15.01.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34225719

ATEISTA, PRZYJACIEL BOGA

FOT. IGOR MORSKI



Uniwersalizm etyczny, humanizm, demokratyzm i liberalna wrażliwość na prawa jednostki nie wzięły się znikąd.

Agata Bielik-Robson

Pomysł na ten tekst zrodził się z lektury kilku innych, które „Wyborcza” zamieściła jako repliki na niedawny felieton Marcina Matczaka, dość niefortunnie zarzucającego ateistom, że są niezdolni do przeżywania ducha święt. Moim celem będzie obrona współczesnego ateizmu, ale – z góry ostrzegam – raczej paradoksalna, bo wskazująca na jego głębokie uwikłanie z religiami, które wyrosły z abrahamicznego objawienia.

Zacznę od anegdoty, bardzo w stylu Woody’ego Allena, choć wcale nie fikcyjnej. Pewien stary nowojorski Żyd, a zarazem zardzewiały ateista ma syna, którego, jak sądzi, wychował w duchu całkowicie obcym tradycyjnemu judaizmowi. Któregoś dnia syn wraca do domu i obwieszcza,

że przypadł mu do gustu politeizm prodom z greckiego antyku; wdaje się z tatą w dyskusję, próbując go przekonać, że wielobóstwo jest fajne, bo żadnemu bogu nie przypisuje władzy absolutnej, nie domaga się żarliwej wiary, a poza tym jest bardziej w zgodzie z naturą, więc proekologiczne i postępowe. Tata dostaje jednak piany i wściekły na syna wykrzykuje: „Jest tylko jeden Bóg i my w niego nie wierzymy!”.

Morał tej historyjki? Ateizm jest bardziej związany z religią, niż się uważa. A na dodatek ateizmów jest wiele: jest ateizm wywodliwy z judaizmu, podobnie jak ateizm wywodliwy z chrześcijaństwa i innych religii abrahamicznych, w tym islamu. Dla starego Żyda ateista niewiara w Boga okazuje się niewiarą w bardzo ściśle pojętego jednego Boga, zwanego Jahwe, dlatego też synowski wybór politeizmu oznacza dlań odstępstwo na miarę tej samej apos-

tazji, jakiej niegdyś dokonało plemię Izraela, powracając do pogańskiego kultu złotego cielca.

Ojciec ateista jest dumny ze swojego ateizmu, który postrzega jako historycznie połączony z judaizmem: postawę późną i dojrzałą, którą osiąga się nie na zasadzie prostego odrzucenia wiary, lecz na zasadzie jej przewyciężenia. Bo żeby można było nie wierzyć w jednego Boga, trzeba pochodzić z tradycji, która w jednego Boga wierzyła. Z punktu widzenia taty żydowski ateizm jest więc cywilizacyjnym osiągnięciem – możliwym jednak tylko po zakończeniu dziejowej ewolucji judaizmu, który ku temu celowi prowadzi.

Hegel powiedziałby, że mamy tu do czynienia z rezultatem dialektycznym: religijna wiara ulega zniesieniu nie w trybie prostej negacji, lecz zostaje niejako dezaktywowana, przechodząc na wyższy poziom świadomości.

Zresztą Hegel tu niepotrzebny: taki sam proces zniesienia pojawia się już u św. Pawła, od którego Hegel zaczerpnął pojęcie „Aufhebung”: w Liście do Rzymian Paweł mówi wprost o dezaktywacji żydowskiego prawa jako warunku wejścia na wyższy poziom chrześcijańskiej moralności wewnętrznej, która obywateli się bez prawnej protezy, ponieważ wystarcza jej sama miłość i łaska. Nie wdając się w złożoną debatę nad samym Pawłem i jego przekonaniem o wyższości chrześcijaństwa nad judaizmem (którego osobiście nie podzielam), warto dostrzec sam ten mechanizm, który charakteryzuje religie historyczne, a więc podlegające ciągłemu rozwojowi (a religie abrahamiczne takie są): relacja między Bogiem a jednostką nieustannie się zmienia, przechodząc od stadium głębokiej zależności do coraz bardziej dojrzałej autonomii, u której kresu pojawia się postawa zbyt łatwo i pochop-

nie zwana po prostu ateizmem. Dlaczego nie jest to nazwa całkiem szczęśliwa? Bo nie jest to postawa od początku wroga i obca duchowi religii, lecz raczej postawa graniczna, być może nawet docelowa, przez ducha tego ukształtowana i przygotowana.

Niektórzy nazywają ją, tylko z pozoru paradoksalnie, ateizmem religijnym (albo, jak Gershom Scholem, „ateizmem pobożnym”). Najciekawsza dyskusja na temat religijności ateizmu – i symetrycznie: ateistyczności religii abrahamicznych – odbyła się w latach 60. między Ernstem Blochem, żydowskim ateistą podobnym do taty z nowojorskiej historyjki, a Jürgenem Moltmannem, wybitnym teologiem protestanckim, którzy całe życie pracował nad teologicznym uzasadnieniem procesu sekularyzacji. Bloch, autor „Ateizmu w chrześcijaństwie”, wypowiedział wówczas słynny bon mot – „Tylko ateista może być dobrym chrześcijaninem” – co Moltmann natychmiast skontrolował, mówiąc: „Tylko chrześcijanin może być dobrym ateistą”.

Obie te sentencje stanowią wariancje nad anegdotyczną proklamacją – „Jest tylko jeden Bóg i my w niego nie wierzymy!” – choć ujawniają jej różne aspekty. Ernst Bloch wskazuje na specyfikę religii objawionej, której sednem okazuje się od początku ateizacja: wiara w Boga Exodusu, który w przeciwieństwie do bóstw egipskich, stanowiących filary władzy faraonicznej, składa obietnicę wolności i samostanowienia ludzkiej jednostki. Nawet jeśli etapem pośrednim jest religia boskiego prawa, któremu jednostka musi się podporządkować, aby wyrwać się spod dominacji pogańskich bożyszcz, to jej celem ostatecznym jest emancypacja: dojrzały stan etycznej autonomii, który Kant w swojej definicji oświecenia, równie silnie zakorzenionej w hebrajskiej symbolice Exodusu, określił jako „odwagę do posługiwania się własnym rozumem”.

W ujęciu Blocha zatem objawienie wiedzy nieuchronnie ku oświeceniu, przeprowadzając jednostkę przez długi historyczny proces dojrzewania jako stopniowego wybijania się na autonomię. Judaizm, chrześcijaństwo i ateizm nie stanowią tu obcych i wrogich paradygmatów, lecz są etapami jednego rozwoju, który już Lessing, autor rówieśny Kantowi, nazwał „wychowaniem ludzkości”: od stanu mentalnego przedszkola, symbolizowanego przez biblijny Raj, przez kolejne stadia dorastania – judaizm jako religię prawa oraz chrześcijaństwo jako religię moralności refleksyjnej – aż po ateistyczne odrzucenie wszystkich tych historycznych „drabin”, dzięki którym człowiek mógł wznieść się na poziom wolności, niegdyś dostępny tylko bogom. Nie potrzebuje już teizmu, jeśli ten rozumiemy jako system posłuszeństwa wobec boskiego rodzica: tak jak u Kanta, jednostka wychodzi ze „stanu nie-dojrzałości”, by stać się dorosłym człowiekiem, samodzielnie kierującym się rozumem i uwewnętrznionymi normami moralnymi, które nie wymagają zewnętrznego „duchowego kierownictwa”.

Co ciekawe, Bloch określa kierunek tej ewolucji objawienia „zasadą antropiczną” – tą samą, którą ostatnio przywołał

profesor Marek Abramowicz w pięknym wykładzie o granicach twardego materializmu we współczesnej kosmologii. „Uregulowanie antropiczne”, dzięki któremu fundamentalne stałe naszego kosmosu ukształtowane są tak, by sprzyjać powstaniu życia świadomego, przywołuje na myśl obecność tajemniczej intencji, która z kolei odsyła do hebrajskiej kavannah: pierwotnego zamysłu, który w biblijnej opowieści towarzyszy stworzeniu. W ujęciu Abramowicza dzisiejszy spór kosmologiczny jest w istocie powtórzeniem antycznej debaty między Atenami a Jerozolimą, która toczyła się wokół kwestii: kavannah czy tuche? Intencja, a w związku z tym elementy wolicjonalnej teleologii – czy absolutnie ślepa przypadkowość? Cykliczne poliwersum, na które składa się wielka historia pulsujących wszechświatów (jak w konforemnych cyklach czasowych Rogera Penrose’a czy w „Głosie Pana” Stanisława Lema, gdzie pojawia się możliwość, że każdy kolejny Big Bounce nie rozpoczyna całkiem od zera, lecz zachowuje ciągłość z poprzednim kosmosem, a kto wie, może nawet się od niego „uczy”, za każdym razem modyfikując konfigurację stałych) – czy multiwersum aktualizujące w nieskończonej czasoprzestrzeni wszystko, co potencjalne, bez selekcji i intencji, w tym także nasz wszechświat ze stałymi kosmicznymi o przypadkowo antropicznym nacechowaniu?

Jak słusznie w swoim ostatnim tekście wskazał profesor Andrzej Dragan, astrofizycy są nade wszystko fizykami stawiającymi pytania lokalne w ramach dostępnych im procedur eksperymentalnych, a nie metafizykami stawiającymi pytania ostateczne, dla których najprawdopodobniej nigdy nie znajdziemy naukowej odpowiedzi. Czasem jednak wychodzą poza swoją wąską działkę i wysuwają także hipotezy bardziej ogólne – jak choćby wtedy, kiedy nie wykluczają, że w konstrukcji bytu czai się jakaś celowość, a to wystarczy, by podać w wątpliwość integralnie materialistyczną wizję kosmosu, którą głosi skrajny ateizm, inaczej niż sama fizyka zaangażowany w tworzenie założeń natury metafizycznej.

Pilka ciągle jest w grze, dlatego też Abramowicz zaleca fizykom agnostyczną ostrożność, a zarazem otwartość na nowe hipotezy. Jeśli bowiem zasada antropiczna okaże się mniej przypadkowa, niż głoszą zwolennicy teorii multiwersum, to nasz kosmos byłby istotnie „podregulowany” – i to jak najbardziej w duchu abrahamicznego objawienia, które ustanowiło pierwszy religijny system sprzyjający człowiekowi jako życiu samoświadomemu. To ono spośród całości natury, dotąd mało człowiekowi przyjaznej, uczyniło go istotą wybraną. Ale wybraną nie po to, by „czynić sobie ziemię poddaną”, jak głoszą niechętni religiom abrahamicznym krytycy antropocenu, lecz po to, by po raz pierwszy w otchłaniach bytu materialnego doszła do głosu boska intencja: zamysł stworzenia życia zdolnego do doświadczenia i nabywania wiedzy o otaczającym je świecie. Przecucie kosmicznej intencji przemawia językiem bardziej subtelnym niż starożytne wyobrażenie osobowego Boga stwarzającego świat w sześć dni, w tym

Zatwardziały ateista krzyczy do syna, który podziwia politeizm:

Jest tylko jeden Bóg i my w niego nie wierzymy!

Ateizm to ostatnie stadia religii abrahamicznej, która założyła sobie wychowanie autonomicznej i godnej jednostki i zadanie wykonała, wytwarzając moralnie dojrzałą sferę świecką z dobrymi instytucjami chroniącymi prawa człowieka

Łatwo piętnować historię chrześcijańskiego Zachodu jako pełną hipokryzji – od krucjat, przez zagładę katarów i pogromy na Żydach, po handel niewolnikami i eksploatację natury – trudniej pamiętać, że bez tych nowych zasad etycznych, przez chrześcijaństwo ustanowionych, nie mielibyśmy języka, którym moglibyśmy kulturę chrześcijańską krytykować

istotę ludzką jako mieszaninę gliny i boskiego oddechu – jednocześnie jednak jest z nim historycznie powiązane. Biblijny obraz Stwórcy to pierwsza poetycka próba wypowiedzenia zasady antropicznej, którą dzisiejsza nauka formułuje w języku matematycznych formuł.

W tak pojętej kavannah objawienie nie klóci się z oświeceniem. Przeciwnie, trudno wyobrazić sobie piękniejsze imago Dei od Alberta Einsteina, Stephena Hawkinga albo Rogera Penrose’a, sięgających umysłem do granic kosmicznego poznania. Jeśli więc za istotę

teizmu uznać wiarę w kreacjonistyczne dogmaty, to ci wybitni fizycy teoretyczni są z pewnością ateistami; jeśli jednak wyjść poza klerykalne zestawy dogmatyczne i ująć objawienie bardziej filozoficznie jako ekspresję perspektywy antropicznej, która wyrażała się w dziejach na różne sposoby – od poetyckiego do matematycznego – to wówczas ścisła granica między religią opartą na wierze a ateistyczną nauką opartą na wiedzy mocno się zaciera.

W ujęciu Blocha w ogóle już nie chodzi o staromodne rozróżnienie wiary i wiedzy. Człowiek zachęcony do zgłębiania tajemnic wszechświata – czy to przez Boga, który składa mu obietnicę wybraństwa, czy przez sam antropicznie podregulowany kosmos – u kresu swej ewolucji rozumowo dociera do pierwotnego zamysłu, którego jest obrazem.

Dla tradycyjnych teistów wierzących w opatrnościowe interwencje osobowego Boga taka inwestycja w scjentyzm oznacza upadek człowieka w grzech pychy: próbę zrównania się ze stwórcą kosmicznego ładu. Dla Blocha jednak rzecz ma się dokładnie na odwrót: ci oświeceni „ateiści” zrywający z dziecinny podporządkowaniem jednostki kościelnym instytucjom władzy są znacznie bliżsi spełnienia abrahamicznej obietnicy. Kto tu zatem pozostaje wierniejszy duchowi objawienia? Bloch nie ma wątpliwości: gdyby wybierać między „faraonicznym” teizmem a nowoczesnym oświeconym ateizmem, to wierniejszy idei imago Dei byłby ten drugi.

Jürgen Moltmann, twierdząc, że „tylko chrześcijanin może być dobrym ateistą”, mówi w istocie to samo, tyle że gdzie indziej kładzie akcent: podczas gdy Bloch chce, by judeochrześcijaństwo pamiętało o antropicznym powołaniu, kiedy to Bóg na koniec usuwa się w cień niczym rodzic, który wykonał wychowawczą pracę – Moltmann chce, by ateizm pamiętał o judeochrześcijańskiej przeszłości, bez której by go nie było w jego obecnej formie. Nalega, by nowożytny ateizm zachodni zrozumiał swoje historyczne uwarunkowania, czyli to, jak wiele oświecenie zawdzięcza ewolucji idei objawienia. W ujęciu Moltmanna zarówno ateizm, jak i sekularyzm to ostatnie stadia religii abrahamicznej, która założyła sobie wychowanie autonomicznej i godnej jednostki i swoje zadanie wykonała, wytwarzając moralnie dojrzałą sferę świecką z dobrymi instytucjami chroniącymi prawa człowieka.

Nowoczesny zachodni ateista powinien jednak pamiętać, że pewne cechy jego doktryny – uniwersalizm etyczny, humanizm, demokratyzm i liberalna wrażliwość na prawa jednostki – nie wzięły się znikąd, a już na pewno nie z naturalnego uposażenia ludzkości, która do pojawienia się tak zwanych religii osiowych (termin Karla Jaspersa) tkwiła w plemiennym egoizmie. Poprzedził je długi, skomplikowany i, rzecz jasna, niejednoznaczny „proces cywilizacyjny”, w którym judeochrześcijaństwo odegrało niemałą pozytywną rolę. Tak jak w nowojorskiej anegdocie, ten „właściwy” ateizm to nie ten ahistoryczny, cierpiący wprost z greckiego antyku, który powszechnie tolerował niewolnictwo, lecz ten,

który przyswoił emancypacyjne treści biblijnego objawienia, które jako pierwsze postawiło na jednostkę jako „boski obraz” bez względu na jej społeczny status i ugruntowało nowe – humanistyczne i uniwersalne – wartości moralne.

Łatwo jest dziś piętnować historię chrześcijańskiego Zachodu jako pełną hipokryzji i odstępstw od wyznawanych zasad – od krucjat, przez zagładę katarów i pogromy na Żydach, po handel niewolnikami i eksploatację natury – trudniej jednak pamiętać, że bez tych nowych zasad etycznych, przez chrześcijaństwo ustanowionych, nie mielibyśmy języka, którym moglibyśmy kulturę chrześcijańską krytykować.

Gdyby myśleć Arystotelesem albo Epikurem, niewykluczone, że nawet by się jej zbrodni nie dostrzegło. A o to właśnie upomina się Moltmann: o to, by współczesny zachodni ateista przestał powoływać się na rzekomo uniwersalne, ahistoryczne i naturalne prawa empatii i zrozumiał, skąd prawa te, znacznie bardziej szczególnie, niż mu się wydaje, się wzięły. O to zatem, by refleksyjnie prze-myślał swoją własną genezę. Nic więcej, ale też – nic mniej.

Dyskusja między Blochem a Moltmannem miała miejsce w Niemczech, kraju protestanckim, i trudno sobie wyobrazić, by mogła się ona wydarzyć w krajach katolickich, które z racji odmiennej historii podchodzą do kwestii świeckości i ateizmu znacznie bardziej wojowniczo i antagonistycznie. Przypomina mi się inna wymiana zdań, której byłem świadkiem na pewnej konferencji w Żurychu: między młodym księdzem z Francji, wyraźnie sympatyzującym z katolickim odrodzeniem, a równie młodym szwajcarskim pastorem. Odbyła się ona przed byłym zbornem protestanckim zamienionym w restaurację. Młody katolik uniósł się gniewem, zarzucając pastorowi, a ogólniej całemu Kościołowi ewangelicznemu w Szwajcarii, że poniosł straszliwą klęskę, tracąc ważne przyzwołości wiary. Pastor spokojnie odparł, że przeciwnie, uważa swoją misję za sukces i kościół zamieniony w świecki przybytek wcale go nie razi. „W świeckich instytucjach mojego kraju więcej jest boskiego zamysłu niż we wszystkich waszych świątyniach”, powiedział, wskazując na gromadę wesółych ludzi, pogrążonych w konsumpcji spożywczych dóbr, jako dowód na to, że misja protestancka wykonała swoją pracę cywilizacyjną i zakończyła się powodzeniem.

Młody ksiądz nie był w stanie dostrzec nic pozytywnego w tej scenie, która oznaczała dlań tylko profanację. To, co dla pastora było sferą świecką przesyconą duchem proświatowego chrześcijaństwa, dla katolika było tylko upadłą sferą profanum, która zapomniała o życiodajnym odniesieniu do sacrum (podobny potępieńczy ton wybrzmiał w źródłowym tekście Marcina Matczaka i to on właśnie wywołał całą serię polemik). Dla szwajcarskiego duchownego post-protestanccy ateiści byli późnymi kuzynami w wierze, której kresem, a zarazem celem, okazało się oświecenie – dla młodego katolika byli tylko zagubionymi w doczesności „workami skórno-mię-

śniowymi”, które należałoby sprowadzić z powrotem do kościoła. Dla tego pierwszego chrześcijaństwo stanowiło „religię ludzi dorosłych” (jak niegdyś o judaizmie wyraził się Emmanuel Levinas) – dla tego drugiego było religią wiecznych dzieci, które nie odnajdą się w świecie bez ojcowskiej kurateli kleru, usankcjonowanej w tej roli przez Boga Prarodziciela. W oczach pastora francuski katolik jawił się zatem jako wyjątkowo groźny fundamentalista, który zaprzecza istocie chrześcijańskiego przesłania. Z kolei w oczach młodego tradycjonalisty pastor uosabiał wszystko to, co w nowoczesności nie-nawistne i wrogie prawdziwej religijności: tolerancyjny zwrot ku światu, duchową inwestycję w sferę świecką i liberalny permissywizm.

Zdaję sobie sprawę, że moje rozważania o ateizmie genetycznie związanym z ewolucją judeochrześcijaństwa brzmią na obecnym gruncie polskim egzotycznie. Polski Kościół okopał się tak głęboko na pozycjach teizmu tradycjonalistycznego, że polski ateizm, przybierając postać wojująco-antyklerykalną, nie chce nic słyszeć o zadłużeniu u tradycji objawienia, którą zdefiniował sobie jako cofający nas do średniowiecza kościółkowy zabobon. Uprowadzając głosy krytyczne, od razu mówię, że nie ma we mnie cienia sympatii dla wszelkiej maści religijnych reakcjonizmów. Od wielu lat badam relację między religią a ateizmem i – wbrew przekonaniu zarówno polskich fundamentalistów, jak i dużej grupy polskich ateistów – dochodzę do wniosku, że jest to relacja wewnętrzna: jak by powiedział Freud, relacja będąca częścią wyjątkowo złożonego i burzliwego „romansu rodzinnego”. I to od samego początku – od pierwotnego objawienia, który założył pierwszą religię abrahamiczną, czyli judaizm. Wbrew bowiem opiniom wielu chrześcijan, także tych najbardziej oświeconych – jak Lessing czy Kant – to nie dopiero Pawłowe chrześcijaństwo otwiera drogę nowożytnemu oświeceniu, ale już religia żydowska, słusznie nazwana przez Hermanna Cohena (późnego reprezentanta haskali, czyli żydowskiego oświecenia), „religią rozumu”.

Na dowód przytoczę jedną opowieść z Talmudu, zasłużenie słynną, w której rabini wadzą się z samym Bogiem. Sprawa dotyczy bardzo konkretnych zasad halachicznych regulujących czystość określonych naczyń – w tym konkretnych przypadku pieca, w którym wypieka się chleb. Wybitny rabin, posiadający własną szkołę talmudyczną, Eliezer, twierdzi, że piec Achnai jest czysty – z kolei jego oponenti, którym przewodzi rabin Joszua, że nie. Oto, jak przebiega dysputa:

Tego dnia rabin Eliezer przywołał wszystkie możliwe argumenty, by dowieść swojego stanowiska, ale nie zostały przyjęte. Powiedział więc do nich [swoich przeciwników]: „Jeśli prawo halachiczne zgadza się ze mną, niech udowodni to obecne tu drzewo karobowe”. Na co drzewo karobowe wyskoczyło z korzeni i uniosło się na kilka metrów nad ziemią. Eliezer rzekł: „Jeśli prawo halachiczne zgadza się ze mną, niech dowiedzie tego ten strumyk”. I strumyk zaczął płynąć wstecz. Wówczas przeciwnicy Eliezera zaoponowali: „Nie można czerpać dowodów ze strumienia”. Na co Eliezer odrzekł: „Jeśli prawo halachiczne zgadza się ze mną, niech udowodnią to ściany tej jesiwy”. I ściany jesiwy zaczęły się chwiać. Ale rabin Joszua upomniął je, mówiąc: „Czemu się wtrącacie, kiedy kłócą się ze sobą ucni w piśmie?”. Wtedy ściany, na cześć Jozuy, przestały się chwiać, ale też, by oddać cześć Eliezerowi, nie wróciły do swojej dawnej pozycji – i do dziś stoją pochylone. Na co znów Eliezer odrzekł: „Jeśli prawo halachiczne zgadza się ze mną, niech dowiedzie tego Niebo”. Wtedy rozległ się niebiański głos:

„Czemu dysputujecie z Eliezerem? Prawo halachiczne zawsze jest z nim w zgodzie”. Jednakże rabin Joszua powstał i rzekł: „Tora nie jest w niebie”. Co przez to rozumiał? Rabin Jeremiasz powstał i rzekł: „Całą Torę dałeś nam na Górze Synaj i dlatego nie należy już do Nieba. Nie będziemy słuchać żadnego głosu niebiańskiego, bo zapisałeś w swojej Torze, że prawda należy do większości”. Rabin Natan spotkał proroka Eliasza i zapytał: „Co Przenajświętszy uczynił w tę godzinę?”. Eliasz odpowiedział: „Bóg uśmiechnął się i powiedział: pokonały mnie moje dzieci, pokonały...”.

Choć wypowiedziana w archaicznym języku rabinicznej dysputy z trzeciego wieku naszej ery, narracja ta zawiera wszystkie elementy abrahamicznego romansu rodzinnego, w którym teizm spotyka się z ateizmem, a objawienie zmierza ku oświeceniu. Rabini nie kwestionują istnienia Boga, a jednocześnie śmiało wykluczają go z dysputy, twierdząc, że jego głos, z istoty uprzywilejowany, nie liczy się w debacie równych sobie skończonych ludzkich umysłów: język cudów jest dobry dla dzieci, ale nie dla rozumnych dorosłych, którym przypada trudna sztuka interpretacji Pisma.

Na koniec – w epilogu w Niebie – gdzie przebywa wniebowzięty prorok Eliasza, spotykający Stwórcę na co dzień, dowiadujemy się o reakcji samego Boga, którego wspólnota rabinacka wykluczyła z racjonalnej dyskusji na gruncie prawa, jakie on sam sformułował. Nie tylko nie unosi się on gniewem Boga Ojca, któremu dzieci wypowiedziały posłuszeństwo. Przeciwnie, w poczuciu pełnej satysfakcji, że stworzenie stanęło na własne nogi i opowiedziało się po stronie rozumnej autonomii, boski rodzic abdykuje i wycofuje się w cień – co już znacznie później – szta tradycja kabalistyczna, uczestnicząca bezpośrednio w genezie zachodniej nowoczesności, nazwie aktem cimum, czyli „kontrakcji Boga”. Odtąd nie będzie już żadnych cudów i innych opatrnościowych interwencji: ziemia zostaje oddana w pacht człowiekowi jako istocie dostatecznie dojrzałej i racjonalnej, by świadomie zarządzać własnym losem.

Dla wielu chrześcijańskich komentatorów, duchowo bliskich młodemu francuskiemu fundamentalistcie, fragment ten jest czystym bluźnierstwem, jedynie potwierdzającym podejrzenia wobec judaizmu jako religii małej wiary (albo, jak głosiła niesławna wielkanocna modlitwa o nawrócenie Żydów, wprost „perfidnej”, czyli perwersyjnie zbliżonej do niedowiarstwa). Istotnie, od tej deklaracji talmudycznej już tylko mały krok do deizmu, czyli religii Boga wycofanego, która zainaugurowała zachodnie oświecenie i zgodnie z którą prawa rządzące światem „już nie są w Niebie” (lo baszamaim), więc wspólnota uczonych może je zgłębiać samodzielnie wedle ustanowionych przez siebie racjonalnych reguł.

Dlatego też Heinrich Heine – żydowski ateista, całkiem w typie ojca z nowojorskiej anegdoty – mógł powiedzieć z szacunkiem o swoich przodkach, że od zawsze już byli „gwardią szwajcarską deizmu”. Jednocześnie wierni i butni, oddani swemu Bogu i stawiający mu wyraźne granice Żydzi, a wraz z nimi cała abrahamiczna tradycja, oscylują na płynnej granicy między z pozoru bardzo antytetycznymi stanowiskami teizmu i ateizmu. Nicchuni banai, czyli „pokonały mnie moje dzieci”, wyznacza trop ewolucji objawienia, które zgodnie z zasadą antropiczną – wybraństwem człowieka – zmierza ku kantowskiej autonomii rozumu, nauki i wiedzy. Skoro Przenajświętszy zaśmiał się na widok poczyniań talmudystów, można sobie tylko wyobrazić jego radość, kiedy dziś czyta Hawkin- ga albo Penrose’a.

To oczywiście tylko metafora – ale, jak dowodził Hans Blumenberg, twórca filozoficznej metaforologii, istnieją pewne intuicje ostateczne, które ludzkość od zawsze wyrażała w postaci poetyckich figur. Nie należy czytać ich dosłownie, bo literalizm je niszczy – a jednocześnie niosą potężny ładunek znaczenia, które określa wysiłki poznawcze całych epok. W ten sposób metafora Boga wycofanego – czyli deus otiosus – zorientowała wczesną nowożytność, kiedy to z ducha deizmu rodził się scjentyzm: jedynym z największych deistów był sam Isaac Newton.

Co to wszystko oznacza w kontekście debaty sprowokowanej przez tezę Marcina Matczaka, że ateści nie rozumieją ducha świąt? Dysputy w epoce mediów społecznościowych zwykle żądają prostoty, ale, jak na ironię, mój głos także można streścić jednym hasłem, które często pojawia na Facebooku w zakładce „status w relacji”: it’s complicated.

Statusu relacji ateizmu i teizmu nie da się sprowadzić do prostego tak albo nie. To w gruncie rzeczy jedno z najbardziej pogmatwanych i fascynujących uwikłań, jakie zna intelektualna historia ludzkości. Na pewno więc nie jest tak, że, jak twierdzi Matczak, ateści to biedne dusze zagubione w sekularnych odmętach, niezdolne do wykrzesania z siebie sakralnego ducha świąt – już choćby dlatego, że cała ta pochwała świeckiego rytuału zbudowana jest na mocno poganizującej koncepcji sacrum, rodem z Mircea Eliade i Martina Heideggera, i nie bierze pod uwagę tego, jak bardzo judeochrześcijaństwo zamazuje granicę między świętością i świeckością, pozytywnie waloryzując ludzki wkład w historię (skądinąd znieawidzoną przez Eliadego, dla którego porządne święto to zawsze powrót do odwiecznego illud tempus).

Ale nie jest też tak, jak twierdzą Marek Beylin czy Jan Hartman, że to, co w liberalnej nowoczesności najlepsze – prawa człowieka – są czysto świeckiego pochodzenia i że zawdzięczamy je dzielnym, walczącym z zabobonem religii ateistom. Jak pokazują Bloch i Moltmann, niewyobcowywalne uprawnienia Thomasa Jeffersona, nieco tylko zbuntowanego purytanina, byłyby nie do pomyślenia bez wieków oddziaływania „zasady antropicznej”, którą – czasem z lepszym, a czasem gorszym skutkiem – wprowadzały i realizowały religie abrahamiczne.

Dobry chrześcijanin z sentencji Blocha i dobry ateista z sentencji Moltmanna mają historycznie więcej ze sobą wspólnego, niż to się im obecnie wydaje. Być może dobrze właśnie. ●



FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Agata Bielik-Robson

• filozofka, pisarka, pracuje na wydziale teologii Uniwersytetu w Nottingham i w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Autorka książek „Na drugim brzegu nihilizmu. Filozofia współczesna w poszukiwaniu nowego podmiotu”, „Inna nowoczesność. Pytania o współczesną formułę duchowości”, „Romantyzm, niedokończony projekt”, „Na pustyni – kryptoteologie późnej nowoczesności” oraz „Kłopot z chrześcijaństwem: wieczne gnienie, apokaliptyczny ogień, praca” (z Tadeuszem Bartosiem).

Przeczytałam w „Naszym Dzienniku”

Kto jeszcze musi zginąć

Niewykluczone, że ks. Dostatni, ks. Isakowicz-Zaleski i kilku innych księży muszą zacząć oglądać się za siebie, chodząc ulicami polskich miast.

Magdalena Czyż

Po raz kolejny przekonałam się, że pewnych tytułów prasowych lepiej nie dotykać, bo można się rozchorować. Mam na myśli „Nasz Dziennik” – organ komanda Tadeusza Rydyka. Niby to nic nowego, ale od czasu do czasu warto się przyjrzeć, co myślą skrajni konserwatyści kościelni i jak swoje myśli wyrażają. Chociaż obawiam się, że określeniem „konserwatyści” faktycznych konserwatystów obrażam.

Przeczytałam w dzienniku Rydyka wywiad z Adamem Bujakiem.

Fotograf Jana Pawła II ze swoją rozmówczynią Małgorzatą Rutkowską dają upust chrześcijańskiej miłości do bliźniego.

Zastanawiam się, o co mogłabym spytać osoby, które piszą: „Zdradą Kościoła jest dziś atakowanie św. Jana Pawła II, dokonuje się tego również rękami katolików i katolickich mediów”.

To stwierdzenie i pytanie prowadzącej wywiad. I odpowiedź Bujaka: „I niestety niektórych księży, trzeba to podkreślić. Mam na myśli zwłaszcza tych, którzy piszą do »Gazety Wyborczej«, jak o. Tomasz Dostatni, ale też kilku innych. Kościół właściwie zamilkł... Niektórzy biskupi walczą – odważnie broni Ojca Świętego ks. abp Marek Jędraszewski, który mocno wypowiada się również o gender i LGBT. Ale te głosy nie docierają do tysięcy młodych ludzi, których trzeba zmienić”.

Gdybym była złośliwa, odparłabym, że Adam Bujak nie ma powodu do narzekań, bo według twardych danych statystycznych słowa abp. Jędraszewskiego docierają jednak do tysięcy, a nawet setek tysięcy młodych ludzi i ich zmieniają, bardzo szybko ich zmieniają...

Dalej doskonale pytanie Rutkowskiej: „Samo-zwańczy Katonowie przykładają rękę do niszczenia autorytetu św. Jana Pawła II świadomie czy może w swoim pojęciu mają dobre intencje?”.

A Bujak odpowiada: „Nie, absolutnie świadomie, to nie jest przypadek. Powiedziałem ks. Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu, którego znam od dawna: »Dlaczego niszczysz Kościół, po co to robisz? Zostaw Kościół w spokoju«. »Bo ja walczę o prawdę« – odparł. »Jaką prawdę? Wdajesz się w rozmowy z najgorszymi piśmidłami i gadzinowymi telewizjami. Po co to jest ci potrzebne?« – tłumaczyłem mu”.

Na koniec, żeby było jeszcze milej, pytanie Rutkowskiej: „Czy uda się zatrzymać kreowanie fałszywego obrazu Jana Pawła II, zwłaszcza wśród młodzieży?”.

Bujak: „To nie jest tylko nienawiść przeciwko św. Janowi Pawłowi II, ale to też nienawiść do dobra, narodu”.

Nie mam żalu do osiemdziesięcioletniego Bujaka, że wygłasza straszne głupstwa. Ale mam pretensję do Rutkowskiej i naczelnej Ewy Nowiny-Konopki, że wykorzystują jego pozycję wśród wierzących do podjudzania i szczucia na inaczej rozumiejących dobro Kościoła księży.

Kilka dni wcześniej dowiedzieliśmy się, że Donald Tusk zostaje objęty ochroną SOP-u ze względu na doniesienia o próbach zamachów na niego. Niewykluczone, że ks. Dostatni, ks. Isakowicz-Zaleski i kilku innych też muszą zacząć oglądać się za siebie, chodząc ulicami polskich miast. Nieliczni księża, którym zależy na pozamiataniu tej tajni Augiasza, nazywani są przez Rutkowską zdrajcami, targowicą, a przecież wiadomo, co się ze zdrajcami robi.

Kiedy piszę ten felieton, słucham jednocześnie doniesień z Brazylii i patrzę na zdjęcia tłumy szturmującego budynku najważniejszych instytucji w państwie. Mam coraz silniejszą obawę, że wydarzenia ze stolicy Brazylii i wcześniejsze z Waszyngtonu będą miały miejsce także w Warszawie, jeśli tylko opozycja wygra wybory. W Brasiliu na szczęście nikt nie zginął. W Waszyngtonie zginęło pięć osób.

Czy śmierć prezydenta Pawła Adamowicza nie wystarczy? Kto jeszcze musi zginąć, aby taka Małgorzata Rutkowska do spółki z Nowiną-Konopką się opamiętały i zmieniły język? Ilu ludzi musi stracić życie albo zdrowie? ●

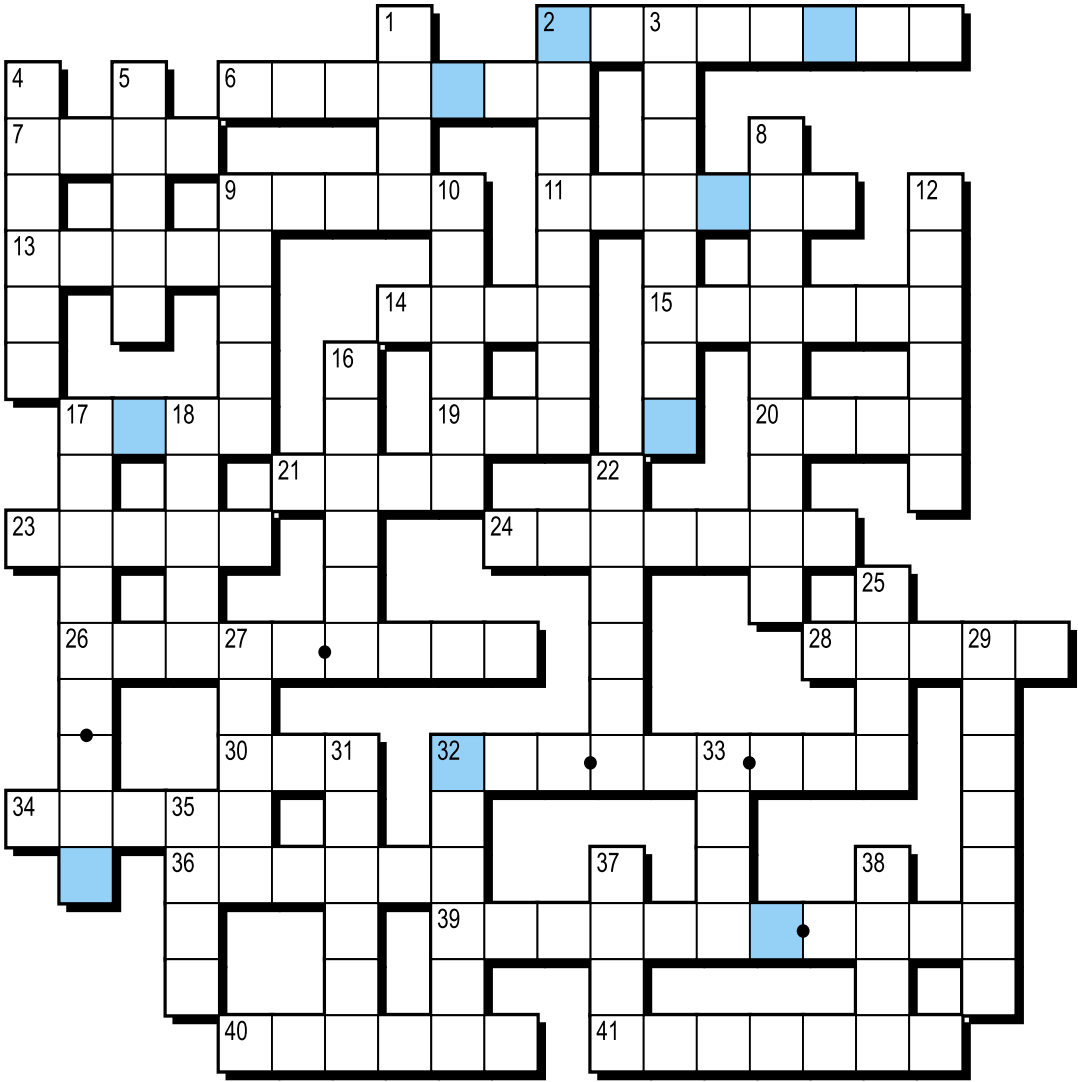


weekendówka
35

PSI BOHATEROWIE

John Gray zapewne był dobrym ogrodnikiem. Rzecz w tym, że kiedy w 1850 roku przybył do Edynburga wraz z żoną i synem, nie mógł znaleźć pracy. Nie chciał iść do przytulku dla biednych, dlatego zatrudnił się jako konstabl w miejskiej policji i nocą patrolował ulice miasta. Ówczesne prawo wymagało, by nocni stróże porządku mieli psy, dlatego John zabierał ze sobą na patrole teriera Bobby’ego, którym się opiekował. Byli niemal nierozłączni, pies wszędzie mu towarzyszył. Osiem lat po przybyciu do stolicy Szkocji, 15 lutego 1858 roku John Gray zmarł na gruźlicę. Został pochowany na cmentarzu przy kościele Greyfriars Kirkyard. Bobby pojawił się wkrótce przy grobie i pozostał tam przez... 14 lat, wiernie czuwając przy swym panu. W 1867 roku miasto Edynburg wprowadziło obowiązkowy podatek od psów. Oplatę za Bobby’ego wniósł Sir William Chambers, Lord Provost Edynburga oraz prezes Szkockiego Stowarzyszenia Zapobiegania Przemocy Wobec Zwierząt. Bobby dostał obrozę (ta znajduje się obecnie w miejskim muzeum) i mógł nadal legalnie stróżować przy swym panu. Bobby zdechł w 1872 roku, właśnie 14 stycznia, prawdopodobnie z powodu nowotworu szczęki. Został pochowany przy cmentarnej bramie, nie daleko grobu Johna Graya. Po jego śmierci baronowa Angela Georgina Burdett-Coutts ufundowała fontannę granitową z wizerunkiem psa. Oryginał pomnika trafił, podobnie jak obroza, do miejskiego muzeum, ale w tym miejscu stała replika. Na grobie Johna Graya postawiono płytę, którą opłacili miłośnicy Bobby’ego z Ameryki, zaś Szkockie Towarzystwo Pomocy Psom zadbało, by na cmentarzu stała płyta honorująca samego czworonożaka. Niezwykłą historię wiernego Bobby’ego rzecz jasna wielokrotnie podważano. Jan Bondeson, szwedzki lekarz, badacz i pisarz, w książce „Greyfriars Bobby, the Most Faithful Dog in the World” zastanawiał się, czy Bobby nie był po prostu jednym z bezpańskich cmentarnych psów, które w XIX wieku często zamieszkiwały nekropolie i były dokarmiane przez odwiedzających groby. Rzuca też tezę, że „oryginalny” Bobby zdechł wcześniej, a został zastąpiony przez innego psa, by podtrzymać legendę. Jak to do końca było – nie wiadomo. Wiadomo za to z całą pewnością, że dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy niezwykłym psim bohaterom, by uczcić rocznicę śmierci Bobby’ego. A o pomoc w ułożeniu hasel poprosiliśmy Joannę Dzikowską, dziennikarkę wrocławskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, nominowaną do nagrody Grand Press za rozmowę z Wojciechem Kurtyką. Asia pisze m.in. o nauce i podróżach, więc do kynologicznego sprin- tu przez poczet czworonożnych bohaterów pasuje idealnie. Miłej zabawy! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 34 z 7.01:

- Poziomo:**
5) przedszkoczkowie 10) Liberec 11) Thomas 12) Piotr 13) Raw Air 14) hymny 15) ocena 16) Oslo 19) Kruczek 23) nota 24) Tomisław 25) Adam Małysz 27) Bergisel 30) Karl 31) Kula 32) Stefan 34) Maciej 36) auto 37) więzania 38) Ahonen 39) Przelato
- Pionowo:**
1) Freitag 2) telemark 3) wiatr 4) Letalnica 6) srebro 7) Zakopane 8) Oberhof 9) loty 12) Prevc 14) Horngacher 17) sztab 18) numer 19) kaski 20) upadek 21) kadra 22) Kamil Stoch 26) Sven 28) gwiazda 29) Lublana 30) Kasai 33) Ammann 35) Janne

HASŁO: **WIELKA KROKIEW**

PSI BOHATEROWIE

Hasła Joanny Dzikowskiej oznaczono inicjałami (JD). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:**
2) Roman, autor opowiadania „O psie, który jeździł koleją”
6) pies Bonettiego z serialu kryminalnego
7) najwierniejszy w Krakowie: czekał, aż postawili mu pomnik (JD)
9) wierny pies Odyseusza; czekał na pana 20 lat
11) ukochany szpic króla Poniatowskiego
13) mały piesek na etacie w „Przekroju” (JD)

- 14)** piosenkarka, której ukochaną suczką była Ramona
15) według tradycji muzumańskiej: jedyny pies, jaki dostał się do nieba
17) Kwaśniewski ostrzegał, by „nie szła tą drogą” (JD)
19) potocznie, w niebieskich mundurach (JD)
20) pies z komiksów o kocie Garfieldzie
21) ... i Tramp, z filmu Disneya „Zakochany kundel”
23) pies pianista z „The Muppet Show”
24) ukochany pies dziewczynki z określenia 29 pionowo
26) hybryda Jacka Londen: w jednej czwartej pies, w trzech czwartych wilk (JD)
28) „Gucio i ...”, hipopotam i pies z dawnego serialu animowanego

- 30)** imię psa doktora Dolittle, a także psa Dory Copperfield z powieści Dickensa
32) owczarek niemiecki, gwiazda kina sprzed stu lat
34) materializujący się pies z powieści Kurta Vonneguta „Sireny z Tytana”
36) collie, która wróciła do domu i stała się sławna (JD)
39) oaza zieleni w Nowym Jorku, a w niej pomnik bohaterańskiego psa Balto
40) psiak z polskiego serialu animowanego
41) pod brodą dziecka i w „Rodzinie zastępczej” (JD)

- Pionowo:**
1) morderczy bernardyn Stephena Kinga (JD)
2) pies z dawnego programu telewizyjnego „Piątek z ...”

- 3)** pies z serialu lalkowego „Fraglesy”
4) piesek jak „natrętna myśl” w komiksowej wiosce Galów (JD)
5) pies z kreskówek o Mysze Miki (ale nie Pluto)
8) bernardyn, który „skomponował” dziewięć symfonii (JD)
9) rasa wiernego psa Hachiko, któremu postawiono pomnik przy tokijskim dworcu
10) pies Charliego Browna („Fistaszki”)
12) mityczny trójdog
16) „Kulka” bliska Kosowi, Jeleniowi
17) tchórzliwy pies - pogromca animowanych duchów (JD)
18) dziewczyna wampira albo psia przyjaciółka Sebastiana (JD)

- 22)** „plastelinowy” pies Wallace’a
25) nazwisko autora powieści „Ferdynand Wspaniały”
27) pierwszy pies, który umarł w kosmosie (JD)
29) powieść Bolesława Prusa, w której występuje pies z określenia 24 poziomo
31) trzytłowy strażnik Kamienia Filozoficznego (JD)
32) Ignacy, bohater literacki, pan jednookiego pudła Ira
33) w powieści „Piotruś Pan”: suczka opiekująca się dziećmi państwa Darling
35) pies w tytule polskiej adaptacji serialu kryminalnego „Komisarz Rex”
37) ... i Nel, opiekowali się Sabą, a Saba nimi
38) pies z powieści „Chtopi”

Leszek Rydz

Byle do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play

Pragniemy poinformować, że
INAUGURACJA ROKU JERZEGO NOWOSIELSKIEGO
odbędzie się w Galerii Starmach w Krakowie.

Zapraszamy na otwarcie wystawy

PRACOWNIA

17 stycznia 2023 r. o godz. 18:00.

Wystawa potrwa do 11 maja 2023 r.

kurator: Andrzej Szczepaniak



GALLERY
starmach

ul. Węgierska 5, Kraków
starmach.eu